



JADWIGA COURTHS-MAHLER  
Gonda

---



Die Tochter der zweiten Frau

Przełożyła Barbara Taborska

Gonda Ruthart serdecznie objęła i ucałowała na pożegnanie swego ojca. Stali na przestronnej werandzie, okalającej bungalow ze wszystkich stron. Klaus Ruthart mieszkał tutaj od śmierci matki Gondy sam, liczna służba zajmowała stojące opodal chaty. Przed szerokimi schodami wiodącymi na werandę malajski służący przeprowadzał tam i z powrotem osiodłanego konia.

— Wróć, zanim zrobi się ciemno, Gondo — powiedział Klaus patrząc na córkę z pełną czułości dumą. Wyglądała przepięknie w przewiewnym stroju do konnej jazdy, składającym się z beżowego żakietu o długich połach i obcisłych jeździeckich spodni, cienkiej białej bluzki i wysokich brązowych butów. Krótkie loki o odcieniu czystego złota ukryła do najmniejszego niesforenego kosmyka pod tropikalnym hełmem.

Z uśmiechem skinęła głową.

— Nie martw się, papo, wiesz przecież, że zaraz po herbacie wyruszę w drogę powrotną. W Ramovie będę koło południa, potem zjem coś ze Strasserami i do podwieczorku zostanie mi trochę czasu, aby porozmawiać z Georgiem. Możesz sobie wyobrazić, jak bardzo tęskni za towarzystwem. Niestety na razie ciągle nie jest na tyle silny, aby nas odwiedzić.

— Wiem, wiem, ten biedny chłopak liczy minuty do twego przyjazdu. Pozdrów go serdecznie ode mnie.

— Z przyjemnością. Ty przecież, papo, wybierasz się na objazd plantacji tam w dolinie, więc nie będzie ci mnie brakowało.

Przytaknął jeszcze raz.

— Masz pistolet?

—Jak zwykle, papo — odpowiedziała wskakując na siodło — ale z pewnością nie będę go potrzebować. Od kiedy w zeszłym roku zastrzeliłeś dwa leopardy, nie mamy już tutaj w okręgu ani leopardów, ani panter, zresztą one raczej uciekają od ludzi niż atakują.

—Mimo to nigdy nie wiadomo, czy broń nie okaże się jednak potrzebna. Ostatecznie przez całą godzinę będziesz jechała przez dżunglę.

— Ależ ja tę drogę uwielbiam, papo! Zawsze się na nią cieszę!

Klaus Ruthart zszedł po schodach, aby pomóc córce przy wsiadaniu, nie omieszkał przy tym sprawdzić siodła. Gonda pomachała mu jeszcze czule i ruszyła w drogę. Patrzył za nią, dopóki nie zniknęła między wystrzelającymi w niebo, smukłymi palmami, po czym zapalił motor samochodu i skierował się w przeciwnym kierunku. Tam, w dolinie, ciągnęły się plantacje należące do jego posiadłości Dahomy. Dom mieszkalny stał na wzniesieniu, gdzie było najzdrowsze powietrze; w dolinie groziła febra.

Ojciec Klause Rutharta otrzymał te plantacje w spadku po kuzynie, który na Wyspy Sundajskie wywędrował jako młody człowiek. Kuzyn zrazu doprowadził Dahomy do rozkwitu, potem jednak rozchorował się, musiał więc wyjeżdżać na długie okresy, aby się poddawać najprzeróżniejszym kuracjom. Siłą rzeczy plantacje wtedy podupadły. Kiedy umierał w znanym kurorcie w Niemczech, w braku żyjącego spadkobiercy w linii prostej zapisał Dahomy ojcu Klausowi. Klaus poprosił ojca, aby ten pozwolił mu zarządzać Dahomy. I tak też się stało.

Kiedy przybył na Sumatrę, zastał plantacje w strasznym stanie. Od tego momentu minęło dwadzieścia lat, w czasie których udało mu się na nowo doprowadzić je do rozkwitu, a także powiększyć przez zakup sąsiednich terenów. Teraz była to oparta na solidnych podstawach, przynosząca dochód posiadłość. Klaus Ruthart był po prostu człowiekiem, który umiał się urządzać w obcym kraju, co nie każdemu na jego miejscu by się udało.

Kiedy tak objeżdżał pola, kontrolował stan robót i wszystkiego doglądał, jego córka jechała przez dżunglę do sąsiedniej posiadłości zwanej Ramową.

Ramova też była własnością Niemca, z którym Klaus Ruthart utrzymywał dobrosąsiedzkie stosunki, jakkolwiek z powodu różnicy charakterów obu mężczyzn nie mogło być między nimi mowy o przyjaźni. Ale że w promieniu kilku mil nie było innych sąsiadów, stąd kontakty między obydwoma plantacjami musiały być siłą rzeczy ożywione.

Wiodąca przez dżungle ścieżka nie należała do najwygodniejszych, lecz koń Gondy doskonale ją znał. Musiał zresztą przeważnie iść stępą, ponieważ poruszanie się naprzód utrudniały wybijające gałęzie, a korzenie powietrzne, zwieszające się ku ziemi w poszukiwaniu wilgotnego podłoża, miejscami stanowiły przeszkodę wręcz nie do przebycia. Gonda miała zwyczaj czujnie rozglądać się dookoła, aby w porę dostrzec ewentualne niebezpieczeństwo. Wychowana w położonej z dala od świata głuszy, nie ruszała się nigdzie bez broni. Do Ramovy można było dojechać w mniej więcej tym samym czasie samochodem, tyle że jadąc biegnącą w dolinie drogą robiło się spory objazd, gdyż trzeba było ominąć cały masyw góry.

Ona jednak wolała jechać przez las, zamiast prażyć się w słońcu na zakurzonej szosie. W tej części dżungli znała nieledwie każde drzewo, każdy krzak, choć bujna vegetacja była przyczyną, iż wszystko się tu błyskawicznie zmieniało. A przecież każdego tygodnia pokonywała kilka razy tę drogę, aby odwiedzić swego przyjaciela z czasów dzieciństwa, Georga Strassera. W gruncie rzeczy tylko jemu sprawiały przyjemność jej wizyty. Z innymi mieszkańcami Ramovy stosunki układały się nie najlepiej, tylko Georg został wierny jej i jej ojcu.

Hermann Strasser, ojciec Georga, tak jak i ojciec Gondy zbliżał się do pięćdziesiątki, a chociaż dobrze się prezentował i był bardzo przystojny, instynkt podpowiadał jej, że jest w nim coś niezbyt szlachetnego, a może nawet niskiego. Lili Strasser, macocha Georga, jeszcze mniej podobała się Gondzie. Było w jej sposobie bycia wiele fałszu i pozy, świadczących o pospolitej naturze, choć jej twarz i cała postać nosiły jeszcze ślady dawnej piękności. Jej syn z pierwszego małżeństwa, Kurt Gartner, którego wprowadziła do domu swego drugiego męża, był w przeciwieństwie do przyrodniego brata Georga nieco prostackim, brutalnym młodzieńcem, który zwykle drażnił Gondę swymi niewybrednymi żartami.

Nie mogła się pogodzić ze sposobem, w jaki traktował służbę, wiedziała też, że bezwstydnie napastuje malajskie dziewczęta.

Georg Strasser, syn Hermanna z pierwszego małżeństwa, był człowiekiem całkiem innego pokroju i Gonda oraz jej ojciec doskonale wiedzieli, że absolutnie nie pasuje do tej rodziny, mało tego, naprawdę cierpi, skazany na przebywanie w jej kręgu. Wrażliwy i cichy, do złudzenia przypominał swoją zmarłą matkę, która przeszła gehennę u boku nieczulego, wyrachowanego męża. Niestety Georg odznaczał się delikatnym zdrowiem, co także było schedą po matce, musiał więc pogodzić się z tym, że nigdy nie dorówna przyrodniemu bratu w próbach siłowych, na jakie tamten z ironicznym uśmieszkiem go wyzywał.

Głównie z tego powodu Gonda była wrogo usposobiona do Kurta i sprawiało jej przykrość, że ten w ostatnim czasie zaleca się do niej w niewyszukany sposób. Georg nigdy tego nie robił, widząc w Gondzie przede wszystkim serdeczną przyjaciółkę z okresu, kiedy jako dzieci bawili się razem i uczyli. Matka Gondy została kiedyś zaangażowana do niego jako guwernantka i w tym charakterze przybyła na Sumatrę. Kiedy matka Georga żyła, między plantacjami panowały lepsze stosunki.

Z Karlem Ruthartem matka Gondy zetknęła się po raz pierwszy na parowcu płynącym z Niemiec na Wyspy Sundajskie. Ruthart też płynął na Sumatrę, aby objąć zarząd nad plantacjami Dahomy. Pokochali się miłością od pierwszego wejrzenia i tak już zostało.

Gonda jechała na koniu przez urzekającą swym bogactwem form i kolorów dżunglę, nucąc cicho piosenkę; była to niemiecka przyśpiewka ludowa, której nauczyła ją matka i którą w domu często śpiewała na cały głos. Raz po raz musiała zbaczać ze ścieżki, gdyż wybijałe gałęzie drzew zagradzały jej drogę. W promieniach słońca, które od czasu do czasu przedzierały się przez gęstwinę liści, unosiły się olbrzymie, mieniące się wspaniałymi barwami motyle. Pawie kroczyły dumnie, beztrosko przecinając jej drogę, a niewielkie bażanty przemykały pod zwieszającymi się do ziemi gałęziami. Od czasu do czasu nad jej głową przeskakiwały z drzewa na drzewo małpy, to znów z zarośli dochodził syk. Gonda wiedziała, że to węże albo jaszczurki, które na szczęście uciekały od człowieka, jeśli tylko wcześniej się ich nie zaatakowało. Wszędobylskie liany oplatały

wysmukłe pnie drzew Canaris, które wystrzelały w niebo jak rakiety, kiedy tylko znalazły w splątanej gąszczu drogę.

Nic dziwnego więc, że Gonda najchętniej korzystała z tej leśnej ścieżki, zdążając do Ramovy.

Kiedy wreszcie wyjechała z dżungli na otwartą przestrzeń, jej oczom ukazał się dom, wzniesiony na przeciwległym skłonie. Ramova nie miała aż tak wielu pól uprawnych jak Dahomy. Z początku zresztą była rozleglejsza, lecz z biegiem czasu ojciec Gondy odkupował od Hermanna Strassera po kawałku ziemi. W ten sposób Dahomy stawała się coraz większa, a Ramova malała w oczach. Strasser nie grzeszył pracowitością, nie był też tak zapobiegliwy jak Klaus Ruthart. Mimo iż miał do pomocy synów, a Klaus pracował sam, nie posuwał się nawet krok do przodu. Nie był tak energiczny i świadomy celu jak ojciec Gondy, za to uwielbiał w towarzystwie żony i pasierba odwiedzać lokale w pobliskim miasteczku, gdzie wydawali wspólnie mnóstwo pieniędzy. Najgorsze jednak było to, że nad wszystko przedkładał grę w karty — dlatego też często wracał z takich wypraw spłukany do reszty, w czym Kurt mu dzielnie sekundował. Lili, jego żona, też lubiła szastać pieniędzmi. Dopóki żyła matka Georga, w Ramovie szło w miarę dobrze, jako że ta subtelna, cicha, lecz mocna duchem kobieta umiała strzec tego, co wniosła mężowi w wianie. Tak naprawdę Ramova należała do Georga, ponieważ była kiedyś własnością jego matki, lecz nikt z rodziny nie zawracał sobie tym głowy. Hermannowi Strasserowi ani się śniło przyznawać synowi prawa do czegokolwiek.

Po śmierci matki Georga na Ramowę przyszyły ciężkie czasy. Brakowało wszystkiego, bo pieniądze w mgnieniu oka rozchodziły się na rzeczy niepotrzebne. Gonda wiedziała o tym równie dobrze jak jej ojciec, często zresztą o tym rozmawiali, zgadzając się ze sobą, że Georg jest w niesłychany sposób wykorzystywany przez rodzinę. Z powodu swego słabego zdrowia nie umiał bronić się przed zakusami chcących go obrabować ze wszystkiego najbliższych i cierpiał w milczeniu. Bardzo mu współczuli, lecz nie wiedzieli, jak mu pomóc.

Na usprawiedliwienie Hermanna Strassera dałoby się może przywołać fakt, że warunki tropikalne osłabiają, przyprawiają słabszych, nie umiejących panować zdecydowanie nad sobą Europejczyków o rozstrój nerwowy. Niestety Strasser

nigdy nie był człowiekiem, na którym można by polegać. Zawsze żył na koszt innych, bacząc jedynie, aby się zbytnio nie przemęczać, należał więc do tych, którzy czekają, aż pieczone gołąbki same do nich przyfruną, nie mówiąc już o tym, jak bardzo są oburzeni, gdy przelecą obok i staną się udziałem innych. Zawsze uważał, i nie omieszkał dawać temu wyraz w swój cierpki, brutalny sposób, że jego sąsiad Ruthart ma „cholerne szczęście”, kiedy temu ostatniemu udało się dzięki pracy i wytrwałości dokupić następny kawałek ziemi. Nigdy nie szukał winy w samym sobie, nieodmiennie skarżąc się na zły los i zazdroszcząc ludziom, którym się wiodło lepiej.

Wspiąwszy się na wzniesienie, Gonda pokonała ostatni odcinek drogi w szybkim tempie i zatrzymała się przed domem. Był mniejszy niż w Dahomy, przede wszystkim jednak nosił liczne ślady zaniedbania, gdy tymczasem ich bungalow był w doskonałym stanie, czysty i zadbane. Wokół domu Strasse-rów również biegła przestronna weranda, na której można było siedzieć w cieniu o każdej porze dnia. Jej dach wspierał się na kolorowych, cztero-kątnych drewnianych słupach, utwierdzonych w podmurówce.

Na werandzie spoczywał wyciągnięty na leżaku Georg. Miał zamknięte oczy, a jego twarz o regularnych rysach odznaczała się chorobliwą bladością, a nie zdrową opalenizną żyjących w tropiku białych ludzi. Kiedy Gonda zeskoczyła z konia, drgnął, po czym podniósł się z trudem, aby powitać przyjaciółkę. Jego oczy błyszczały radością. Chciał koniecznie wyjść jej naprzeciw, lecz pogroziła mu żartobliwie palcem:

— Nie podnoś się, bo inaczej będę musiała się z tobą zaraz na samym wstępie pokłócić — zawołała.

Georg sięgnął po srebrny gwizdek i przywołał w ten sposób malajskiego chłopca, który wyszedł ze stajni i zajął się koniem Gondy. Skinęła mu uprzejmie głową, po czym weszła po schodach na werandę. Georg wyciągnął do niej obie ręce.

— Jak to dobrze, że jesteś, Gondo. Tak na ciebie czekałem... Sam niestety nie czuję się na tyle dobrze, aby dosiąść konia, a z samochodu korzystają ojciec i Kurt, objeżdżając pola, muszę więc czekać, aż ty się do mnie wybierzesz.

Nieledwie z matczyną troską podprowadziła przyjaciela do leżaka i kazała mu się położyć.

— Jeśli tego nie zrobisz, to inaczej nie zamienię z tobą słowa! — oświadczyła energicznie, lecz zarazem z siostrzaną czułością.

Wyciągnął się posłusznie na leżaku, patrząc na nią z radosnym uśmiechem.

— Jak dobrze, że wreszcie jesteś! Powietrze Ramovy staje się czyściejsze, gdy mogę oglądać twoją twarz, Gondo.

Patrzyła z troską na jego wychudzoną postać, na mizerną twarz, zaczerwienioną teraz ze wzruszenia. Rzuciła szpicrutę na stół, obok położyła hełm tropikalny i zdjęła żakiet, po czym rozejrzała się uważnie.

— Nie jesteś chyba sam w domu.

— Matka jest w środku. Ojciec z Kurtem pojechali na objazd plantacji.

— A więc pójdę powiedzieć twojej matce dzień dobry i przy okazji wproszę się na południowe danie z ryżu. Zostanę aż do podwieczorku.

— Cudownie, Gondo.

— Zaraz wrócę, nic po mnie tam w domu.

Skinęła mu z uśmiechem i zniknęła we wnętrzu, a on podążył wzrokiem za jej wiotką sylwetką, która w obcisłych spodniach do konnej jazdy i zwiewnej białej bluzce wyglądała niemal chłopięco. Odetchnął głęboko, jakby uwalniając się od dręczącego ucisku. Tam gdzie znalazła się Gonda, było jasno, przejrzyste i czyste. Odczuwał to chyba tak dlatego, gdyż miał wrażenie, że się któregoś dnia udusi w panującej naokoło przytłaczającej atmosferze.

Gonda tymczasem wbiegła do przestronnej sieni, skąd wchodziło się do pokoi. Większość z nich nie miała drzwi, była tylko odgradzona cienką zasłoną. Jedyne sypialnie i gabinet pana domu zaopatrzono w drzwi, które można było w razie potrzeby zamknąć. Tak samo zresztą wyglądał dom w Dahomy, tyle że tam było więcej pokoi.



Klasnęła głośno w dłonie i natychmiast pojawiła się malajska służąca, odziana w barwny sarong, który omotany był wokół jej piersi, pozostawiając ramiona i ręce nagie.

— Gdzie jest pani, Sunlah? — spytała przyjaźnie Gonda.

Malajka popatrzyła na nią z uśmiechem swymi łagodnymi oczami, uniosła kolorową, choć niezbyt czystą zasłonę i zrobiła zapraszający gest.

—Proszę wejść, panienko!

—Niech pani wejdzie, Gondo — z wnętrza pokoju doszedł piskliwy kobiecy głos. — Już wiem, że pani przyjechała!

Lilii Strasser spoczywała w wyłożonym poduszkami fotelu na kółkach, ze względu na upał odziana tylko w sarong, który zresztą nie okrywał tak dokładnie jej bujnych kształtów, jak to miało miejsce w przypadku szczupłej Sunlah. Najwidoczniej czytała wcześniej książkę, lecz ta jej w którymś momencie wypadła i leżała teraz w zapomnieniu na podłodze.

—Dzień dobry, pani Strasser. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

—Mój Boże, książka, którą czytam, jest tak nudna, że z przyjemnością raz po raz przerywam lekturę. Miło widzieć panią znowu u nas. Tylko pozazdrościć, wygląda pani na świeżą i wypoczętą, choć ma pani za sobą taką długą jazdę.

—Wybrałam ścieżkę przez dżunglę, a więc cały czas jechałam w cieniu. Dlaczego czyta pani jakąś tam nudną książkę, skoro jest tyle innych?

Lilii stłumiła ziewnięcie.

—Nie mam nic nowego w domu, muszę dopiero napisać do księgarza w Palembang, aby mi coś przysłał. Pani za to jest godna podziwu, Gondo. To bardzo miło z pani strony, że znajduje pani czas na odwiedzin.

—A czy będzie pani również zadowolona, kiedy powiem, że zostanę nie tylko na ryż, ale i na herbatę? Ojciec dał mi urlop aż do kolacji, abym mogła spędzić ten czas z Georgiem.

—Ależ tak. Ten biedny chłopiec nudzi się tak jak ja, poza tym ciągle jeszcze nie przyszedł do siebie po chorobie. On przynajmniej rozumie, jak biedne jesteśmy my, kobiety, uwiązane do domu rozlicznymi obowiązkami. Mężczyźni mają dużo lepiej niż my, zawsze im się trafi jakaś rozrywka.

Gonda zacisnęła wargi, gdyż mało brakowało, a rzuciłaby uwagę na temat kobiet, które zawsze znajdują jakieś ciekawe zajęcie — oczywiście jeśli tylko tego chcą. Nie miała ochoty konwersować z Lili, tym bardziej że wiedziała, z jaką niecierpliwością oczekuje jej Georg.

—Nie będę pani dłużej przeszkadzać — powiedziała. — Pójdę teraz do Georga. Zobaczymy się przy posiłku, na który się wprosiłam. Mam nadzieję, że pani się nie gniewa.

—Ależ skąd. Proszę mi tylko przysłać Sunlah, abym mogła wydać stosowne polecenia.

—Nie chciałabym, abyście robili sobie państwo z mego powodu kłopoty.

—Tam gdzie chodzi o sąsiadów, nie ma mowy o kłopotcie. Muszę tylko powiedzieć Sunlah, aby położono jedno nakrycie więcej.

—Dobrze zatem, przyślę ją pani, a sama wyjdę na werandę.

—Ja później też to zrobię, lecz teraz proszę mi wybaczyć. Trudno mi się pokazywać w sarongu, a chcę pozostać w nim tak długo, jak to możliwe.

—Och, ja też w najgorętszej porze dnia chodzę bez skrepowania w sarongu.

Lilii roześmiała się nieszczerze, lustrując zazdrosnym spojrzeniem wiotką postać Gondy.

—Pani z powodzeniem może to robić, dla mnie jednak już te czasy minęły, kiedy mogłam bez żenady paradować w sarongu.

Gonda rzuciła zakłopotane spojrzenie na obfite kształty sąsiadki i skinąwszy głową co prędzej wyszła. Lilii ziewnęła szeroko, przeciągnęła się leniwie, zapaliła papierosa i niechętnie uniosła książkę do oczu. Gonda tymczasem posłała Sun-

lah do jej pani, a sama wyszła na werandę, gdzie już wyglądał jej z niecierpliwością Georg.

Pokój, gdzie leżała Lili, wychodził na zachód, oni natomiast znajdowali się na stronie północnej, mogli więc rozmawiać całkiem nieskrępowanie, bez obawy, że zostaną posłuchani.

— Sunlah przyniosła dla ciebie małą przekąskę, Gondo — rzekł Georg wskazując na tacę z owocami i lemoniadą. Obok leżało na talerzyku kilka biszkoptów.

— To ty pomyślałeś o tym, prawda, Georg? Zaprzeczył z uśmiechem.

—Sunlah samej przyszło to do głowy. Jest naszą najlepszą służącą, a poza tym uwielbia cię, tak jak cała wasza służba w Dahomy. Zauważyłem, i to nie raz, że potrafi wyczytać z twych oczu każde życzenie.

—Nasi służący to dobrzy ludzie, Sunlah też. Poprosiłam ją w paru słowach, aby się o ciebie choć odrobinę troszczyła, bo inaczej nikt tutaj tego nie robi.

—A więc tobie zawdzięczam, że Sunlah, nawet nie proszona, oddaje mi drobne przysługi. Dziękuję ci, Gondo, ty zawsze pomyślisz o wszystkim.

Gonda upiła łyk lemoniady.

— Podać ci owoc, Georg?

—Nie, dziękuję, dopiero pół godziny temu jadłem śniadanie. Niezbyt dobrze spałem tej nocy, ledwie nad ranem zmorzył mnie sen, nie dziw się więc, że za spałem.

—Tak właśnie powinno być każdego dnia. To znaczy, nie uważam, że powinieneś chodzić późno spać. O tym nie ma mowy. Sam wiesz, że potrzebujesz dużo snu. Jak się dzisiaj czujesz?

— Trochę lepiej, lecz to wszystko trwa o wiele za długo.

— Nie wolno ci się niecierpliwić. Uśmiechnął się wesoło.

— Łatwo mi być cierpliwym, gdy ty jesteś obok, Gondo. Kiedy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że na świecie nie ma chorób. Jest w tobie coś zdrowego, świeżego, prawdziwa afirmacja życia.

— A więc weź ze mnie przykład i co prędzej wyzdrowiej. Westchnął mimo woli, a jego niebieskie oczy wpatrzyły się w przestrzeń.

— Czasami przychodzi mi do głowy, że już nigdy tak naprawdę nie wyzdrowieję. Malajski lekarz, który tu zagląda do mnie od czasu do czasu, nie mówi, na czym polega istota mojej choroby, może zresztą dlatego, że sam nie potrafi dojść, czego mi rzeczywiście brakuje, ja natomiast mam wrażenie, że to coś nieuleczalnego.

Potrząsnęła energicznie głową, starając się w ten sposób ukryć zatroskanie.

— Co za głupie myśli, Georg! Nie upłynie wiele czasu, a znów urządzimy zawody w jeździe konnej, jak to kiedyś robiliśmy. Przyznasz, że były wspaniałe, prawda?

Rozpromienił się.

—Cudowne, Gondo! Zbesztaj mnie, to mi tylko dobrze zrobi. To przez tę długą chorobę nabrałem skłonności do czarnowidztwa.

—Tak, kiedy jest się chorym, widzi się wszystko w czarnych barwach — przyznała. — Ale niech minie jeszcze z osiem dni, a sam będziesz się zaśmiewał z tych wszystkich głupich obaw.

Nie chciał jej zasmucać, więc co prędzej zmienił temat.

—Widziałaś się z moją matką?

—Tak, strasznie się nudzi nad jakąś mało interesującą książką. Zmarszczył niechętnie brwi.

—Jest zdrowa i mocna, a nie chce jej się pracować. Że praca może uszczęśliwić, tego nie pojmie nigdy. Nasz dom jest strasznie zaniedbany, a u was w Dahomy wszystko lśni czystością. Doskonale sobie radzisz^ Gondo, a jesteś jeszcze przecież taka młoda.

—Nie bierz sobie tego tak do serca, Georg — powiedziała głaskając jego dłoń. — Niepotrzebnie się zadręczasz.

—Masz rację — skinął smutno głową. — Trudno ciągle gryźć się czymś, co i tak się nie zmieni. Ale wierz mi, nie jest mi przyjemnie przyglądać się beczynnie z boku, jak wszystko naokoło podupada. Niestety nic nie mogę na to poradzić. Nawet gdybym był zdrowy, nie starczyłoby mi sił, aby walczyć z wiatrakami. Niekiedy nachodzi mnie pragnienie, aby uciec gdzie oczy poniosą i nie musieć patrzeć na tę ruinę. Ale na całym bożym świecie nie ma pewnie zakątka, gdzie taki biedny człowiek jak ja znalazłby odrobinę spokoju.

— Znam takie miejsce, Georg. Rzucił jej pytające spojrzenie.

—Zamieniam się w słuch.

—Powinieneś wyjechać do dziadka.

Gorzki uśmiech pojawił się na jego wąskich wargach.

— Żeby mnie odpędził jak psa od drzwi? Już od dawna nie dał znaku życia. Chce mnie ukarać za moich rodziców. Ojciec wprowadził moją matkę, a dziadek nigdy im tego nie wybaczył.

Gonda popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

— Może on czeka na list od ciebie? Potrząsnął stanowczo głową.

—Napisałem do niego przed paroma laty, życzyłem mu szczęśliwego Nowego Roku i pytałem, czy wolno mi będzie od czasu do czasu do niego napisać. Na to odpowiedział mi za pośrednictwem banku, że nie życzy sobie listów ode mnie.

—Och, jakże mi przykro. Może jednak mimo wszystko spróbujesz jeszcze raz?

—Nie, Gondo, dla mnie już i tak wystarczająco upokarzający jest fakt, że ojciec podejmuje pieniądze przeznaczone na moje wykształcenie, które mój dziadek co kwartał przekazuje przez bank. To jedyny znak życia, jaki od niego otrzymujemy.

—Ale przesyłka nadchodzi punktualnie, prawda?

—Tak, wyjątkowo punktualnie.

— Zatem jest to dowód, że pamięta o tobie.

— Widocznie dał bankowi stałe zlecenie na przekazywanie nam pieniędzy, a sam się o to więcej nie troszczy. I tak z pewnością jest. Ojciec za każdym razem przesyła do banku pokwitowanie odbioru. Dziadek nie chce mieć z nami nic wspólnego. Żebyś wiedziała, Gondo, jakie to dla mnie straszne, że ojciec podejmuje te pieniądze. Byłoby dla mnie prawdziwą ulgą, gdybym mógł je odesłać, lecz ojciec uznałby mnie za pomyłonego. On z niecierpliwością czeka na tę sumę, aby móc ją natychmiast przepuścić.

Ostatnie słowa Georga przypominały jęk. Gonda spojrzała na niego ze współczuciem.

—Niewykluczone, że dziadek jest zły tylko na twego ojca.

—Niestety, tę złość przenosi także na mnie, bo jestem jego synem. Pieniądże zaczął przysyłać dopiero po śmierci mojej matki. To nim wstrząsnęło. Musiał ją bardzo kochać, skoro tak uparcie się na nią gniewał. Kiedy uciekła z rodzinnego domu z mężczyzną, któremu on odmówił jej ręki, ta cała historia musiała mu sprawić nieopisany ból.

—Dlaczego nie wyraził zgody na to małżeństwo?

—No cóż, pewnie przeczucie mu podpowiadało, że ten człowiek nie da jego ukochanej córce szczęścia. Miał rację. Wiesz tak samo dobrze jak ja, Gondo, że matka była bardzo nieszczęśliwa u jego boku. Nigdy jej nie przebaczył, że dziadek nie dał się przebłagać, choć to przecież tylko on był wszystkiemu winien. Ojciec ożenił się z moją biedną matką z wyrachowania, gdyż jej ojciec był bardzo bogaty, święcie przekonam, że dziadek pogodzi się z faktami, gdy już będzie po ślubie. Srodze się zawiódł. Opowiadał raz o tym macosze, nie wiedząc, że ja się przysłuchuję. Tylko z wyrachowania, nie z miłości, skłonił matkę, aby z nim uciekła. Ale się przeliczył: dziadek z miejsca zerwał wszelkie stosunki, definitywnie odtrącając córkę, kazał tylko wypłacić drobny spadek po matce, którego nie mógł jej odmówić. Właśnie z tą sumą moi rodzice przybyli na Sumatrę. Ojcu się wydawało, że tu mu się poszczęści, i za pieniądze matki kupił Ramovę. Nie pytał, czy matce służy tropikalny klimat, straciła w jego oczach, gdy wszystkie jej listy skierowane do własnego ojca wracały nie otwarte. Dziadek odpowiedział jedynie na pierwszy z nich: „Przebaczę ci tylko wtedy, gdy rzucisz swego męża,

gdyż on niechybnie wciągnie cię w nieszczęście. Jeśli zostaniesz z nim, mój dom i moje serce pozostaną na zawsze dla ciebie zamknięte". Matka oczywiście tego nie zrobiła, tym bardziej że właśnie miałem się urodzić. Z pewnością chciała, aby jej dziecko miało ojca, choć już wtedy chyba zdawała sobie sprawę, że ten człowiek naprawdę ją unieszczęśliwi. Bardzo cierpiała z tego powodu, że jej ojciec pozostał nieprzejeđnany, i to nie dlatego, że ją wydziedziczył, lecz dlatego, że go bardzo kochała i miała świadomość, jak dotkliwie go zraniła. Na krótko przed śmiercią napisała ostatni list do ojca, prosząc w nim o przebaczenie, ponieważ czuła, że stoi nad grobem. Ojciec wysłał go na życzenie matki jako polecony, i ten ostatni list już nie powrócił. Krótko potem dziadek przesłał pierwszą ratę na moje wychowanie, zaznaczając, że taką sumę będę otrzymywał co kwartał i że pokwitowanie odbioru należy odsyłać do banku. Nic więcej.

Gonda przysłuchiwała się w zamyśleniu.

— Jaka szkoda, Georg! — westchnęła. — Mam wrażenie, że łatwo mógłbyś pozyskać miłość dziadka, gdyby tylko miał okazję ciebie poznać, a ty byłbyś przy nim w Niemczech o wiele szczęśliwszy niż tutaj.

Georg utkwiał zadumany wzrok gdzieś ponad nią, po czym rzekł zaczerpnąwszy głęboko powietrza:

— Nie mówmy o tym więcej, Gondo, to do niczego nie prowadzi. Opowiedz mi lepiej, co robiłaś w ostatnich dniach, kiedy się nie widzieliśmy.

Opowiedziała mu więc dokładnie o wszystkim, co według niej mogło go interesować. Zapytał jeszcze o to i owo, a potem przez dłuższą chwilę siedzieli milcząc. Było to milczenie, jakie jest możliwe tylko między dobrymi przyjaciółmi, którzy rozumieją się bez słów.

Georg patrzył na Gondę pełen braterskiej dumy. Sprawiało mu przyjemność, że tak pięknie wygląda, że jej brzoskwiniowa skóra prześwieca przez przypominający woal materiał bluzki, że z takim wdziękiem trzyma głowę ponad powabnymi ramionami i że jej loki odznaczają się metalicznym połyskiem czystego złota. Owa doskonałość była prawdziwym dobrodziejstwem dla jego spragnionych piękna oczu. W stroju macochy zawsze coś było nie w porządku, tutaj brakowało wstążki, tam guzika, więc trzeba się było uciekać do pomocy szpilki lub

agrafki. Odzież Gondy odznaczała się zawsze nienaganną czystością i świadczyła o dobrym guście właścicielki. Do tego sama Gonda była prawdziwym arcydziełem stworzenia. I to sprawiało takie cudowne wrażenie! W sercu Georga nie było nic takiego, czego by nie mógł odczuwać wobec ukochanej siostry. Wzrastali jak rodzeństwo i takim uczuciem się darzyli.

Georg był cztery lata starszy od Gondy. Jej matka pracowała u Strasse-rów jako guwernantka, a z czasem została przyjaciółką i powiernicą jego matki. Zaledwie rok przebywała matka Gondy w Ramovie jako wychowawczyni, potem Klaus Ruthart zabrał ją do Dahomy. Mimo to nadal zajmowała się wychowaniem Georga, ponieważ nie tak łatwo było znaleźć kogoś na jej miejsce. Poza tym wiązała ją dozgonna przyjaźń z matką wychowanka, więc nie zaniechała lekcji z Georgiem. Kiedy urodziła się Gonda, jej matka szybko podjęła na nowo przerwane na jakiś czas lekcje, a Georg nie posiadał się z radości na wieść o małej siostrzyczce, jak nazwał Gondę. Z prawdziwym nabożeństwem traktował ją jak mały cud i od początku gorliwie się nią zajmował.

Matka Gondy nie tylko Georgowi przekazywała podstawowe wiadomości, później uczyła wszystkich przedmiotów także swoją córkę. Jako że w Niemczech zdała celująco egzamin nauczycielski, miała wszelkie podstawy po temu, aby to robić. Kiedy umarła matka Georga, jej syn miał trzynaście lat. Matka Gondy chciała skłonić Hermanna Strassera, aby wysłał go na kilka lat do Niemiec, gdzie mógłby uzupełnić swoje wykształcenie. Przede wszystkim jednak chodziło jej o to, aby zapewnić Georgowi zmianę klimatu, gdyż jego wątłe zdrowie nie znosiło tropikalnych warunków.

Hermann oświadczył wszakże twardo, że nie ma pieniędzy, aby sfinansować pobyt syna w Niemczech, tak jak utrzymywał, że nie ma środków, aby wysłać żonę do Europy, choć taki pobyt byłby dla niej ze wszech miar wskazany.

A więc Georg był zmuszony przebywać w niezdrowym klimacie. Kiedy dziadek przesłał pieniądze na kształcenie wnuka, psim obowiązkiem Hermanna było wysłać Georga do Niemiec, on jednak wolał wykorzystać tę sumę na swoje potrzeby. Jedyńm, co uczynił dla Georga, było zaangażowanie jeszcze na dwa lata nauczyciela domowego. To, że skazał żonę na przedwczesną śmierć, zmuszając ją do życia w tropikach, martwiło go równie mało jak świadomość, że jego syn z



wszelkim prawdopodobieństwem także pójdzie w jej ślady. Sam cieszył się doskonałym zdrowiem, jego druga żona i pasierb również, więc nie mógł pojąć, że tropikalny klimat może dla kogoś okazać się zabójczy.

Jeszcze wtedy, kiedy Helena Strasser, matka Georga, leżała ciężko chora, Hermann nawiązał kontakty z wdową po Niemcu, partnerze w interesach. Pani Lili mieszkała wtedy z synem Kurtem w Pałembang, a Hermann odwiedzał ją za każdym razem, jak tylko miał coś do załatwienia w miasteczku. Im słabsza była jego żona, tym częściej to się zdarzało. W niecałe pół roku po śmierci Heleny zaręczył się z Lili Gartner, aby zaraz potem się z nią ożenić. Lili, zamiast majątku, wniosła do nowego małżeństwa tylko syna Kurta, który był w tym samym wieku co Georg. Teraz obaj mieli po dwadzieścia dwa lata.

Druga żona wzbudziła w Hermannie prawdziwą namiętność. Ta piękna kobieta o bujnych kształtach i nie mniejszym temperamencie była dokładnym przeciwieństwem drobnej, wrażliwej Heleny. Pani Lili umiała zresztą przydawać sobie wartości, czego nigdy nie potrafiła Helena. Że Lili była o wiele biedniejsza od Heleny, w swym miłosnym zaślepieniu Hermann Strasser po prostu przeoczył. Umiała zawsze postawić na swoim, niestety swego wpływu na męża nie wykorzystywała w najlepszy sposób. Jeszcze teraz był zakochany w niej po uszy, choć od czasu do czasu dochodziło między nimi do karczemnych kłótni, kiedy to, nie zważając na obecność obu dorosłych synów, obrzucali się wyzwiskami i obwiniali jedno drugie. Kurt zaśmiewał się z tego do rozpuku, nie szczędząc cynicznych uwag, lecz wrażliwy Georg uważał te sceny za żenujące i nie do zniesienia.

Kiedy macocha wprowadziła się do Ramovy, Georg zamknął się w sobie i stał się jeszcze bardziej milczący niż dawniej. Serce ciągnęło go do Ruthartów. Każdą wolną chwilę spędzał w Dahomy. W domu nie sprzeciwiano się temu zbyt, bo w oczach bliskich zapewniała mu jaką taką pozycję spora suma przesyłana regularnie przez dziadka, choć wnuk już dawno przestał pobierać nauki. Tak jak i wcześniej, ojciec wykorzystywał tę sumę na swoje potrzeby, a Georg w najlepszym razie otrzymywał jej znikomy ułamek. Mało wymagał, właściwie nigdy nie miał żadnych potrzeb, czego jego przyrodni brat nie mógł pojąć. Ten ostatni zawsze wyciągał chciwie rękę, kiedy tylko poczuł w domu pieniądze. Dla Georga byłoby pewną pociechą, gdyby przesyłana przez dziadka kwota szła

przynajmniej na podźwignięcie z upadku Ramovy. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby przeznaczano ją na zagospodarowanie plantacji. Niestety tak nie było prawie nigdy. Gdy tylko z końcem kwartału nadchodził przekaz, ojciec, macocha i Kurt jechali do Palembang lub Padang, aby się zabawić, i zwykle nie wracali wcześniej do domu, zanim nie przepuścili całej sumy. Ojciec i Kurt grali w karty i pili, Lili natomiast buszowała po sklepach kupując co popadnie.

Tak więc Georg coraz bardziej oddalał się od rodziny, czując, że nikomu z nich na nim nie zależy, nawet ojcu. Klaus Ruthart namawiał go wiele razy, aby kategorycznie zażądał pieniędzy przesyłanych przez dziadka. Mógłby za nie choć na parę miesięcy wyjechać do Niemiec lub Szwajcarii dla podratowania zdrowia, Georg jednak zawsze tylko potrząsał głową. Gdy bowiem pomyślał o scenie, jaką takie żądanie z pewnością by wywołało, przenikał go dreszcz obrzydzenia. Kiedy niedawno ciężko zachorował i przez długie tygodnie leżał złożony niemocą, jego rodzina, pełna nagłej troski, w komplecie gromadziła się przy łóżku chorego. Lili nawet go troskliwie pielęgnowała, lecz on doskonale wiedział, iż robi to tylko dlatego, że gdyby umarł, dziadek nie posłałby więcej pieniędzy.

Kiedy przed dwoma laty umarła matka Gonda, Georg tak ją opłakiwał, jak gdyby po raz drugi stał nad grobem własnej matki. Do Klusa Rutharta był przywiązany bardziej niż do własnego ojca, Gondę zaś kochał tkliwą miłością braterską, a ona odpłacała mu siostrzanymi uczuciami. Gdy był jeszcze zdrowy, zawsze znajdował trochę czasu, aby każdego dnia spędzić chociaż godzinę z przyjaciółmi z Dahomy. To był jego prawdziwy dom.

Georg siedział zatopiony w myślach, a Gonda rozkoszowała się wspaniałym krajobrazem rozpościerającym się przed jej oczami. W kierunku wschodnim ciągnęła się równina, poszatkowana poletkami ryżowymi i plantacjami herbaty, trzciny cukrowej i bawełny. Gdzieś widać było małe zagajniki palmowe. Od zachodu widnokrąg zamknięty był pasmem wzgórz pochodzenia wulkanicznego, odznaczających się często dziwacznymi kształtami. Za nimi było już tylko morze, wdzierające się z łoskotem między ostre przybrzeżne skały i bijące o stromy, poszarpany dawnymi wybuchami wulkanów brzeg. Przebywała kiedyś z ojcem i matką na zachodnim wybrzeżu Sumatry, aby przez kilka tygodni brać udział w życiu towarzyskim, którego na co dzień byli pozbawieni. Wybrali się

też raz na wschód, poprzez równinę, aby w Palembang spotkać się z Europejczykami. Co cztery lata Klaus wyjeżdżał obowiązkowo z rodziną do Europy, gdyż zdawał sobie sprawę, jak ważna jest zmiana klimatu choć na jakiś czas. Zatrzymywali się w Szwajcarii albo w Niemczech nad Morzem Północnym. Tam opuszczał na kilka tygodni rodzinę, aby, jak tłumaczył Gondzie, pozałatwiać różne sprawy. Od śmierci żony nie był jeszcze w Europie, zbliżał się więc ów moment, kiedy musiał poważnie pomyśleć o wyjeździe.

Gonda otrząsnęła się z zamyślenia i uśmiechnęła do Georga.

— Popatrz, Georg, milczeliśmy prawie pół godziny. Przytaknął patrząc jej w oczy.

— A mimo wszystko mam wrażenie, jakbyśmy przez cały ten czas prowadzili ożywioną rozmowę. O czym tak intensywnie myślałaś?

Podniosła na niego oczy, owe przepiękne aksamitnobrazowe gwiazdy, w których błyszcząły złote ogniki.

— Wybrałam się w myślach na spacer po Niemczech i wydaje mi się, jakbym z tobą o tym rozmawiała.

— To proste, przecież my rozumiemy się nawet wtedy, gdy milczymy. A zatem błędziłaś myślami po Niemczech?

— Tak, myślałam o tym, że w najbliższym czasie będziemy musieli wyjechać dla zmiany klimatu. Ty też wreszcie powinieneś to zrobić. To brak odpowiedzialności ze strony twego ojca, że cię nigdzie nigdy nie wysyła.

— Nie mamy pieniędzy na takie podróże — westchnął Georg.

— Ale właśnie tobie są one niezbędne, przecież twoja choroba właśnie na to wskazuje. Musisz wyjechać — a na ten cel powinny iść pieniądze, które przysyła ci dziadek, że powtórzę za moim papą.

Na twarzy Georga pojawił się gorzki uśmiech.

— Ta wyczekiwana z utęsknieniem suma już dawno została rozdysponowana.

—Tu chodzi o twoje zdrowie! — wyprostowała się wojowniczo Gonda. — Ani twój ojciec, ani macocha, ani brat nie potrzebują tak zmiany klimatu jak ty. Wszyscy cieszą się dobrym zdrowiem. Po prostu musisz się energicznie upomnieć o pieniądze.

— Nie, tego nie zrobię — potrząsnął stanowczo głową.

— W takim razie ja porozmawiam z twoim ojcem i powiem mu, że będzie miał ciebie na sumieniu, jeśli natychmiast nie zmienisz klimatu. Zresztą on już i tak ma na sumieniu twą matkę. Zbyt długo trzymał ją w tropikach i po prostu się wykończyła.

Georg ujął rękę Gondy patrząc na dziewczynę błagalnie.

— Proszę, nie rób tego, to nie ma najmniejszego sensu. Nie życzę sobie, aby potraktowano ciebie grubiańsko, co niechybnie nastąpi.

Pieszczotliwym gestem odgarnęła mu włosy z czoła, szczerze zaniepokojona.

— Ależ ty musisz wyjechać!

Uśmiechnął się słabo, ujął jej dłoń i przytulił do swego policzka.

—Daj spokój, i bez wyjazdu wygrzebię się z tego, na pewno. Spojrzała na niego ze współczuciem.

—Georg, mam do ciebie wielką prośbę.

—Co mogę dla ciebie zrobić?

— Powiedz mi, z którego banku przychodzi zawiadomienie o przysyłanych przez dziadka pieniądzech — to znaczy do jakiego banku twój ojciec odsyła pokwitowanie?

Zmarszczył czoło.

—Dlaczego tak koniecznie chcesz to wiedzieć?

—Ja... ja postanowiłam napisać do twego dziadka i przedstawić mu całą sytuację. To go może skłoni do tego, aby się tobą zajął. Chcę mu dokładnie opisać twoje położenie i poprosić, aby ci jakoś pomógł, bo w przeciwnym razie źle się

to dla ciebie skończy. Ojciec i ja jesteśmy zdania, że powinieneś wyjechać stąd na stałe i że tylko w Europie masz szansę odzyskać zdrowie. Nawet gdybyśmy wtedy stracili cię z oczu — a wiesz, jak bardzo byłoby to dla nas bolesne — przynajmniej wiedzielibyśmy, że jesteś bezpieczny. Dobrze wiem, że bardziej cierpi twoja dusza niż ciało, wszystko cię tutaj dręczy, wszystko przytłacza, tutaj nigdy nie wyzdrowiejesz. Nam też nie chcesz pozwolić, abyśmy ci pomogli, papa przecież chętnie dałby na to pieniądze. Jak więc możemy ci pomóc? Pozwól mi napisać do twego dziadka, proszę cię.

Georg przycisnął rozpaloną twarz do dłoni dziewczyny. Gonda zauważyła, jak bardzo jest poruszony. Zaraz jednak gwałtownie się wyprostował i spojrzał na nią pociemniałymi z przejęcia oczami.

— Nie, Gondo! W żadnym wypadku! Nie wolno ci tego zrobić, ja tego nie chcę! Nie będziesz żebrać dla mnie! Zrozum, to byłaby prośba o jałmużnę! Wolałbym umrzeć niż o cokolwiek prosić! Doceniam to, co chcesz dla mnie zrobić, ale przysięgam, nigdy do tego nie dopuszczę. Moja duma na to nie pozwala, a jest ona jedyną rzeczą, która mnie trzyma przy życiu. Tego nie możesz mi odebrać, nawet w dobrej wierze.

Opadła z westchnieniem na stojący tuż obok fotel.

—Chciałabym ci pomóc, papa też! To nie jest dla ciebie odpowiednie miejsce, tu się wyniszczasz. Papa wiele razy mówił, że chciałby zabrać ciebie do nas na zawsze. To byłoby wspaniale! Tyle że twoi rodzice na pewno się nie zgodzą, zresztą nie mamy prawa zabierać im ciebie.

—Nie, oczywiście, że się nie zgodzą, lecz przede wszystkim z obawy, że wtedy pieniądze przysyłane mi przez dziadka nie trafiłyby do ich kieszeni. Oni na nie liczą i to jest takie... takie niskie! Gdyby pozwolili mi przenieść się do Dahomy, wszystko wyglądałoby inaczej. Wolę o tym nie myśleć.

Pogładziła jego rękę.

— Biedny Georg! Zagryzł wargi.

—Wypraszam sobie litość, Gondo! Nie znoszę tego! Porozmawiajmy o czym innym.

—Pozwól mi spytać tylko o jedno, Georg. Nie chcesz, aby papa zabrał cię razem ze mną do Europy, kiedy będziemy musieli wyjechać dla zmiany klimatu?

—Stawiasz mnie w kłopotliwym położeniu! — rzekł starając się nie okazać wzruszenia. — Cudownie byłoby z wami podróżować, lecz nie wolno mi nawet myśleć o tym. Nie, nie wódź mnie na pokuszenie, to być nie może, nigdy bym takiego daru nie przyjął od twego ojca. Są rzeczy, które wydają mi się niemożliwe. To prawdziwa męka, że ją biedaczysko, mam jeszcze coś takiego jak niepokromiona duma. Gdybym jej jednak nie miał, załamałbym się do reszty. A tego przecież nie chcesz, prawda?

Przełknęła mężnie łzy. Było jasne, że tylko go dręczy, chcąc nakłonić do jakiegokolwiek działania, poddała się więc z ciężkim sercem i zaczęła rozmawiać o czym innym. Zmuszała się do tego, aby być wesołą, i bardzo się ucieszyła widząc wreszcie na jego twarzy uśmiech.

Gonda miała poczucie humoru, a uświadomiwszy sobie, że nie może oddać Georgowi większej przysługi, jak go rozweselić, robiła, co mogła.

Oboje byli w radosnym nastroju, kiedy nadjechał Hermann Strasser z pasierbem. Nawet samochód nosił ślady zaniedbania, a obaj mężczyźni sprawiali wrażenie nieco dzikich i mało dbających o siebie. W każdym razie nie był temu winien tylko kurz, jakim byli pokryci. Kurt stanął przed Gondą i Georgiem, z rękami w kieszeniach i fajką w zębach.

— Wam to dobrze, siedzicie sobie tutaj na zacienionej werandzie, a człowiek musi się włóczyć spływając potem w upale i kurzu.

Georg posłał mu nieodgadnione spojrzenie.

— Chętnie bym się z tobą zamienił, Kurt!

Silna, nieco przysadzista sylwetka Kurta kołysała się, kiedy patrzył na Gondę z wyzywającym błyskiem w oczach.

—Cóż, nie wiedziałem, że najchętniej byś stąd uciekł.

—Nie wyjmiesz rąk z kieszeni, a fajki z ust, kiedy rozmawiasz z Gondą? — rzucił ostro Georg, kiedy Kurt we właściwy sobie, rubasznie żartobliwy sposób ją przywitał.

Kurt odwrócił się powoli w jego stronę.

—Nie potrzebuję wychowawcy — warknął. — Gondzie nie spadnie korona z głowy, jeśli nie będę się z nią obchodził w rękawiczkach, prawda, Gondo?

—Jest mi to obojętne, bo tak czy tak nigdy nie spodziewałam się po tobie uprzejmości, Kurt.

Tymczasem nadszedł Hermann Strasser i wyciągnął do Gondy rękę.

— ... dobry, Gondo! To miło, że przyjechałaś dotrzymać towarzystwa Georgowi. Co u twego ojca?

—Dziękuję, prosił o przekazanie pozdrowień.

—On też spływa potem na plantacjach?

—Bez tego się nie obejdzie, panie Strasser.

—Jak się dziś czujesz, Georg? — zapytał syna.

—Dziękuję, ojcze, lepiej, a dzięki rozmowie z Gondą prawie że wyzdrowiałem.

—Kiedy wyjeżdżaliśmy dziś rano, jeszcze spałeś.

—To prawda, ale mam nadzieję, że w następnym tygodniu będę mógł już z wami jechać.

—Nie spieszy się. Najpierw wyzdrowiej. Gdzie mama?

—W swoim pokoju.

—Tutaj jestem! — Lili właśnie wchodziła na werandę. Miała na sobie suknię z wzorzystego jedwabiu, mocno już sfatygowaną, lecz pocerowaną dość zręcznie. Mimo nadmiernej wagi ciągle jeszcze była bardzo przystojna, a w jej twarzy, gdy śmiała się do męża i syna, połyskiwały białe, zdrowe zęby.

—Jesteśmy głodni jak wilki, mamó! — zawołał niecierpliwie Kurt.

—Możemy zaraz usiąść do stołu, doprowadźcie się tylko do porządku ze względu na Gondę.

Wyjawszy fajkę z ust, Kurt skłonił się z przesadną uprzejmością przed dziewczyną.

— Wystroję się, w nadziei, że znajdę wtedy więcej łaski w twoich oczach, piękna sąsiadko. — Oświadczeniu temu towarzyszyło władcze spojrzenie.

Udając, że tego nie widzi, rzekła spokojnie:

— Z mojego powodu nie musisz sobie robić kłopotu. Ja przecież usiądę do stołu w tym, w czym przyjechałam.

Zlustrował jej postać wiele mówiącym spojrzeniem.

—Wyglądasz jak zwykle czarująco.

—Daruj sobie — machnęła ręką. — Nie praw mi komplementów, bo i tak ich nie odwzajemnię.

—A dlaczegoż to? — nastroszył się. — Kilka ciepłych słów z twoich ust na pewno sprawiłoby mi przyjemność.

—Nie doczekasz się ich — rzuciła chłodno i odwróciła się, uznawszy jego wzrok za obraźliwy.

Kurt zsunął kask na tył głowy.

— Kto wie, piękna sąsiadko — oświadczył zarożumiale, po czym zniknął we wnętrzu domu, aby się wykapać i przebrać. Na Sumatrze odbywało się to bardzo szybko. Łazienka była pomieszczeniem z cementową posadzką, w której znajdowały się rowki odpływowe. Siadało się wprost na betonie i polewało wodą z przeznaczonych do tego celu wiader, czerpaną z wielkiej beczki. Ubranie mężczyzn składało się z białych spodni, białej koszuli noszonej zwykle z rozpiętym kołnierzykiem i białej bawełnianej bluzy, stąd przebieranie nie zabierało nawet dziesięciu minut.



Tymczasem w jadalni nakryto do stołu. Południowy posiłek składał się z olbrzymiego półmiska pachnącego, napęczniałego ryżu, który stał na zawsze gorącej podstawie, i małych naczyń z przystawkami. Z reguły było to ragout, różne sosy i owoce. Podawany w południe ryż z dodatkami nie był głównym posiłkiem dnia; w tropikach obiad spożywa się wieczorem.

W jadalni panował gwar. Kurt zabawiał siedzących przy stole niezbyt wyrafinowanymi historyjkami, Hermann Strasser opowiadał dowcipy zasłyszane od jakiegoś handlarza, z którym ubił interes, a pani Lili wtórowała im piskliwym śmiechem.

Georg i Gonda siedzieli przeważnie milcząc. Rzuciło jej się w oczy, że rysy Georga boleśnie stężały. Wyraźnie cierpiał z powodu pozostawiającego wiele do życzenia tonu, jaki panował pod należącym na dobrą sprawę do niego dachem.

Gondzie też sprawiał przykrość ten niewyszukany, a może wręcz prostacki sposób bycia, choć nie miała zwyczaju wynosić się nad otoczenie, mało tego, często śmiała się serdecznie z dowcipów opowiadanych przez usługujących im w Dahomy Malajów. Doskonale wiedziała, jak Georgowi jest przykro, że mężczyźni nie powściągają języków ze względu na jej obecność. Naturalnie ukrócenie ich rubasznego zachowania to była sprawa Lili, cóż z tego, kiedy ona sama doskonale się bawiła, zakładając, że tak samo jest z Gondą.

Gonda i Georg byli radzi, kiedy wstano od stołu i obaj panowie zniknęli w swoich pokojach, aby uciąć sobie drzemkę. Kiedy na powrót znaleźli się na werandzie, Georg powiedział cicho:

— Znów muszę cię prosić o wybaczenie, że moja rodzina tak się zachowywała w twojej obecności. Niestety nie mogłem ci tego oszczędzić, bo gdybym wyrzekł choćby jedno słowo, Kurt na złość zachowywałby się jeszcze gorzej.

— Nie przejmuj się, Georg, ja nie słyszę tego, czego nie chcę słyszeć. Przecież wiesz, że przyjeżdżam wyłącznie do ciebie.

Starła się być pogodna, wiedząc, ile to dla Georga znaczy. On formalnie żył taką rozmową, która pobudzała do myślenia gimnastykując umysł i niosła ze sobą więcej treści niż pierwsza z brzegu wymiana zdań, do jakich przywykł w do-

mu. Jego oczy zabłysły ożywieniem, z czego Gonda serdecznie się ucieszyła. Toczona przez nich rozmowa świadczyła, że tych dwoje ludzi otrzymało starannejsze wykształcenie, niż można się było tego spodziewać, jako że wychowywali się z dala od świata. Była to niewątpliwa zasługa obu matek, a także Klause Rutharta, który również był wykształconym człowiekiem.

Tych parę wspólnych chwil minęło dla nich o wiele za szybko. W porze picia herbaty wyszli ze swoich pokoi inni mieszkańcy domu. Gonda zaczęła się spობić do odjazdu. Musiała jeszcze za dnia wrócić do Dahomy, inaczej ojciec bardzo by się o nią niepokoił.

Kurt miał wyraźną ochotę odprowadzić kawałek Gonde, zanim jednak zdążył wyrazić swój zamiar, Georg powiedział nie znoszącym sprzeciwu tonem:

— Odprowadzę cię do lasu, Gondo.

— Nie zmęczy cię to za bardzo? — spytała z troską, a jednak rada, że Kurt na powrót kołysze się leniwie w fotelu. — Wiesz co? Poprowadzę konia za uzdę, dopóki się nie pożegnamy.

Szli wolno obok siebie, ścigani z werandy złośliwym spojrzeniem Kurta, który zazdrościł bratu, że Gonda wybrała jego towarzystwo. Zawsze mu się wymykała. A właśnie w ostatnim okresie jego uczucia do niej wyraźnie się skryształizowały. Widział w niej teraz pożądaną kobietę, święcie przekonany, że Georg mimo zapewnień także nie żywi wobec Gondy wyłącznie braterskich uczuć.

Tych dwoje schodziło tymczasem powoli w kierunku lasu. Georg wydawał się odrobinę zmęczony, na co wskazywały pochylone ramiona, z każdym krokiem jednak szło mu lepiej. Gonda zauważyła, że wyteża wszystkie siły, aby iść prosto i sprawiać wrażenie, że czuje się silniejszy, niż było w istocie. Nie podejrzewała jednak, że kosztuje go to aż tak wiele, inaczej by go odesłała.

Kiedy znaleźli się na skraju lasu, wskoczyła na siodło, zanim zdążył jej pomóc.

— Nie wolno ci tego robić! Musisz oszczędzać siły na drogę powrotną. Przecież będziesz musiał wspinać się pod górę. — Usadowiła się w siodle i wyciągnęła do niego rękę. — Do widzenia, Georg!

—Do zobaczenia, Gondo! Przyjadę do Dahomy najpóźniej w niedzielę.

—Ale tylko wtedy, gdy będziesz się dobrze czuł, słyszysz? Jeśli nie przyjedziesz do nas w niedzielę, czekaj mnie w poniedziałek.

— Na pewno przyjadę!

—Nie próbuj robić niczego na siłę, bo możesz sobie zaszkodzić. Przyrzekniesz mi, że nie zrobisz głupstwa?

—Och, mam dość tego ciągłego uważania na zdrowie — rzucił prostując się.

Pogroziła mu palcem.

— Bądź rozsądny i nie przysparzaj mi trosk.

Na moment oparł policzek na jej kolanie i śmiejąc się uniósł w górę oczy.

— Tak, tak, jestem już tak rozsądny, że niebawem posiwieją mi włosy. Rozbawieni spojrzeli na siebie, po czym Gonda ruszyła stępa. Patrzył

za nią, dopóki nie znikła z pola widzenia. Potem odwrócił się z westchnieniem. Miał uczucie, jakby wraz z Gondą zaszło słońce. Droga pod górę była dla niego zbyt męcząca, musiał więc raz po raz przystawać dla zaczerpnięcia tchu. Jego serce biło przy tym głośno i ciężko.

## 2

---

Następnego ranka zasiedli do śniadania na werandzie. Gonda zajęła miejsce naprzeciwko ojca, a gdy służący wniósł chrupiące tosty, drugi zaś napełnił filiżanki, odprawiła ich ruchem ręki i od tego momentu własnoręcznie obsługiwała ojca, ponieważ zależało jej na tym, aby zostać z nim sam na sam. Tego dnia miała na sobie białą suknię o skromnym, a przy tym jakże eleganckim kroju, w któ-

rej wyglądała tak czarująco, iż trudno było brać za złe Klausowi Ruthartowi, że przygląda jej się z ojcowską dumą.

— Wybierasz się dzisiaj na objazd plantacji, papo?

— Nie przed południem, Gondo. Mam tu coś do zrobienia w domu, a jutro chcę jechać do Palembang.

— Mogłabym jechać z tobą?

— Oczywiście, jeśli tylko chcesz. Oczy dziewczyny zabłysły.

— Jestem gotowa jechać w każdej chwili. Masz jakieś sprawy do załatwienia w Palembang?

— Tak.

— A kiedy wrócimy?

— W piątek lub w sobotę.

— To dobrze. W niedzielę ma nas odwiedzić Georg. Gdybyśmy nie zdążyli wrócić przed niedzielą, musiałabym mu wysłać wiadomość, aby nie jechał na próżno. Ta droga jest dla niego jeszcze zbyt wyczerpująca.

— Ależ nie, wcale nie musisz odwoływać jego wizyty. Wrócimy najpóźniej w sobotę wieczór.

Gonda popatrzyła badawczo na ojca. Naraz wydało jej się, że dostrzega w jego twarzy coś obcego. Był dziwnie zamyślony. Po chwili zawołała nieco zaniepokojona:

— Papo!

Drgnął, wyrwany z zamyślenia, i spojrzał na nią zdziwionymi oczami.

— O co chodzi, Gondo?

— Nie podobasz mi się, papo. Może źle się czujesz? Wyglądasz dziwnie blade.

— Nie, nie, czuję się całkiem dobrze.

—A więc coś ci leży na sercu i nie daje spokoju? — dopytywała się. — Wyglądasz na zatroskanego. Tak, właśnie tak. Jakieś zmartwienia, papo?

Uśmiechnął się blado.

—Masz dobry wzrok, zupełnie jak twoja droga matka. Z miejsca potrafiła dojrzeć, że coś jest nie tak jak należy.

—A więc co jest nie w porządku, papo? Powiedz, proszę, może będę ci mogła pomóc.

— Tak samo energicznie żądała twoja matka, abym się z nią dzielił kłopotami.

— Postaram się zastąpić mamę tak dobrze, jak umiem. Spojrzał na nią zamyślony.

— To nie kłopoty, Gondo, lecz... muszę ci się wypowiadać. Przesuwałem to z dnia na dzień, ale już najwyższy czas to zrobić, tym bardziej że skłaniają mnie do tego okoliczności.

Przyjrzała mu się z uwagą, wyraźnie zaniepokojona.

—Wypowiadać?! To brzmi osobliwie, papo. W każdym razie już wczoraj wieczorem po powrocie z Ramovy spostrzegłam, że błędzisz myślami gdzieś daleko ode mnie.

—Albo bardzo blisko ciebie. Owszem, masz rację, że byłem nieobecny duchem. Wczoraj nadeszła poczta z Niemiec.

—Złe wiadomości?

—Nic takiego, co by mnie głęboko poruszyło, ale co może nieoczekiwanie przyspieszyć realizację pewnego planu. Nie będę cię zanudzał długimi wyjaśnieniami, ale od razu przystąpię do sedna sprawy.

Skinęła stanowczo głową.

—Tak, ojczy, jeśli mam połknąć coś nieprzyjemnego, niech się to odbędzie jak najszybciej! Muszę wyznać, że jestem już poważnie zaniepokojona.

—To nie będzie takie straszne — wyjaśnił uśmiechając się lekko. — Wyjeżdżamy do Niemiec.

Jej twarz natychmiast się rozpromieniła.

—Och, coś takiego połykam z rozkoszą — zawołała ze śmiechem. — Pomyślałeś o tym, że czas zmienić klimat, prawda?

—Nie czujesz się chyba źle? — spytał z niepokojem.

—Ależ skąd! — Wyciągnęła do niego rękę. — Czuję się zdrowa i silna, z mojego powodu nie musimy zmieniać klimatu, lecz tobie by się to na pewno przydało.

—Tak, za kilka tygodni skończę pięćdziesiąt lat — westchnął. — Mówię całkiem otwarcie, dziecko, że bardzo tęsknię do Niemiec.

—Ja też, papo, i już się cieszę na te miesiące, które tam spędzimy.

—Tym razem nie jedziemy na kilka miesięcy, jak to bywało do tej pory, lecz na zawsze.

Niespodziana wiadomość zapaliła złote iskielki w jej oczach.

—Papo!

Poderwała się, okrążyła stół i zarzuciła mu rękę na szyję.

— Tak, dziecko, planowałem to już od dawna, ale nie chciałem o tym z tobą rozmawiać, dopóki wszystko nie zostanie ustalone. Rozumiesz, muszę sprzedać naszą posiadłość, jeśli mamy na stałe przenieść się do Niemiec, a ja... ja nie chciałbym na tym stracić. Od dawna liczyłem się z taką koniecznością. Nie mam sumienia trzymać cię dłużej w tropikach, niż to konieczne. Niekiedy myślę sobie, że twoja droga matka nie odeszłaby tak szybko od nas, gdybyśmy wcześniej wrócili do Europy. Ty zresztą też nie możesz wiecznie żyć na odludziu. Jesteś młoda, a młodość ma swoje prawa. Ja też chętnie spędzę resztę mego życia w ojczyźnie. Przede wszystkim jednak dręczy mnie pytanie, co stanie się z naszą posiadłością, gdy mnie zabraknie. Zarządzanie plantacjami wymaga od człowieka siły i niespożytej energii, a już na pewno jest ponad siły kobiety. Nawet mnie

niekiedy jest już ciężko. Od roku zatem badam teren poszukując kupca. Z początku wyglądało na to, że trudno będzie sprzedać na dobrych warunkach posiadłość taką jak nasza, ale właśnie wczoraj otrzymałem propozycję. Przyszła w samą porę. Nie zadowala mnie ona co prawda do końca, ale i tak jest korzystniejsza niż to, czego się spodziewałem. Tą samą pocztą otrzymałem także list z Niemiec, który mi nie pozwala na ociąganie. Wzywa mnie do ojczyzny obowiązkiem, moje dziecko.

Wyraz twarzy Gondy był jednym wielkim znakiem zapytania.

— Obowiązek, papo?

Podniósł się, posadził ją z powrotem w fotelu i pogłaskał lekko po twarzy.

— Tak, Gondo. Ojcowski obowiązek. Wreszcie nadszedł czas, aby to powiedzieć — masz w Niemczech siostrę.

Gonda aż pobladła z emocji, z napięciem wpatrując się w poważne oblicze ojca.

— Siostrę? Naprawdę? Jak to możliwe, papo? Usiadł w fotelu naprzeciwko ujmując jej rękę.

— Prawda, że to brzmi jak bajka? Ale tak jest naprawdę. Twoja droga matka i ja przemilczeliśmy ten fakt przed tobą, aby ci oszczędzić niepotrzebnych dociekań. Tymczasem wyrosłaś na rozsądną dziewczynę, więc powinnaś się dowiedzieć wszystkiego, bo potrafisz to zrozumieć. Zanim ożeniłem się z twoją matką, byłem już wcześniej przez ponad rok żonaty. Moja pierwsza żona umarła w parę dni po urodzeniu dziewczynki, która na chrzcie otrzymała imię Helga. Kiedy opuszczałem Niemcy, aby objąć zarząd nad Dahomy, została w Niemczech z babką, matką mojej pierwszej żony.

Gonda drżała na całym ciele z emocji, zaraz potem jednak wyprostowała się i niepewnym ruchem przetarła ręką czoło.

—Dlaczego zatailiście to przede mną, mama i ty?

—Już ci przecież mówiłem. Ponieważ byś pytała, usiłowała dociekać, a może nawet byś zaczęła tęsknić za siostrą. Poza tym musiałem zachować tajemnicę

przed rodziną. Nikt z moich bliskich nie wie, że ożeniłem się po raz wtóry na Sumatrze. Helga tak samo nie wie o tobie, jak ty nie wiedziałaś do dzisiaj o niej. Przypominasz sobie, jak za każdym naszym pobytem w Niemczech opuszczałem na kilka tygodni ciebie i matkę?

—Tak, mówiłeś, że masz do załatwienia jakieś sprawy.

—To był tylko wykręt. Po prostu nie chciałem cię niepokoić. Twoja matka jednak wiedziała, że ten czas, kiedy nie ma mnie przy was, spędzam w zamku Santen z Helgą.

Oszołomiona Gonda złożyła dłonie.

—Ale po co... po co to wszystko, po co była ta cała tajemnica?

—To długa historia, moje dziecko, więc musisz uzbroić się w cierpliwość i wybaczyć, w razie gdybym opowiadał nieco rozwlekle. Miałem niecałe dwadzieścia osiem lat i pracowałem już od dłuższego czasu w fabryce mego ojca, kiedy pewnego ranka poznałem w trochę niecodzienny sposób Ellen von Santen. Wybrałem się na wycieczkę w lasy w pobliżu mego rodzinnego miasta. Przemierzałem właśnie polanę, gdy raptem z lasu wypadła jakaś kobieta na koniu. Koń pędził prosto w kierunku kamieniołomu, a z siodła zwisała na wpół nieprzytomna kobieta. W mig oceniłem sytuację i widząc, że może być źle, puściłem się biegiem za rozszalałym koniem, aby go zatrzymać dosłownie nad urwiskiem. Ellen von Santen osunęła się bez czucia w moje ramiona, a ja zrobiłem wszystko, aby przywrócić ją do przytomności. Potem towarzyszyłem jej do zamku, bo nie czuła się na tyle dobrze, aby mogła sama udać się w drogę powrotną, prowadząc cały czas konia za uzdę. Zamek Santen leży o dobre dwie godziny drogi od Kassel, mojego miasta rodzinnego, a do tragediiomal nie doszło w miejscu leżącym o jakieś pół godziny drogi od zamku.

W ten sposób zawarliśmy znajomość, Ellen i ja. Wcześniej nigdy się nie widzieliśmy, jako że ona z racji swego urodzenia należała do wyższej warstwy społecznej. Mimo to już pierwszego dnia, całkiem nieświadomie, zdobyłem serce Ellen. Była cokolwiek nerwowa, odrobinę znudzona i niemożliwie rozpieszczona przez matkę, która poza Ellen nie miała dzieci.



Ellen widziała we mnie mężczyznę, który uratował jej życie, czemu ja zresztą nie przeczyłem. Od owej pamiętnej niedzieli stale szukała mego towarzystwa, często otwarcie mi się narzucając, tak że zaczęło już o tym być głośno. Niestety nie potrafiłem odwzajemnić jej miłości, Ellen w żadnym wypadku nie była kobietą, która mogłaby zawładnąć moim sercem. Kierując się uczuciem litości nie umiałem jej tak całkiem odtrącić, ale w miarę możliwości starałem się trzymać z daleka. Było mi przykro, kiedy rozeszły się pogłoski, że wykorzystując sytuację staram się o rękę bogatej dziedziczki. Ellen coraz wyraźniej mówiła o swych uczuciach do mnie, ja zaś prze-myślałem nad tym, jak w łagodny sposób się od niej uwolnić. Mogłem po prostu zachować się nie po rycersku, mówiąc jej bez ogródek, że ani myślę pojąć ją za żonę, lecz ona nie była przyzwyczajona do tego, aby rezygnować z czegoś, czego zapragnęła. Nie mieściło się w jej głowie, że mógłbym nie odwzajemnić jej uczuć. Jej matka z początku dziękowała mi wylewnie, że uratowałem życie córce, którą kochała ślepą miłością, lecz z miejsca spostrzegła, że nie odwzajemniam uczuć Ellen. To sprawiło, że z dnia na dzień jej wdzięczność zmieniła się w nienawiść, na jaką naprawdę nie zasłużyłem.

Ellen nie była piękna ani nawet powabna, za to bardzo próżna, w czym utwierdzało ją wielu nadskakujących młodzieńców, którym zależało wyłącznie na jej bogactwie. Ellen jak gdyby tego nie widziała. W owej próżności umacniała ją jeszcze bezgraniczna miłość matki, robiąc z niej leniwe stworzenie, które uważało, że każde jego życzenie musi zostać spełnione. Ellen z pewnością mnie kochała, niestety miłością zarozumiałego, rozpieszczonego dziecka, któremu nie wolno się sprzeciwiać. Postawiła na swoim, zawierając znajomość z moją siostrą Käthe. Poprzez nią dostała się do naszego domu, nie oglądając się na to, co powiedzą ludzie. Za wszelką cenę chciałem wydostać się z pułapki, lecz nie umiałem tego zrobić inaczej, jak planując długą podróż, tylko po to, aby zejść jej z oczu. Poprosiłem ojca o dłuższy urlop, mówiąc otwarcie, że uciekam od Ellen von Santen. Ojciec wysłuchał mnie przerażony i wtedy mi wyznał, że stoi u progu bankructwa, jeśli nie uda mu się pożyczyć większej sumy pieniędzy. Ku swej rozpaczy dowiedziałem się, że z prośbą o pożyczkę zwrócił się nie do kogo innego, a do pani von Santen, matki Ellen. „Jeśli chcesz nas uratować, Klausie, to błagam cię, nie wyjeżdżaj — zaklinał mnie. — Nie broń się przed miłością Ellen,

lecz zacznij oficjalnie starać się o jej rękę. Inaczej dziedziczka na zamku Santen odmówi mi pożyczki i będziemy zrujnowani".

Słuchałem tego jak sparaliżowany, nie wiedząc, co począć. W tym momencie stanęła przed nami pani von Santen. Käthe niestety zdradziła Ellen, że zamierzam wyjechać na dłuższy czas. Odchodząc od zmysłów Ellen popędziła do domu i oświadczyła matce, że umrze, jeśli nie zostanie jej mężem... Przerażona matka pospieszyła zatem do mego ojca i zastała nas obu. Roztrzęsiona powtórzyła słowa Ellen, prosząc zarazem, abym nie wpędzał córki do grobu, skoro uratowałem jej życie. Ellen nie zniesie, gdy wyjadę, a ja będę winien jej śmierci. Obiecała memu ojcu każdą formę pomocy, jeśli tylko ja będę gotów poślubić Ellen. Cóż miałem robić? Wiedziałem, co znaczyło wypowiedzenie tej prośby dla dumnej pani V von Santen. Była to niesłychana ofiara z jej strony. Ona, szlachetnie urodzona, wyniosła dziedziczka, musiała aż tak się upokorzyć, aby poprosić mieszczanina o poślubienie swej córki. Przyszło mi później wiele wycierpieć z jej powodu, lecz tej godziny, kiedy musiała się upokorzyć przed mieszczańskim synem, nie zapomniałem nigdy i traktowałem zawsze jako okoliczność łagodzącą. Prosząc mnie, jednocześnie nienawidziła całym sercem, i tak już zostało. Pomyślałem o ojcu, matce i siostrze, chciałem uratować ich od ruiny, a więc nie mogłem postąpić inaczej, jak wyrazić zgodę na poślubienie Ellen i przyrzec, że nigdy nie dam jej do zrozumienia, iż to matka mnie o to prosiła. Choć nie kochałem Ellen, nie oddałem też serca żadnej innej kobiecie. Nie byłem aż takim egoistą, żeby myśleć tylko o sobie, musisz jednak wyobrazić sobie walkę, jaką przyszło mi ze sobą stoczyć, zanim się zdecydowałem jechać do zamku Santen w roli oficjalnego konkurenta. Ellen była więcej niż szczęśliwa, szczebiotała i śmiała się na przemian, całkiem jak dziecko, które dostało upragnioną zabawkę. Pani von Santen dała nam swe błogosławieństwo, ale w jej oczach płonęła nienawiść do mnie. Nigdy mi nie darowała, że nie kochałem jej córki i że tak bardzo się musiała przede mną upokorzyć.

Starałem się zrobić wszystko, aby Ellen była szczęśliwa, bo skoro już ją poślubiłem, uważałem to za swój obowiązek. Nigdy się nie dowiedziała, że nie ożeniłem się z nią z miłości, tylko niejako pod przymusem, zresztą jej próżność i tak by jej nie pozwoliła w to uwierzyć. Matka Ellen postawiła warunek, że mamy zamieszkać na zamku Santen. Musiałem zatem porzucić swój fach i stać się zie-

mianinem, ponieważ po śmierci dziedziczki miałem przejąć zarząd nad wielką posiadłością ziemską należącą do zamku. Wydawało mi się to rozsądne, więc się zgodziłem, lecz teraz wiem, że pani von Santen chodziło jedynie o to, aby mieć mnie cały czas pod kontrolą. Teściowa nie dopuszczała mnie do interesów, w tych sprawach była zresztą bardzo skrupulatna, a długoletni zarządca spełniał wszystkie jej rozkazy. Dla mnie praktycznie nie zostawało nic do roboty. Choć miałem najszczerze chęci, aby stać się użytecznym, snułem się beznadziejnie po zamku i wszędzie czułem się niepotrzebny.

Być może małżeństwo z Ellen nie byłoby takie przytłaczające, gdybym mieszkał z nią sam i mógł wypełnić dni wyczerpującą pracą. Mój ojciec otrzymał przyrzeczoną pożyczkę, a pani von Santen wykorzystała sytuację, aby mi odpłacić za wszystko. To ona buntowała Ellen, utwierdzając ją w jej humorach i wybrykach. Przyszło do tego, że nawet w przypadku drobnych spięć, których przy charakterze Ellen nie sposób było uniknąć, matka zawsze stawiała po stronie córki, przy czym kłuły mnie w oczy swoim bogactwem, którego mi się niby zachciało. Kiedy powiedziałem Ellen, że samą mnie zmusza, abym się od niej odsunął, tak długo płakała, aż odwołałem swoje słowa. Takie sceny głęboko mnie raniły, choć stale zapewniała mnie o swej miłości.

To był straszny rok. Moja duma buntowała się, cierpiałem niewypowiedziane męki, będąc zależnym od obydwu kobiet, które były ulepione z innej gliny. Ich styl życia był mi obcy, niestety nie wiedziałem, jak położyć tej sytuacji kres. Moje położenie było straszne, pani von Santen nieufnie śledziła każdy mój krok, choć naprawdę nie potrzebowała tego robić, bo nie miałem nic do ukrycia. Jej zdaniem nie dawałem żonie dostatecznych dowodów miłości, zmieniała mi więc życie w prawdziwe piekło. Wreszcie swoimi głupimi pomówieniami doprowadziła do tego, że Ellen zaczęła być zazdrosna o każdą istotę płci żeńskiej, jaka znalazła się w pobliżu mnie. Nie miałem sobie w tym względzie nic do wyrzucenia, lecz matka swymi podszeptami budziła w niej nieufność do mnie.

Chorobliwa zazdrość Ellen jeszcze wzrosła, kiedy poczuła, że będzie matką. Stała się wręcz nie do zniesienia. Zadęrczała się myślą o bliskiej śmierci, a tym samym dręczyła i mnie, zmuszając do złożenia przysięgi, że jeśli ona umrze, ja już nigdy nie poślubię innej kobiety. Robiłem wszystko, aby ją uspokoić, nie

wierząc, aby miała jakiegokolwiek podstawy do obaw. Gdy matka pewnego dnia usłyszała, o co prosi jej córka, wycedziła przez zęby posyłając mi pełne nienawiści spojrzenie: „Przynajmniej to mógłby pan dla Ellen zrobić. Takie przyrzeczenie by ją uspokoiło. Każde najmniejsze zdenerwowanie wyraźnie przecież szkodzi jej zdrowiu, więc nie mogę pojąć, dlaczego pan się jeszcze ociąga. W jej stanie nie wolno się denerwować”. Możesz mi wierzyć, Gondo, że w tamtych dniach nie myślałem o ponownym ożenku, nawet gdyby Ellen miała umrzeć. Było mi to tak obojętne, a że chciałem mieć święty spokój, toteż niewiele myśląc dałem słowo, zmuszony przez matkę i córkę.

Ucieszyłem się, że Ellen dzięki temu znacznie się uspokoiła. Nie zastanawiałem się, co tak naprawdę oznacza złożona przeze mnie przysięga, rad, że mnie przestała zadrećcać.

Wreszcie urodziła się Helga — i rzeczywiście nastąpiło to, czego Ellen tak się obawiała. W kilka dni po rozwiązaniu bardzo się podenerwowała, zresztą niewspółmiernie do drobnego niedopatrzenia pielęgniarki, którą przyjęła do dziecka jej matka. Krzyczała, drżała na całym ciele i długo nie dawała się uspokoić. Z tego wszystkiego wywiązała się wysoka gorączka i następnego dnia Ellen zmarła w ramionach matki.

Byłem tak zmęczony tymi przejściami, że zrazu nie trafiało do mnie, iż odzyskałem wolność. Oczywiście było mi przykro z powodu śmierci Ellen, żywiłem nawet niejakię współczucie dla jej nieszczęsnej matki, ale to przecież niczego nie zmieniało. Poza tym śmierć Ellen nie oznaczała wolności w pełnym znaczeniu tego słowa i nie zapowiadała odmiany mego losu. Spadkobierczynią włości Santen była teraz mała Helga i ta drobna istotka ustami swej babki rządziła wszystkim, gdyż dziedziczka straciwszy córkę, z tym większym zapamiętaniem oddała serce wnuczce.

Mnie wyznaczyła w mało delikatny sposób rentę, raniąc mnie tym do głębi, której wypłacanie miało jednak zostać natychmiast zawieszony, gdybym ośmielił się opuścić Santen. Nie ruszyłem feniga z tych pieniędzy, lecz i tak nie mogłem opuścić zamku, gdyż teściowa oświadczyła mi z lodowatą drwiną: „Będzie pan mógł opuścić zamek dopiero wtedy, gdy pański ojciec odda mi całą pożyczoną sumę. Do tego czasu pozostanie pan w moim domu jako poręczyciel”. Ale ona

chciała mnie trzymać w pobliżu tylko po to, aby móc mnie ciągle od nowa upokarzać i prześladować nienawiścią. W gruncie rzeczy byłem tylko uciążliwym rezydentem, który ku jej zmartwieniu miał prawo nazywać się ojcem jej ukochanej wnuczki. Od pierwszego dnia trzymano mnie z daleka od Helgi, babka roztoczyła nad nią opiekę i wzięła w swe ręce jej wychowanie. Nie pozwalała mi nawet spojrzeć na dziecko, a kiedy mi się to wreszcie udało i zobaczyłem, jaka jest podobna do matki, muszę się przyznać, że nie byłem zdolny obudzić w sobie miłości do niej. Może zresztą dlatego nie próbowałem wtedy dochodzić moich ojcowskich praw. Ponieważ nie mogłem Helgi kochać tak, jak z pewnością miałoby to miejsce w innych okolicznościach, uznałem, że nie ma sensu kłócić się o nią z jej babką, i nie miałem dość serca, aby zdjąć z pani von Santen ciężar odpowiedzialności za Helgę.

Możesz sobie wyobrazić, Gondo, jakie to wszystko było dla mnie straszne. Należałem do żadnych czynu, energicznych ludzi, którzy tęsknią do pracy absorbującej wszystkie siły, lecz nie mogłem nic robić z powodu kobiety, której nienawiść mnie usidliła. Musiałem się trzymać z daleka od spraw związanych z zarządzaniem posiadłością, gdyż prawdopodobnie czuła, iż najdotkliwiej może mnie ugodzić skazując na bezczynność.

Wreszcie nadeszło wyzwolenie. Moja siostra znalazła poważnego konkurenta, którego pokochała z całego serca. Był to zamożny człowiek, gotów zostać współwłaścicielem fabryki mego ojca i w ten sposób poprzez zastrzyk kapitału podnieść ją z upadku. Ojciec przeczuwał chyba, jakie cierpię męki, choć nie chcąc go martwić nigdy się nie skarżyłem. Poprosił mego szwagra o sumę równą tej, którą pożyczył od pani von Santen. Szwagier z miejsca dał ojcu tę sumę, byłem mu więc bezgranicznie wdzięczny, jako że oznaczała ona dla mnie uwolnienie od haniebnego niewolnictwa nienawiści. Możesz sobie wyobrazić, jak byłem szczęśliwy, gdy ojciec wręczył mi te pieniądze, abym oddał je teściowej.

Przypadek sprawił, że właśnie w tym czasie zmarł kuzyn ojca, zostawiając mu, w braku innych spadkobierców, Dahomy. Miała to być przynosząca spory dochód posiadłość, ale z powodu choroby właściciela nieco zaniedbana. To była prawdziwa gratka dla mojej tłumionej tak długo żądy czynu. Poprosiłem ojca, aby zapisał mi Dahomy. Mojej siostrze przypadłaby wtedy fabryka, o ile jej mąż

nie stałby się tymczasem współwłaścicielem rodzinnego interesu. Do ugody przyszło bardzo łatwo; szwagier obstawał przy tym, abym wziął jeszcze małą sumę od niego jako wyrównanie. Suma ta przydałaby mi się na początek, bo inaczej musiałbym zaczynać z pustymi rękami. Z pomocą szwagra odzyskałem wolność, a fabryka dzięki wkładowi kapitału funkcjonowała tak jak nigdy. Czułem się jak człowiek wypuszczony z więzienia i z radosną niecierpliwością myślałem o tym, że w Dahomy będę miał pracy ile dusza zapagnie. To był dla mnie rodzaj zadośćuczynienia, kiedy wreszcie mogłem zwrócić teściowej pożyczoną sumę i oświadczyć jej, że płynę na Sumatrę. Tam jej nienawiść nie mogła mnie dosięgnąć. Popatrzyła na mnie z nie skrywanym wstrętem, po czym oznajmiła twardo: „Dziecka nie oddam! Helga pozostanie ze mną!”

I tak nie mógłbym wziąć wtedy Helgi ze sobą na Sumatrę. Co bym począł w obcym otoczeniu z małym dzieckiem! Przekonany, że Heldze nigdzie nie będzie tak dobrze jak u babki, przyjąłem postawiony warunek, obstawałem jednak przy tym, że ilekroć przyjadę do Niemiec, spędzę z dzieckiem tyle czasu, ile będzie mi się podobało. Wtedy pani von Santen oświadczyła: „A więc będzie pan musiał wtedy mieszkać na zamku, ja w każdym razie nie pozwolę jej nigdzie wywieźć”. Byłem tak szczęśliwy, że znowu jestem wolny, więc nie zastanawiając się odparłem ze śmiechem: „Będzie zatem musiała pani od czasu do czasu znosić moją obecność, tak jak ja będę zdany na przymusowe towarzystwo pani. Ze względu na Helgę będziemy musieli wytrzymać wtedy razem parę tygodni. Teraz, kiedy jestem wolny, nie będzie mi to przeszkadzało”.

Oddałem jej też w całości wyznaczoną mi niegdyś rentę. Zmierzyła mnie nabrzmiałym nienawiścią wzrokiem, lecz ten nie sprawiał już na mnie wrażenia. Kiedy zacząłem się żegnać, przypomniała twardo: „Niech pan nie zapomina o przyrzeczeniu, jakie dał pan mojej nieszczęsnej córce”. Wzruszając ramionami oświadczyłem, że po doświadczeniach pierwszego małżeństwa z całą pewnością nie pragnę drugiego. Wydało mi się śmieszne, że tak uroczyście mi o tym przypomina, była to zresztą ostatnia strzała jej nienawiści, lecz mnie nie dosięgła. Teściowa wiedziała tak samo dobrze jak ja, że ta przysięga została na mnie wymuszona i że nigdy bym jej dobrowolnie nie złożył.

Pożegnanie z moją małą córeczką nie było dla mnie ciężkim przeżyciem. Wiodła we mnie tylko obcą osobę, co oczywiście było dziełem babki, i zaczynała płakać, kiedy zobaczyła mnie w pobliżu. Dziecku po prostu musiano wmawiać, że jestem osobą, której powinno się bać. Wybiegałem myślą w przyszłość i nie lękałem się, że to kiedykolwiek może się zmienić. Czułem podświadomie, że ta obcość stanie się jeszcze większa, gdy dziewczynka zacznie dorastać. Od tego czasu byłem czterokrotnie w Niemczech i zgodnie z umową za każdym pobytom spędzałem kilka tygodni w zamku, próbując zbliżyć się do córki. Niestety nie przychodziło mi to łatwo. Za każdym razem między panią von Santen a mną toczyła się niema, lecz zacięta walka o wyłączne prawo do dziecka. Dzięki Bogu mój zmysł humoru pozwalał mi wyjść z tego obronną ręką. Tymczasem przecież zostałem szczęśliwym mężem i ojcem, o czym teściowa naturalnie nie miała pojęcia.

Po serdecznym pożegnaniu z rodziną, kiedy to moja siostra przyrzekła, że będzie mieć baczenie na Helgę, ruszyłem na Sumatrę. Już na parowcu poznałem prawdziwą miłość, twoją drogą matkę. Oszołomiony szczęściem, które ofiarowała mi miłość, w ogóle nie myślałem o danym słowie. Kiedy przypominałem sobie o nim, było już za późno, twoja matka zgodziła się zostać moją żoną. Tak czy tak nie miałem zamiaru rezygnować ze szczęścia dla jakiegoś tam bezsensownego, a co gorsza wymuszonego przyrzeczenia. Wyznałem wszystko twojej matce, lecz nie dręczyłem się wyrzutami sumienia, ponieważ nigdy nie uważałem mojej przysięgi za wiążącą. Wiesz dobrze, że raz dane słowo jest dla mnie święte, w tym wypadku jednak nie czułem się nim związany. Aby jednak ustrzec twoją matkę i ciebie przed wrogością mojej byłej teściowej, nie napisałem do domu o swym ponownym małżeństwie. Nie chciałem stawiać bliskich w kłopotliwej sytuacji wobec pani von Santen, musieliby przecież wszystko przed nią ukrywać albo wprost kłamać. O nas nie musiałem się lękać. Sumatra była tak daleko, twoja droga matka i ja wystarczaliśmy sobie w zupełności, a nasze szczęście dopełniło się, gdy urodziłaś się ty, moja Gondo. Wtedy poznałem, co to znaczy być szczęśliwym ojcem.

Na początku nie było w Dahomy łatwo. Zostałem tu trudniejsze warunki, niż się spodziewałem, więc cieszyłem się, że twoja matka zostanie jeszcze przez rok w Ramovie jako wychowawczyni Georga. Mobilizując wszystkie siły udało mi

się zaprowadzić w Dahomy ład. Znalazłem wspaniałe pole działania i wprost upajałem się pracą. Kiedy wreszcie doprowadziłem do porządku Dahomy, co zajęło mi prawie cały rok, zabrałem twoją drogą matkę do siebie i zaczęło się dla nas prawdziwe życie, wypełnione szczęściem, pracą i wewnętrzną harmonią. Zapomniałem o udreće mego pierwszego małżeństwa, twoja matka wynagrodziła mi wszystko, co wcześniej przyszło mi wycierpieć, a ty, Gondo, nauczyłaś mnie być ojcem.

Teraz już wiesz, dlaczego opuszczałem was na parę tygodni, gdy przebywaliśmy w Niemczech. Jechałem wtedy do Kassel, witałem się z rodziną, lecz zatrzymałem w Santen. Teściowa przyjmowała mnie ze zwykłą nienawiścią, ale strach, że zacznę dochodzić swych ojcowskich praw i zabiorę jej Helgę, trzymał tę nienawiść w ryzach. Unikaliśmy siebie jak ognia, widywaliśmy się tylko przy posiłkach, wiem też, jak cierpiała, gdy przebywałem z córką. Jej zaborcza tklivość zawsze wtedy stała na warcie. Oczywiście w ciągu tych krótkich tygodni nie udawało mi się sforsować muru, jaki wzniosła między Helgą a mną. Zauważyłem, że Helga, zupełnie jak we wczesnym dzieciństwie, woli trzymać się z daleka, widząc we mnie kogoś, kogo nie wolno drażnić. Musiałem razpo raz powtarzać sobie, że pani von Santen zaszczyca mnie swą nienawiścią powodowana ogromną macierzyńską miłością, i tylko podchodząc do całej sytuacji humorystycznie, udawało mi się przetrwać te tygodnie. Kiedy się zegnałem, niezmiennie powtarzała: „Niech pan nie zapomina o przysiędze”. Nigdy na to nie rzekłem słowa. Gdyby się dowiedziała, że jestem od dawna żonaty, urządziłaby mi straszną scenę. Chciałem sobie tego oszczędzić, mówię otwarcie.

Po spełnieniu ojcowskiego obowiązku wracałem, radosny jak uczeń, który właśnie rozpoczyna wakacje, do ciebie i twojej matki. Ostatni raz, jak byłem w ojczyźnie, moi rodzice już nie żyli; zabrakło także wśród żywych mojego szwagra, który zginął podczas jakiejś górskiej wędrowki. Käthe przekazała firmę młodszemu bratu swego męża, który zaczął pracować w fabryce tuż po śmierci mego ojca, i kazała sobie wybudować dom w pobliżu zamku Santen, gdzie chce spędzić resztę życia. Zawsze starała się trzymać blisko Helgi, próbując wywieranym przez siebie wpływem przeciwdziałać błędom wychowawczym, jakie popełniła jej babka. Käthe nie ma własnych dzieci, chętnie by więc wzięła Helgę do siebie, ale pani von Santen nigdy by się na to nie zgodziła, zazdrosna o uczucia



wnuczki. Tak się rzeczy miały jeszcze do niedawna. Ostatnio jednak wiele się zmieniło. Teraz się dowiesz, dlaczego obowiązki wzywają mnie do ojczyzny. Wczoraj otrzymałem od siostry wiadomość o śmierci byłej teściowej. Käthe pisze, że Helga nie ma pojęcia o zarządzaniu pozostawionymi jej przez babkę włościami. Pani von Santen, trzeba to przyznać, była bardzo pracowita, sama doglądała wszystkiego i wszystkim kierowała, pozostawiając pracownikom wykonywanie rozkazów, nie są więc przygotowani do zarządzania tak dużym majątkiem. Helga ma w tej chwili prawie dwadzieścia jeden lat, czyli jest starsza od ciebie o dwa lata. To zrozumiałe, że moim obowiązkiem jest teraz pomóc jej w zarządzaniu włościami Santen. Muszę pozostawić własne sprawy, choć i bez tego zamierzałem w przewidywalnej przyszłości przenieść się na stałe do Niemiec. Chcę oddać się do dyspozycji Helgi, zanim nie wyjdzie za mąż i jej przyszły mąż nie przejmie interesów.

Nadszedł już czas, aby Helga się dowiedziała, że ożeniłem się powtórnie i że ma siostrę. Skorzystam z nadesłanej oferty i sprzedam Dahomy. Prawdopodobnie nastąpi to w niedługim czasie. Wrócimy do Niemiec i zamieszkamy w zamku Santen. Helga nie może tam mieszkać sama, potrzebuje mnie, a ja się cieszę, że wreszcie mogę być jej pomocny. Mam nadzieję, że zdobędziesz jej miłość, choć jest mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek pokochała mnie, swego ojca. Zresztą teraz, kiedy nie jest pod wpływem babki, może i mnie okaże odrobinę serca. Ostatecznie jest moim dzieckiem. W każdym razie nie można jej pozostawić samej sobie. Z pewnością będzie jej brakowało babki, więc jeśli uda ci się zbliżyć do niej, moja Gondo, będzie to dla mnie wielką radością. Ciocia Käthe, moja siostra, będzie uszczęśliwiona mogąc poznać swoją drugą bratanicę, ma czułe serce i bardzo ją boli brak własnych dzieci. Oczywiście i ona dopiero teraz się dowie, że ożeniłem się po raz drugi; powiem jej to osobiście. Zawiozę cię najpierw do niej, a potem udamy się do zamku, aby wyjaśnić Wszystko Heldze. Zobaczymy, jak to się ułoży. Suma, jaką uzyskam ze sprzedaży Dahomy, zapewni nam w Niemczech dostatnie życie; będzie prawie podwójna w stosunku do wartości tego, od czego tu zaczynałem. Co będę robił później, kiedy Helga nie będzie już potrzebowała mej pomocy, tego jeszcze nie wiem. Nie zamierzam spocząć na laurach, na to jestem jeszcze Bogu dzięki za silny. Czas pokaże, może kupię później w Niemczech jakąś posiadłość.

Teraz, moja Gondo, kiedy wiesz już wszystko, musisz mi powiedzieć, czy dobrowolnie zechcesz pojechać ze mną do Niemiec i czy byłabyś zdecydowana pozostać tam na zawsze.

Odetchnąwszy głęboko Klaus Ruthart zamilkł i wpatrzył się wyczekująco w córkę.

### 3

---

Gonda wysłuchiwała relacji ojca z zapartym tchem. Nie uszło jej uwagi, że opowiadając mienił się na twarzy, a więc wcale nie był tak spokojny, jakim pragnął się okazać, choć bardzo się starał panować nad sobą. Gdy skończył, zerwała się i podbiegłszy do niego, żywiołowo go objęła.

— Mój kochany papo, mój biedny kochany papo, ileż ty musiałeś wycierpieć! A ja nic o tym nie wiedziałam! Pytasz, czy zechcę ci towarzyszyć do Niemiec? Ależ papo! Jak możesz w to wątpić! Tam gdzie będziesz ty, będę i ja! Wiesz przecież, jak często mama to powtarzała! Nigdzie nie będę szczęśliwa, jeśli ciebie nie będzie przy mnie. I nigdy nie przeszkodzę ci w spełnieniu twego obowiązku, wiesz przecież. To zrozumiałe, że twoim obowiązkiem jest stanąć teraz u boku Helgi. Nawet gdybym z niechęcią myślała o przeniesieniu się do Niemiec, i tak bym wiedziała, że to nieodzowne. Ale ja chętnie pojedę z tobą. To co mi opowiedziałeś, będę jeszcze musiała przemyśleć, nie dziw się więc, jeśli zapytam cię o to czy tamto. To wszystko spadło na mnie tak nieoczekiwanie! Najbardziej radosne z tego jest jednakowoż, to, że mam siostrę! I ona przez te wszystkie lata pozbawiona była twojej miłości, którą ja otrzymywałam niemal w nadmiarze! Jakże będę ją kochała! Zastąpimy jej kochającą babkę, prawda, papo?

Poruszony pogłaskał ją po włosach.

— Oby tylko ona zechciała dać się pokochać.

— O, my będziemy zabiegać o jej miłość, nawet jeśli zrazu nie przyjmie nas z otwartymi ramionami. Ja jej opowiem o tobie tyle dobrego, że prędko nauczy się ciebie kochać, czy chce tego, czy nie.

Klaus Ruthart zapatrzył się w dal gdzieś ponad głową córki. Jak wiele rozczarowań czeka jego czułą, kochającą Gondę! Upłynie sporo czasu, zanim otworzy się serce jej siostry, o ile to w ogóle kiedykolwiek nastąpi. Jemu samemu nigdy dotąd się nie udało odkryć żywszego uczucia w sercu Helgi. Wyrosła pod wpływem swej dumnej babki, która nauczyła ją nienawidzić własnego ojca. W każdym razie Helga była celowo odsuwana od niego, a on podczas swych rzadkich, krótkich odwiedzin nie miał możliwości dostatecznie temu przeciwdziałać. Także w stosunku do innych zachowywała się nader powściągliwie. Nie była co prawda tak kapryśna i uparta jak jej matka, ale tamta przy całym swoim złym wychowaniu przynajmniej kochała parę osób, choćby matkę i męża. Nic jednak nie wskazywało na to, aby Helga kochała babkę, która ją ubóstwiała i spełniała każde życzenie. Zapytywał sam siebie, czy na życiu Helgi nie zaciążył fakt, że nie była, tak jak Gonda, dzieckiem miłości? Może już urodziła się niezdolna do uczuć?

Tymi myślami jednak nie podzielił się z Gondą. Wiedział tylko, że jeżeli komukolwiek uda się pozyskać serce Helgi, to tą osobą będzie Gonda. Gonda miała takie bogactwo uczuć do zaoferowania siostrze, że ta nie będzie się umiała oprzeć jej urokowi, który wszystkich zniewalał.

Teraz Gonda zaczęła pytać. Musiał jej jeszcze tyle opowiedzieć i wyjaśnić! Jak wygląda Helga, jakie ma oczy i jaki kolor włosów, czy jest wysoka, czy niska. Chciała wiedzieć wszystko o ciotce Käthe, jak wygląda zamek Santen, czy wzniesiono go na równinie, czy też na wzgórzu, dosłownie wszystko.

Najbardziej jednak interesowała ją siostra. Dowiedziała się od ojca, że Helga jest wysoka i szczupła, ma ciemne włosy i niebieskie oczy, a choć nie można jej nazwać piękną, jest bardzo wytworna i dumna. Klaus Ruthart nie widział jej już prawie cztery lata, a przez cztery lata młoda dama może się niekiedy bardzo zmienić. Kiedy był ostatnio w Niemczech, nie miała jeszcze siedemnastu lat, ale już wtedy sprawiała wrażenie wielkiej damy. Poważna i milcząca, wyglądała na starszą, niż jest w istocie. Ma może nieco za wysoki, ostry głos, zupełnie jak jej

matka, lecz celowo go zniża i nigdy nie mówi głośno. Jest mądra i odcytana, ma wyszukany sposób mówienia, lecz nie posiada tyle praktycznej wiedzy co Gonda.

— Nie jest taka żywa jak ty, Gondo. Myślę, że wpiery się zastanawia, zanim cokolwiek powie, lecz przy tym wszystkim naturalnie umie się znaleźć w każdej sytuacji. Niestety świadomość, że jest bogatą dziedziczką i panią na Santen, czyni ją zbyt pewną siebie. Zawsze taka była. Umie rozkazywać i pilnować wykonania rozkazów. Ty też to umiesz, moja mała Gondo, ale jaka jest pod tym względem między wami różnica! Ty nigdy nie zapominasz, że nasza służba to także czujące istoty, czego nie można powiedzieć o niej. Traktuje służących jak ludzi niższego gatunku. To naturalnie nie jej wina, tak wychowała ją babka.

Gonda śmiała się teraz z własnego niepokoju wywołanego opowiadaniem ojca.

— Ależ kochany papo! Już myją od tego odzwyczaimy. Szybko spostrzeże, że o wiele lepiej jest podchodzić do wszystkich bez wyjątku ludzi z sercem. Jak mi przykro, że ona tego nie wie. Tak czy tak — bardzo, bardzo się cieszę, że mam siostrę. y Pocałował ją czule.

— Życzymy sobie, aby ta twoja radość nie została zmacona, moje dziecko.

—Wierzysz, że ciocia Käthe mnie polubi?

—Mogę ci to przyrzec.

— Och, tak się cieszę na wyjazd do Niemiec, ale, papo — przypomniał mi się Georg! Jak mu będzie smutno, gdy wyjedziemy! — aż zbladła przejęta tą myślą.

Klaus Ruthart przytaknął z troską.

— Tak, Gondo, będzie mu nas bardzo brakowało, mam jednak nadzieję, że wkrótce ujrzymy go w Niemczech. Musi przecież wreszcie zmienić klimat. Wiesz, co mi przyszło do głowy?

—Co takiego?

—Spróbuję pogodzić go z jego dziadkiem. Przycisnęła rękę do serca.

—Och, jakby to było pięknie, gdyby się to udało. Musimy jednak działać ostrożnie, papo. Georg jest bardzo dumny, a dziadek nie chce o nim słyszeć, tak go kiedyś zraniono. Rozmawiałam z nim o tym wczoraj, próbując się dowiedzieć, za pośrednictwem jakiego banku otrzymuje pieniądze. Chciałam sama napisać do jego dziadka, ponieważ Georg nigdy tego nie robi, na adres banku, w nadziei, że poprzez bank list trafi do adresata. Ale Georg sprzeciwił się temu góraco i oczywiście nie zdradził, o jaki bank chodzi. Powiedział, że nie chce o tym słyszeć. Nie będzie się narzucał, oświadczył. Od jego ojca również nie wydobędziemy nazwy banku, bo natychmiast się zorientuje, że chcemy działać w interesie Georga. On z pewnością nie życzy sobie, aby Georg wyjechał do dziadka, bo wówczas przestałyby nadchodzić przesyłki pieniężne.

—Tak, to bardzo smutne, że Hermann Strasser nie pamięta o własnym synu. Ten człowiek myśli tylko o sobie. Nie ma sensu pisać do dziadka Georga, trzeba się z nim spotkać osobiście i porozmawiać w cztery oczy. I to zrobię. Muszę tylko uzyskać informację— skądkolwiek —jak nazywa się dziadek Georga i gdzie mieszka. Żałuję, że nigdy nie zapytałem matki Georga o jej panięskie nazwisko, nie wiem też, skąd pochodziła. Myślę jednak, że da się to ustalić. W każdym razie ślub brała we Frankfurcie.

—Matka Georga ehyba wiele wycierpiała u boku takiego Strassera. Była przecież taką subtelną, cichą kobietą, która absolutnie do niego nie pasowała.

—Tak, to prawda, była bardzo nieszczęśliwa, ale z nikim na ten temat nie rozmawiała, najwyżej z twoją matką. Wiesz przecież, że się przyjaźniły. Kiedyś w przystępie szczerości zwierzyła się twojej matce, że nie może pojąć, dlaczego ten mężczyzna miał na nią taki wpływ, iż uciekła z domu wyrządzając krzywdę ojcu. Zresztą z początku przedstawił jej się z całkiem innej strony i przekonał ją, że ojciec im przebaczy, gdy postawią go przed faktem dokonanym, uciekła więc z nim i potajemnie wzięli ślub. Jej ojciec odwiedził zresztą wcześniej Hermanna Strassera, jakby przeczuwając, że ten człowiek nie da szczęścia jego córce. To bardzo smutna historia. Ta biedna kobieta ze swym delikatnym zdrowiem nigdy nie powinna była zamieszkać w tropikach, ale Strasser nie przejmował się tym. Wierzył, że tu mu się poszczęści, i za spadek swej żony po matce kupił Ramowę. Strasser jest nieudolny, pozbawiony skrupułów i nieprzystępny. Ludzie jego po-

kroju do niczego się nie nadają. Gdy zrozumiał, że jego nadzieje na wielki spadek rozwiały się, zaczął brutalnie traktować żonę, tak jakby to była jej wina, że jej ojciec jest nieprzejednany. Tymczasem urodził się Georg i nie miała już siły, aby uwolnić się od swego męża. Przyszło jej znosić ciężki los.

—Georgowi też nie jest lepiej. Oprócz nas nie ma nikogo, kto by go rozumiał. Stara się nie myśleć o nieudolności i lekkomyślności ojca, o stosunkach panujących w Ramovie, nie dać się zgryzocie, ale nic z tego. Nasz wyjazd będzie dla niego tragedią.

—Dlatego musimy mu pomóc, nawet wbrew jego woli. Gdy tylko uporamy się z naszymi sprawami, postaram się odnaleźć jego dziadka

—Tak bym chciała, aby ci się to udało! Nie zdradź się tylko przed nim ze swym zamiarem. Już sam fakt, że ojciec przyjmuje pieniądze od jego dziadka, tak go męczy, iż najchętniej by je odesłał z powrotem. Dlatego nie prosi o pieniądze na wyjazd do Niemiec.

Wzruszył ramionami.

— I tak by mu nic z nich nie przyszło. Strasser potrzebuje pieniędzy, aby je od razu przegrać w karty, i tylko jego pasierb i żona potrafią coś od niego wyłudzić. Ogarnia mnie złość, gdy muszę na to patrzeć, czuję jednak, że nie wolno mi się w to mieszać. Mnie też jest strasznie przykro, że musimy zostawić tu Georga. Chętnie wziąłbym go ze sobą na własny koszt, ale na to nie pozwala mu jego duma, i ja potrafię to zrozumieć. Gdyby nie był tak wątego zdrowia, poradziłbym mu, aby wyjechał, usamodzielniał się i stanął o własnych siłach. Ale tego niestety nie może zrobić.

Ojciec i córka długo jeszcze roztrząsali ten temat, lecz nie udało im się znaleźć żadnego innego rozwiązania. Gonda musiała się zastanowić, jakie polecenia ma wydać służbie na czas swej nieobecności, i spakować walizkę na te kilka dni pobytu w Palembang. Wykonując te czynności miała rozmarzone oczy i śmiała się sama do siebie. „Siostra! Siostra Helga!” — powtarzała raz po raz, czując, że bardzo chce pokochać tę nieznaną dziewczynę.

W Palembang Klaus Ruthart szybko załatwił swoje sprawy. Potencjalny nabywca plantacji, jednocześnie właściciel dużej firmy eksportowej, był skłonny kupić posiadłość ziemską, aby móc handlować własnymi produktami. Posiadał już zresztą rozległe dobra, a Dahomy miała tak korzystne położenie, że z powodzeniem mógł ją do nich dołączyć. Klausowi udało się uzyskać nieco wyższą cenę, a że miał przy sobie dokumenty niezbędne do przeprowadzenia transakcji, można było od razu przystąpić do rzeczy. Panowie szybko doszli do porozumienia i nowy właściciel zapowiedział się na następny tydzień w celu załatwienia pozostałych formalności.

Gonda poczyniła tymczasem niezbędne zakupy, lecz tym razem pobyt w portowym mieście nie przysporzył jej tylu emocji co zwykle. Wiedziała przecież, że już niedługo wyjedzie na stałe do Niemiec, gdzie zobaczy dużo większych, wspanialszych miast.

Załatwiwszy sprawę sprzedaży Dahomy, Klaus Ruthart nadał telegram do Helgi:

*Wyrazy współczucia. Przyjeżdżam niebawem. List w drodze. Serdeczne pozdrowienia.*

*Ojciec*

Jeszcze w hotelu w Palembang napisał do Helgi, podobnie jak i do swej siostry, tak aby oba listy mogły odpłynąć następnego ranka wychodzącym właśnie w morze parowcem. Zawiadamiał każdą z nich, że właśnie sprzedał Dahomy i po jak najszybszym przekazaniu posiadłości nowemu właścicielowi wraca z córką do Niemiec. Gdy tylko będzie mógł, poda przypuszczalny dzień przybycia. Do-

wiedział się też, którym statkiem będą odbywać podróż do Europy, co przesądzało o jej trasie.

Po zjedzonej w hotelu kolacji wyszukali kino i tam spędzili resztę wieczoru, a następnego dnia wrócili do Dahomy. Żadne z nich nie miało ochoty przedłużyć pobytu w Palembang, kiedy w domu czekało ich tyle pracy związanej ze zlikwidowaniem gospodarstwa i przygotowaniem do wyjazdu na zawsze. Obydwojgu nieraz zabiło z niepokojem serce, mimo całej radości, jaką napawała ich wizja osiedlenia się w ojczyźnie. Dahomy była przecież tak długo ich domem rodzinnym, że nie sposób było żegnać go na zawsze z lekkim sercem.

Z niecierpliwością oczekiwała Gonda niedzielnej wizyty Georga. Czy w ogóle przyjedzie? Czy starczy mu sił na taką, nie najkrótszą przecież, przejażdżkę konną? I co powie, gdy usłyszy, że ona z ojcem odpływa na stałe do Niemiec?

Georg, tak jak zapowiedział, przybył w niedzielne przedpołudnie. Wyglądał nie najgorzej i w miarę sprawnie zeskoczył z siodła. Radość ze spotkania wyraźnie dodała mu sił. Klaus Ruthart powitał go serdecznie, a Gonda zapytała z troską:

— Czy droga nie była dla ciebie zbyt uciążliwa, Georg? Odetchnął głęboko i prostując się spojrzął na nią z uśmiechem.

— Trzeba wierzyć własnym siłom, Gondo. Wszystko poszło jak z płatka, a myśl, że mogę znowu być z wami w Dahomy, podziałała na mnie krzepiąco.

Gonda ujęła go pod ramię i zaprowadziła na werandę. Miała tego dnia na sobie zwiewną białą sukienkę i wyglądała kwitnąco. Usiedli w cieniu, gdzie w mgnieniu oka służąca postawiła przed nimi dzban z orzeźwiająjącym napojem. Klaus Ruthart pożegnał się pod jakimś pretekstem, aby to jej pozostawić przekazanie Georgowi wiadomości o ich wyjeździe. „Czy wolno mi powiedzieć, że mam siostrę, papo?” — zapytała. „Skoro ty, Gondo, już o tym wiesz, nie ma sensu robić z tego dłużej tajemnicy” — odparł ze śmiechem ojciec.

Teraz Gonda i Georg siedzieli naprzeciw siebie, a Georg rozkoszował się mocno schłodzoną lemoniadą. Odchyliwszy się na oparcie fotela westchnął z radosną ulgą i powiódł wokoło błyszczącymi oczami.



— Tu jest taki spokój i cisza, Gondo! Czystość i porządek! Mam wrażenie, że powietrze Dahomy ma zdolność uwalniania mnie od wszystkiego, co dręczy i przygniata.

Patrzyła na niego ze współczuciem, a na jej sercu kamieniem legł smutek, bo wiedziała, jaki musi mu zadać ból. Szukała tylko sposobu, aby zrobić to jak naj-ogłędniej.

— Tak się cieszę, Georg, że jesteś już zdrowy!

— Ja także, Gondo. Teraz przynajmniej nie będę już przywiązany do domu i będę mógł znowu pracować.

— Pamiętaj, nie wolno ci się przemęczać.

— Nie, nie chciałbym być ponownie chory. Ale wiesz, Gondo, mam przecucie, że nigdy nie będę stary.

— Ależ Georg! — krzyknęła blada z przerażenia. Uśmiechnął się.

— Ta myśl mnie nie przeraża. Niech się dzieje, co chce. Nie lękam się śmierci, nawet przedwczesnej śmierci, ale nie chciałbym dogorywać. Jeśli już miałbym umrzeć, to wolałbym, aby stało się to z dnia na dzień, bez długiego leżenia w szpitalu.

Ujęła jego rękę wpatrując się w niego mokrymi od łez oczami.

— Mówiąc w ten sposób sprawiasz mi ból. Młodzi ludzie powinni rozmawiać nie o śmierci, lecz o życiu.

Odetchnął głęboko.

— Masz rację, nie wypada tak psuć nastroju, szczególnie dziś, kiedy widzę cię tak wesołą i pełną życia. Chętnie słucham twojego śmiechu. Czyż to nie cudowne, że mogę być znowu z wami?

Gonda musiała najpierw przełknąć łzy, które ścisnęły jej gardło, zanim zmuszając się do uśmiechu zdołała powiedzieć:

— Wiem już, Georg, że w niedługim czasie będziemy siedzieć tak razem gdzieś tam w Niemczech. Chcę... chcę ci coś powiedzieć: niedługo wyjeżdżamy.

Przez jego twarz przemknął cień. Zdawało mu się, że nie może nie powiedzieć: „Gdy wrócisz, już mnie tu nie znajdziesz”, zaraz jednak wyprostował się, zły sam na siebie, i zdobywając się na uśmiech rzekł:

—Cieszę się z tobą, Gondo.

—Gdybyś mógł jechać z nami! — wyrzuciła z siebie drżącym głosem. Potrząsnął głową.

— Wiesz przecież, że to niemożliwe! Ale ty mi opowiesz wszystko, co widziałaś i przeżyłaś.

— Będę ci o tym pisała, Georg.

— Jeśli będziesz miała czas. Jeszcze piękniej będzie, gdy mi to opowiesz.

Złożyła dłonie w bezradnym geście.

— Będzie to się mogło stać dopiero wtedy, gdy sam przyjedziesz do Niemiec. Będziemy cię oczekiwać z utęsknieniem.

— Obawiam się, że będziecie musieli długo czekać.

Na moment przyłożyła policzek do jego dłoni, po czym szepnęła drżącym głosem:

— Georg, tak mi przykro, bo wiem, jaki sprawię ci ból... ale muszę to powiedzieć... tylko się nie denerwuj... my... my odpływamy na stałe do Niemiec.

Jego oczy rozszerzyły się raptownym przerażeniu, zaraz jednak przykrył je powiekami i spuścił głowę zaciskając zęby. Przestraszona pochyliła się nad nim.

— Georg, kochany Georg, powinieneś jechać z nami. Naprawdę nie chcesz tego zrobić?

Musiał zebrać wszystkie siły, aby zachować panowanie nad sobą, w jego wątłym ciele żyła jednak silna wola. Otworzył oczy i spojrzał na nią z wymuszonym uśmiechem, wiedząc, jak bardzo jest jej przykro patrzeć na jego cierpienie.

— Widzisz, że odzyskałem siły, Gondo. Mimo wszystko to zdumiewające, że ta wiadomość nie zwała mnie z nóg — rzucił porywczo.

— Musiałam sprawić ci ból — rzekła trwoźnie. Pogłaskała jej dłoń.

— To nie ty sprawiasz mi ból, to wina losu, który mi ciebie zabiera na zawsze.

— Nie na zawsze! — zaprzeczyła gorąco. — Wkrótce tam za nami przyjedziesz. Albo... jedź już teraz z nami, jako gość mojego papy.

Potrząsnął gwałtownie głową.

— Nie mówmy o tym, Gondo, jeśli mnie choć trochę lubisz.

— To przynajmniej daj mi adres twojego dziadka. Papa go odszuka, wszystko mu wyjaśni i udobrucha go. Wtedy dziadek z pewnością pozwoli ci przybyć do siebie — powiedziała zdradzając swój zamiar.

Młoda, szczupła twarz Georga Strassera przybrała twardy, dumny wyraz.

— Nie! Nigdy więcej nie mów o tym, proszę cię, jeśli nie chcesz mi okazać, że uważasz mnie za godnego wzgardy słabeusza, który skazany jest na łaskę i miłosierdzie innych ludzi.

— Ach, mój Boże, ty byś miał mi się wydawać godzien pogardy? Cóż za brednie wygadujesz! Chcemy tylko twego dobra, papa i ja.

— Wiem, och, wiem, i jestem wam za to niezmiernie wdzięczny. Ale to nie może, ani nawet nie powinno się stać. Nie będę się nikomu narzucał. Jeśli nie chcesz mnie dręczyć, zostaw ten temat w spokoju; powiedz także ojcu, aby nie zwracał sobie tym głowy.

Zacisnęła wargi myśląc w duchu: „Stanie się to wbrew twojej woli, drogichłopcze, i tak zdobędziemy adres twego dziadka”. Nie powiedziała jednak tego głośno, rzekła tylko:

— No cóż, będzie, jak chcesz, choć naprawdę mi przykro, że nie pozwalasz sobie przyjść z pomocą. Papa zabrałby cię chętnie do Niemiec, mógłbyś mieszkać z nami, tak jakbyś był moim bratem. Ale ty tego nie chcesz.

— Porozmawiajmy lepiej o czym innym — rzucił porywczo. — Opowiedz mi, jak to się stało, że tak nagle chcecie się przenieść na stałe do Niemiec.

—To długa historia. Na świecie jest tyle zadziwiających rzeczy! Wyobraź sobie, Georg, mam siostrę!

Popatrzył na nią nie rozumiejąc.

— Siostrę? Ty? Jak to możliwe?

Opowiedziała mu w krótkich słowach, czego dowiedziała się od ojca. Przesłuchiwał jej się uważnie, starając się stłumić ból w sercu z powodu czekającej ich rozłąki. Czuł, że będzie to rozstanie na zawsze, a przy tym nie uronił jednego słowa. Patrzył przy tym na nią tak, jak gdyby chciał sobie wyryć w pamięci na zawsze jej obraz.

Gdy skończyła, rzekł z westchnieniem:

— Pozostaje ci tylko życzyć, Gondo, abyś znalazła wspólny język z siostrą i czuła się w Niemczech przynajmniej tak szczęśliwa jak tutaj. Nie obawiasz się trochę tej zmiany?

— Każda zmiana przeraża — westchnęła. — Owszem, boję się trochę, Georg, ale nie wolno mi tego okazać po sobie. Papa nie może nic spostrzec. Tak się cieszy, że wraca do ojczyzny, a gdzie znajdzie się on, tam i mnie będzie się podobało. Najbardziej zasmuca mnie to, że muszę ciebie tutaj zostawić.

Ujął jej dłoń.

— Dziękuję ci za to, Gondo.

— Ciężko ci będzie rozstać się z nami? — spytała nieśmiało zaglądając mu w oczy.

Zmusił się do uśmiechu.

—Zrób sobie szybko w Niemczech dobre zdjęcie, twój ojciec też. Wówczas na pocieszenie będę miał wasze fotografie.

—Oczywiście, Georg, zrobimy to zaraz po naszym przybyciu, po czym wyślemy ci zdjęcia najszybciej, jak to możliwe.

— I będziesz do mnie często pisała? O wszystkim, co ci się wydarzy?

— Przymierzam. Przynajmniej raz w tygodniu otrzymasz ode mnie list. Roześmiał się cicho.

— Nie dawaj takich przyrzeczeń. Powinnaś pisać do mnie jedynie wtedy, gdy to nie będzie dla ciebie ciężarem. Będę się cieszył każdym twoim listem, tak jakbyś to ty sama przybyła, by ze mną pogawędzić.

— Ty też napiszesz do mnie, prawda?

—Chętnie, tyle że nie będę miał ci do przekazania za wiele interesujących czy przyprawiających o radość rzeczy.

—Wszystko, co ciebie dotyczy, jest dla mnie interesujące i godne uwagi. Dla papy także.

—Wiem, że nigdy mnie nie zapomnicie.

—Oczywiście, że nie.

Rozmawiali potem o wszystkim, co poruszało ich serca. Z uczuciem bólu przysłuchiwał się jej miękkiemu, niskiemu głosowi, który zawsze działał na niego kojąco. Jakże pusty stanie się dla niego świat, gdy nie będzie mógł więcej go słuchać! Otrząsnąwszy się z tych niewesołych myśli spytał znienacka:

—Jak długo jeszcze? Drgnęła.

—Co masz na myśli?

—Jak długo zostanieie w Dahomy?

— Mniej więcej cztery tygodnie.

— Cztery tygodnie? To dwadzieścia osiem dni, każda doba ma dwadzieścia cztery godziny, a w każdej godzinie może się zdarzyć coś dobrego. To będę sobie powtarzał o każdej porze na pocieszenie.

Gonda nie kryła łez. Chociaż tak starał się panować nad sobą, doskonale wiedziała, co oznacza dla niego ta rozłąka.

— Niestety zostało nam mało czasu.

Jego oczy patrzyły posepnie, choć usta się uśmiechały.

— W tych ostatnich tygodniach będziemy się często widywać, prawda? Jeśli to możliwe, to nawet codziennie.

Spojrzała na niego powziąwszy błyskawiczną decyzję.

— Zostań z nami przez ten czas, Georg. Wyślemy do Ramovy posłańca z wiadomością, że zostajesz u nas.

Na moment jego oczy zabłyśły, lecz zaraz potrząsnął głową.

— Nie, to niemożliwe. Jeśli spędzi się cztery tygodnie w niebie, to piekło będzie później jeszcze trudniejsze do zniesienia. Jak opustoszała i smutna wydałaby mi się Ramova, gdybym te cztery tygodnie spędził tutaj z wami. Pojmujesz to, Gondo? Nie, nie, nie wolno mi się przyzwyczajać...

Z miłością i współczującym zrozumieniem głaskała jego rękę. Zagryzł wargi, po czym prostując się rzekł:

— Zapomnijmy na moment o tym, że musimy się rozstać, i cieszymy się, że jeszcze jesteśmy razem. Pozwól mi usłyszeć twój śmiech, chcę go zabrać ze sobą i przechować jak skąpiec, który rozkoszuje się własnymi skarbami. Musi brzmieć w mych uszach nawet wtedy, kiedy już nie będzie ciebie przy mnie. Wiem, jak uporać się z naszym rozstaniem. Kiedy zostanę sam w Ramovie, będę sobie wyobrażał, że ciągle jeszcze jesteście w Daho-my i że każdej chwili, kiedy tylko zapragnę, będę mógł do was przyjechać konno. Tak zrobię. A teraz rozchmurzmy się, Gondo!

Najchętniej by się głośno rozplakała, wiedząc aż za dobrze, co się dzieje w jego sercu i że on czyni wszystko, aby jej było lżej. Zmusiła się jednak do wesołości, a chociaż w jej śmiechu drżały łzy, wchłaniał go w siebie niby dar niebios. Także i on zmusił się do podtrzymania pogodnego nastroju, przypominając różne figle, jakie płatali w dzieciństwie. Zaśmiewających się do łez zastał ojciec Gondy.

— Cieszę się, dzieci, że wam wesoło — rzekł.

Jedno spojrzenie Gondy zdradziło mu, że ów pogodny nastrój to tylko rozpaczliwa próba odsunięcia od siebie widma rozstania.

— Georgowi nie jest łatwo, papo, a my musimy mu pomóc w uporaniu się z tym. Proszę, ciesz się z nami, aby miał coś jeszcze z naszego towarzystwa.

Klaus Ruthart przysiadł się do nich i teraz gawędzili wszyscy troje, zgoła nie odczuwając wesołości, na jaką się silili.

Potem zasiedli razem do stołu. Georg został do podwieczorku, po czym ojciec z córką odprowadzili go konno przez las. Przyrzekli, że następnego dnia przyjadą do Ramovy. Klaus Ruthart chciał osobiście powiadomić Hermanna Strassera i jego bliskich, że sprzedał Dahomy i przenosi się do Niemiec.

Rozstali się na skraju lasu. Georg pojechał dalej sam, a jego szczupła sylwetka na koniu szybko zniknęła z ich pola widzenia. Tylko on wiedział, jakie to dla niego straszne, że musi stracić tych dwoje ludzi. Bez nich, dobrze wiedział, będzie całkiem samotny i opuszczony. Nie znajdzie się nikt, kto go zrozumie będąc człowiekiem tego samego pokroju.

Posępny wzrokiem omiół widoczną już Ramovę. To miał być jego dom — a w gruncie rzeczy było piekło. Ludzie, którzy tam z nim mieszkali i mienili się jego krewnymi, byli mu obcy, ich sposób bycia był dla niego udręką. Nie było od niej ucieczki. Ach, gdybyż miał dobre zdrowie! Jakże łatwo by mu wtedy przyszło uwolnić się od nich wszystkich!

Czuł, że jego życie nie potrwa już długo, i to stanowiło dla niego pewną pociechę. Podczas ostatniej choroby był o krok od śmierci. Wyzdrowiał tylko pozornie. Jego obecny stan oznaczał chyba ostatnią próbę młodości opierającej się czyhającemu na nią unicestwieniu. Śmierć będzie dla niego wybawieniem. Przypomniawszy sobie ostatnie dni życia matki. Zgasła jak światełko, które nie ma już siły płonąć. On też tak zgaśnie, nie mając więcej chęci do życia, kiedy opuszczą go Gonda i jej ojciec. Jest bezsilną gałęzią na drzewie życia, a takie gałęzie czeka wczesne obumarcie. Nawet mu się nie wydawało to takie straszne, że jest bezbronny i musi się poddać naturalnej konieczności. Był przekonany, że już nic mu nie pomoże, nawet gdyby zmienił klimat, co zresztą już dawno należało zrobić. Na to było już za późno, lecz za żadne skarby nie chciał, aby Gonda i jej ojciec dowiedzieli się o tym. Żeby tylko udało mu się zostać przy życiu, dopóki nie wyjadą — potem może nastąpić koniec. Będzie oczekiwał go ze spokojem.

Bezlitośnie szybko minęły dla Georga Strassera cztery następne tygodnie. Starał się każdego dnia widywać Gondę i jej ojca, a kiedy przebywali razem, dosłownie chłonał wszystko, co mogło mu jeszcze sprawić radość. Im bliższy był dzień wyjazdu, tym bardziej rozkoszował się ostatnimi wspólnie spędzonymi godzinami. Pozornie wracał do sił, a Gonda cieszyła się z całego serca, nie przezuwając, że to tylko bezprzykładna energia Georga zwodzi ich udając dobre samopoczucie. Był gotów roztrwonić wszystkie swe siły w te cztery ostatnie tygodnie, nie troszcząc się o to, czy zostanie mu ich choć trochę na później. Miało mu ich starczyć do momentu odjazdu drogich osób, a reszta była mu obojętna.

Rodzice Georga wysłuchali ze zdumieniem, że Ruthart sprzedał Dahomy, a jeszcze bardziej zaskoczyła ich uzyskana za nią suma.

— Jest pan szczęściarzem, panie Ruthart! — jęknął Hermann Strasser. — Gdybym to ja moją Ramowę mógł sprzedać z takim zyskiem, już dziś zacząłbym pakować manatki.

Ruthart pomyślał, że po pierwsze Strasserowi nie wolno mówić „moja Ramova”, bo przecież posiadłość należy do Georga jako jego spadek po matce, a po drugie nikt nie będzie taki głupi, aby płacić wysoką cenę za podupadłą, zaniedbaną posiadłość. Nawet gdyby Strasser, sprzedając Ramowę, odzyskał sumę, za którą ją nabył, to i tak by nie starczyła na spłatę długów. Nic jednak nie powiedział.

Lilii Strasser zaczęła lamentować, że nigdy nie będzie miała tak dobrze jak Gonda. Nawet Kurt miał ponurą twarz. Jak w tych warunkach miał się oświadczyć Gondzie? Od pewnego czasu nachodziła go myśl, że jeżeli wszystko pójdzie tak jak do tej pory, to spadkobierczyni Dahomy będzie dla niego jedyną godną



uwagi partią. A teraz wyjeżdżała do Niemiec, gdzie prawdopodobnie znajdzie męża. W ostatnich tygodniach schodził Gondzie z drogi, kiedy zorientował się, że tutaj już nic się nie da zrobić.

Tuż przed wyjazdem ojca i córki nadeszła przesyłka pieniężna od dziadka i Georg z rzadką w jego wypadku stanowczością oświadczył, że tym razem musi otrzymać część pieniędzy.

— Chcę towarzyszyć Ruthartom do Palembang i zostać tam przez parę dni.

Jego ojciec osłupiał. Georg nigdy nie stawiał żadnych wymagań, więc przyzwyczał się nie brać go pod uwagę przy rozdziale pieniędzy. Lili i Kurt byli w złych humorach, bo w momencie gdy Georg zażądał pieniędzy, im się miało dostać mniej niż zwykle.

Hermann Strasser czuł jednak, że nie wolno mu nie spełnić życzenia syna. Dopiero teraz dotarło do niego, że pieniądze należą właściwie do Georga, a za mieszkanie i wyżywienie płaci wystarczająco swoją pracą.

Dał mu więc, choć niechętnie, sumę, jakiej zażądał. Georg schował pieniądze z uczuciem ulgi. Po raz pierwszy zażądał części pieniędzy dla siebie. Uczynił tak, aby zostać przez parę dni sam, kiedy Gonda wyjedzie z ojcem. Nie zniósłby w swym bólu obecności krewnych, siedzenia przy wspólnym stole i słuchania rubasznych żartów ojca i Kurta, nie mówiąc o przenikliwym śmiechu Lili. To było ponad jego siły.

Gonda cieszyła się z ojcem, że Georg czuje się na tyle silny, aby towarzyszyć im do Palembang. Nie przypuszczali nawet, że jest zdecydowany wyczerpać przy tym swe siły, że obchodzi się z nimi rozrzutnie, nie zastanawiając się nad tym, co będzie później. To, co miało nastąpić po rozstaniu z Gondą i jej ojcem, wydawało mu się bez znaczenia. Właściwie dla niego życie kończyło się w momencie, w którym miał się z nimi pożegnać.

W tych ostatnich dniach przed wyjazdem Gonda i jej ojciec mieli mnóstwo pracy, a przecież zawsze potrafili wygospodarować parę godzin dla Georga, zdecydowani zrobić wszystko, aby odnaleźć jego dziadka i skłonić go, aby wziął Georga do siebie. Klaus Ruthart wiedział, w którym kościele we Frankfurcie

Strasserowie brali ślub. W księdze metrykalnej musiało być zapisane panięskie nazwisko Heleny. Także w rejestrze urzędu stanu cywilnego powinno się znaleźć nazwisko jej ojca i stan, do jakiego należy. Mając te dane można było rozpocząć poszukiwania. W każdym razie ojciec i córka żywili głęboką nadzieję, że mimo sprzeciwu Georga uda im się pomyślnie wpłynąć na jego los.

W dniu wyjazdu Georg przybył do Dahomy wcześniej rano. Drogę do Palembang chciał odbyć samochodem z ojcem i córką. Klaus Ruthart korzystał ze swego auta po raz ostatni; w Palembang miał już na nie kupca.

Pożegnanie Dahomy okazało się równie ciężkie dla Gondy, jak i jej ojca. Nie mogła powstrzymać się od łez, a i Georg robił wszystko, aby się nie rozpląkać. W przypadku ludzi o takim charakterze pożegnanie nie mogło obyć się bez bólu. Zebrała się cała służba, którą przejmował nowy właściciel. Do tej pory powodziło im się bardzo dobrze, lecz nie wiedzieli czy nowy pan będzie dla nich równie dobry i wyrozumiały jak Klaus Ruthart. Ze smutkiem machali mu na pożegnanie, tak jak i uwielbianej młodej pani.

Gonda oglądała się do tyłu, jak długo mogła. Po raz ostatni patrzyła na stojący pośrodku pełnego kwiecica ogrodu dom, na służące w barwnych sarongach i odzianych tylko w białe spodnie służących, którzy zebrali się pod wysokimi palmami i powiewali teraz chusteczkami. Potem widać już było tylko między pniami palm dach bungalowu, a wreszcie i on znikł z pola widzenia. Jechali teraz przez wieś, gdzie mieszkała większość zatrudnionych na plantacjach robotników. Kobiety i dzieci, nie pracujące w polu, wybiegały z chat, aby im pomachać.

Opuściwszy wieś znaleźli się między polami ryżowymi i plantacjami, które przestały być własnością Klause Rutharta. Robotnicy przerywali na moment pracę, aby popatrzeć za przejeżdżającymi.

Wreszcie wszystko, co należało do Dahomy, pozostało w tyle. Droga biegła teraz przez obcy teren, przez malajskie wsie, obok niskich chat. Z rzadka pojawiał się większy budynek, a obok stodoły ryżowe różnej wielkości. Zamożność właściciela dało się określić na podstawie wielkości jego ryżowych stodół; im większe stodoły, tym bogatszy właściciel.

Po prawej i lewej stronie ciągnęły się olbrzymie pola ryżowe, poprzety-kane plantacjami kawy i bawełny. Krajobraz urozmaicały widniejące tu i ówdzie lasy palmowe. Przejeżdżając przez wsie widzieli najczęściej kobiety oczyszczające ziarna ryżu z plewek, co nierzadko odbywało się w nader prymitywny sposób. Na wpół ubrane lub całkiem nagie dzieci, których pełno było wokół chat, śmiejąc się wytrzeszczały ciemne oczy na przejeżdżający samochód.

Potem zagłębili się w dżunglę, która rozpościerała się po obu stronach rzeki. Wiodąca przez nią droga nie należała do najłatwiejszych, gdyż bujna roślinność co raz porastała z trudem wytyczony szlak. Z powodu tej uciążliwości jechało się wtedy wolno i trzeba się było mieć na baczności, bo trafiały się tu pantery i leopardy. Gonda trzymała w ręku gotową do strzału broń, mężczyźni także. I rzeczywiście, samochód o mały włos nie potrafił olbrzymiej pantery, która raptem wyskoczyła z zarośli i tuż przed nim przecięła drogę. Co prawda groźnie wyszczerzyła zęby w ich kierunku, lecz zaraz zniknęła w mroku lasu.

To warkot motoru prawdopodobnie wypłoszył ją z legowiska, nie odważyła się jednak zaatakować samochodu, tym bardziej że ojciec Gondy włączył klakson, aby odpędzić drapieżnika. Nie zobaczyli już więcej zwierzęcia, mogli więc opuścić ręce z bronią. Tylko nad ich głowami huśtało się jeszcze stado małych małp, lecz i one uciekły z piskiem na dźwięk klaksonu.

Podróżujący samochodem nie byli przerażeni pojawieniem się pantery, przyzwyczajeni natychmiast sięgać po broń, kiedy groziło niebezpieczeństwo.

Gonda chłoneła wszystko wyostrzonymi zmysłami, wiedząc, że po raz ostatni jedzie przez las podzwrotnikowy. Po raz ostatni widziała oplatające wszystko liany z ich wspaniałymi kwiatami, olbrzymie drzewa waringi-nowe, kołyszące się pędy bambusa, bujną zielen dżungli.

Wyjechawszy z lasu znaleźli się na równinie ciągnącej się aż pod horyzont. Jechali teraz wzdłuż rzeki, na której kołysały się barki i łodzie wyładowane towarami. Okolica stawała się z wolna coraz bardziej cywilizowana. Georg i Gonda trzymali się za ręce jak przyjaciele mający świadomość, że po raz ostatni są razem.

Rozstają się na długo, dręczyło Gondę.

Rozstają się na zawsze, myślał Georg.

Po drodze kilka razy się zatrzymywali, aby się odświeżyć i posilić. Podróż trwała cały dzień i ojciec z córką raz po raz rzucali zatroskane spojrzenia na Georga, czując, że może być ona dla niego zbyt wyczerpująca. On jednak nie okazywał zmęczenia, a może raczej pragnął się z nim nie zdradzić. Chciał pozostać w pamięci przyjaciół rześki i silny.

Ściemniało się już, kiedy dotarli do Palembang i wysiedli pod hotelem. Ten ostatni wieczór ojciec i córka spędzili w towarzystwie Georga. Zjedli razem obiad, po czym długo siedzieli przy stole popijając szampana.

Następnego ranka Georg towarzyszył im na pokład parowca odpływającego do Niemiec. Pożegnali się wśród wielkiego tłumu. Tak było lepiej, to pozwoliło im zachować względny spokój. Właściwie te ostatnie cztery tygodnie były jednym wielkim pożegnaniem; więc teraz chcieli to zrobić możliwie najszybciej. Georg nie zatrzymał się w porcie długo, czując, że jest u kresu sił. Serdecznie, lecz bez słowa objął Klause Rutharta, wziął w ramiona Gondę całując jej oczy i policzki, po czym spiesznie odszedł. Jego wysoka, szczupła sylwetka zgarbiła się jak pod ciężkim brzemieniem.

Zanim ich stracił z oczu, obejrzał się jeszcze raz, lecz już na tyle daleko, żeby nie mogli dostrzec jego wykrzywionej bólem twarzy, i pomachał im.

Gonda płakała rzewnymi łzami. Jakże chętnie zabrałaby ze sobą drogiego przyjaciela z czasów dzieciństwa! Wiedziała, jak ciężko mu na sercu, skazanemu na niewesołą, samotną egzystencję. To niepokoiło ją najbardziej.

Klausowi Ruthartowi też zwilgotniały oczy, widział smukłą sylwetkę chłopca jak przez mgłę.

Georg tymczasem wrócił do hotelu, zamknął się w swoim pokoju i bez sił padł na łóżko. Ukrywszy twarz w dłoniach, leżał jak martwy, walcząc z dojmującym bólem. Stracił dwoje jedynych przyjaciół, których kochał i którzy lubili jego. Jego wierne serce było rozdarte męką i czuł, że byłoby dobrodziejstwem dla niego, gdyby mógł zgasnąć jak zdmuchnięty płomień świecy.

Tak przeleżał cały dzień i całą noc, nie zaznawszy błogosławieństwa snu. To, że mógł pozostać sam ze swoim bólem, zawdzięczał pieniądзом dziadka, inaczej nie mógłby sobie na to pozwolić. Byłoby dla niego nie do zniesienia, gdyby w tym stanie ducha musiał znosić ciekawskie czy choćby obojętne spojrzenia albo wysłuchiwać nieokrzesanych żartów brata.

Także następnego dnia nie opuścił hotelu, odsyłając pokojówkę, która chciała zrobić porządek. Nie było nic do sprzątnięcia. Ani razu nie korzystał z łóżka. Kazał sobie tylko przynieść herbatę i coś do jedzenia. Zmusił się do przełknięcia paru kęsów, aby całkiem nie opaść z sił. Tej nocy nareszcie usnął ciężkim, kamien-  
nym snem, który przynajmniej na parę godzin przyniósł mu zapomnienie. Na-  
stępnego ranka ubrał się, zjadł przykładowie śniadanie i udał się na miejsce, skąd  
dwa dni wcześniej odpłynął statek do Niemiec. Tutaj od nowa owładnął nim ból i  
skończyło się na tym, że cały dzień błądził ruchliwymi ulicami, nie wiedząc, do-  
kąd zmierza. Nikt go tu nie znał i to było prawdziwe dobrodziejstwo. Nie musiał  
nikogo o nic pytać, odpowiadać na pytania. To było najlepsze, co mogło mu się  
teraz zdarzyć.

Pozostał w Palembang jeszcze dwa dni, starając się uporać z bólem rozłąki. Potem wrócił do Ramovy; tym razem jechał pociągiem aż do wsi leżącej najbli-  
żej posiadłości. Tutaj zczekał, aż mu ojciec podeśle samochód. Tak się umówili. Z  
na pozór spokojną, nieruchomą twarzą wrócił do Ramovy, która powinna być  
jego domem, lecz od śmierci matki nigdy już nim nie była.

Gonda i jej ojciec mieli całkiem przyjemną podróż morską, nie zakłóconą  
żadnymi niepożądanymi wypadkami. Przybywszy do Hamburga, zatrzymali się  
w hotelu. Chcieli tutaj spędzić parę pierwszych dni, ponieważ musieli ubrać się  
po europejsku. Rzeczy, które nosili na Sumatrze, dawno wyszły z mody, a Klaus  
Ruthart w żadnym wypadku nie chciał, aby jego córka zwracała uwagę niemod-  
nym strojem.

Gonda ze swą afirmującą życie otwartością przemogła w sobie smutek roz-  
stania ze starą ojczyzną i przyjacielem. Znosiła mężnie rzeczy nieodwracalne, a  
wiele nowych przeżyć, jakich miała teraz w nadmiarze, nie pozostawiało zbyt  
wiele czasu na rozmyślanie. Ojciec patrzył z radością, jak bardzo chce zaapro-  
bować nowe życie i z prawdziwą energią próbuje dopasować się do innych wa-

runków. Poczucie humoru i naturalna świeżość odczuć pomagały jej uporać się z tym, co wydawało jej się obce albo zgoła śmieszne.

Z pomocą przyszło jej to, że już kilka razy była z rodzicami w Niemczech. Od ostatniego tu pobytu, a miała wtedy dopiero piętnaście lat, jej pogład na życie bardzo się zmienił. W krajach leżących w strefie podzwrotnikowej ludzie dojrzewają szybciej, a nie pozbawione pewnych niebezpieczeństw życie w Dahomy sprawiło, że była bardzo samodzielna. Istniały jednak sprawy, z którymi w ogóle do tej pory się nie zetknęła. Choć dziewczęta w jej wieku z dużych cywilizowanych miast doskonale się w nich orientowały, ona była jeszcze całkiem niedoświadczona.

Już na parowcu poczyniła obserwacje, a te dały jej wiele do myślenia. Naraz spostrzegła, że istnieje coś takiego jak flirt i taniec. Nic nie uszło uwagi jej rozumnym, szeroko otwartym oczom. Mimo to sama była jeszcze całkiem niewinnym stworzeniem, znającym miłość i jej przejawy jedynie z nazwy i książek.

Oprócz Georga i Kurta w swoim niedługim życiu nie zetknęła się z wieloma młodymi ludźmi. Pewne pojęcie o życiu towarzyskim wyniosła najwyżej z Palembang i z odwiedzanych wraz z rodzicami przejazdem miast zachodniego wybrzeża. Matka wpoila jej zasady dobrego wychowania, a postępowaniem młodych dam płynących tym samym parowcem nie była zbyt zbudowana. Jeszcze mniej podobał jej się sposób bycia młodych kobiet i mężczyzn w Niemczech, czego próbki poznała w Hamburgu. Nierzadko z przerażeniem patrzyła na ojca, słysząc, w jakim tonie dziewczęta rozmawiają z młodzieńcami. Stykała się z tym w hotelowej restauracji, kawiarniach, kinach i innych miejscach oferujących rozrywkę.

Klaus Ruthart celowo oprowadzał córkę po Hamburgu, aby nabrała pewności siebie, zanim przedstawi ją Heldze.

Bardzo się ucieszył, kiedy zobaczył, z jaką pewnością siebie i smakiem Gonda doбира suknie i z jakim wdziękiem je nosi. W ciągu kilku dni zmieniła się nie do poznania. Nikt by teraz nie poznał, że do tej pory żyła gdzieś na antypodach.

Poszli też do sklepu ze sprzętem fotograficznym, by kupić dobry aparat, jako że Gonda nie zapomniała o przyrzeczeniu danym Georgowi. Tak więc ojciec i

córka pstrykali zdjęcia, starając się uwiecznić najbardziej charakterystyczne szczegóły architektoniczne, bo koniecznie chcieli jeszcze z Hamburga wysłać na Sumatrę list i fotografie. Wiedzieli, z jakim utęsknieniem Georg wyczekuje znaku życia od nich. Z każdego portu wysyłali mu pozdrowienia, a po przybyciu do Hamburga ojciec Gondy nadał telegram.

— Ucieszy się, że o nim pamiętamy — powiedziała Gonda.

Zanim opuścili Hamburg, wysłali do niego długi, napisany przez Gondę list i załączyli zrobione zdjęcia. Klaus Ruthart telegraficznie zawiadomił swoją siostrę i córkę Helgę o przybyciu do Hamburga, informując jednocześnie, że zatrzymają się tam jeszcze parę dni. Nie podał jednak dokładnego momentu przyjazdu, nie chciał bowiem na dworcu kolejowym udzielać wyjaśnień na temat córki, z którą przyjechał i o której istnieniu nikt nie miał pojęcia.

Pewnego wieczoru ojciec i córka siedzieli w dużej hotelowej restauracji. Gonda miała na sobie nową elegancką, a zarazem bardzo gustowną suknię z miękkiego ciemnoniebieskiego jedwabiu wyszywaną małymi perełkami, a na ramionach narzutkę z brokatu o jeszcze bardziej nasyconym odcieniu błękitu. Klaus Ruthart wyglądał również bardzo elegancko w nowym smokingu, a nosił go ze swobodą właściwą mężczyznom z najlepszych kręgów. Ojciec i córka przyciągali spojrzenia, gdyż wyglądali wytwornie i interesująco. Nie zwracając na to uwagi zamówili kolację, wiodąc cały czas ożywioną rozmowę. Niedługo potem do restauracji wszedł szczupły wysoki mężczyzna, mogący mieć około trzydziestu lat, i usiadł przy sąsiednim, do tej pory wolnym stoliku. Jego wyrazisty profil natychmiast spodobał się Gondzie, Klaus Ruthart również spoglądał na niego z dyskretnym zainteresowaniem. Zaraz zjawił się obok niego kelner i młody mężczyzna w spokojny, opanowany sposób przekazał mu zamówienie, po czym rozejrzał się po sali.

W restauracji siedziało wielu gości, lecz jego wzrok nie spoczął na żadnym z nich. Na ostatku dojrzał Gondę, choć przecież siedziała przy sąsiednim stoliku dosłownie na wprost niego. Jego oczy rozszerzyły się, jakby w zaskoczeniu, i teraz patrzył na nią z rosnącym zainteresowaniem, dopóki nie napotkał wzroku Gondy. Najwidoczniej zafascynowało go coś w tych wielkich, aksamitnych, brązowych oczach, ale nie wpatrywał się w nią w niegrzeczny, natarczywy sposób,

lecz tylko od czasu do czasu rzucał szybkie spojrzenie w jej kierunku. Nie uszło jego uwagi, że na zachwycającej twarzy młodej damy ukazał się lekki rumieniec, kiedy ich oczy spotkały się po raz pierwszy.

Zauważył też, że ilekroć ich oczy przypadkowo się spotkają, co było nieuniknione, gdyż siedzieli dokładnie naprzeciwko siebie, zakłopotana odwraca wzrok. Nie mógł się powstrzymać, aby nie spoglądać na nią ukradkiem. W jej zachowaniu nie było nic z kokieterii, więc to tym bardziej go zaintrygowało. Miała tak piękne oczy, że ciągle od nowa usiłował je napotkać. Zafrapował go także towarzyszący jej mężczyzna. Uznał ich za cudzoziemców, a przy tym ludzi, obok których nie można przejść obojętnie. Widząc, jak rycersko i uprzejmie starszy pan odnosi się do młodej damy, zapytywał sam siebie, czy mogliby to być ojciec i córka, czy raczej niezbyt dobrane wiekiem małżeństwo. Trudno mu było to rozstrzygnąć, skłaniał się jednak do przekonania, że to niemożliwe, aby tak młoda osoba była już zamężna. Miała w sobie coś dziewczęcego, co właściwe jest jedynie bardzo młodym kobietom, a i to coraz rzadziej niż kiedyś. W każdym razie całe swoje zainteresowanie poświęcił tym dwojgu przy sąsiednim stoliku.

Może z dziesięć minut siedział tak sam przy stole, kiedy do restauracji wszedł starszy mężczyzna i skierował się do niego. Młody człowiek natychmiast się poderwał, aby powitać przybyłego. Gonda i jej ojciec usłyszeli, jak starszy mówi: „Przepraszam, panie doktorze, że kazałem na siebie czekać, spóźniłem się wbrew własnej woli”. Potem dobiegł ich głos młodego mężczyzny: „Nic nie szkodzi, panie Ranzow, siedzę tutaj dopiero od kilku minut i cieszę się, że nie musiał pan na mnie czekać”.

Berad Ranzow usiadł naprzeciwko młodego mężczyzny i przywołał kelnera, a gdy ten odszedł zrealizować zamówienie, wdał się z tamtym w rozmowę. Mimo woli ojciec i córka podchwycili pojedyncze słowa, które wskazywały, że chodzi o sprawy zawodowe. Była mowa o szynach kolejowych, planach budowy, maszynach i tym podobnych rzeczach. Klaus Ruthart zwrócił się z uśmiechem do córki:

— A teraz, moja Gondo, masz okazję wykazać się bystrością. Kim są ci dwaj panowie przy sąsiednim stole?



Speszyła się, gdyż w tym samym momencie młody mężczyzna znowu na nią spojrzał, a to sprawiło, że naraz poczuła się, sama nie wiedząc dlaczego, odrobinię zakłopotana i niespokojna.

Przewyciężyła skrępowanie i odparła uśmiechając się:

—Ponieważ mówią o maszynach i torach kolejowych, są pewnie fabrykantami.

—Moim zdaniem ten starszy pan jest fabrykantem w branży żelaznej, a ten młodszy jest z całą pewnością inżynierem.

— Z czego to wnioskujesz?

— Starszy tytułuje go doktorem, zresztą sam mówił o uczelni w Berlinie-Charlottenburgu. Tam się szkołą młodzi inżynierowie.

—Chyba masz rację, papo.

—Ten młody pan wygląda bardzo sympatycznie.

— Odnoszę to samo wrażenie, papo, i muszę raz po raz na niego patrzeć — przyznała się otwarcie, jak zresztą zawsze postępowała wobec ojca. Nie przyszłoby jej do głowy zaprzeczyć, że młody mężczyzna jej się podoba.

Słyszając te słowa ojciec rzucił spojrzenie na młodego człowieka i tym razem ich oczy się spotkały. Przez moment przyglądali się sobie badawczo, a Gonda nie wiedziała, dlaczego ją to cieszy, że spostrzegła życzliwe zainteresowanie zarówno w oczach ojca, jak i nieznajomego.

Kelner przyniósł im zupę, a zaraz potem obsłużył obu mężczyzn przy sąsiednim stole. Gonda starała się skoncentrować na posiłku, rozmawiając przy tym półgłosem z ojcem. Sprawiała przy tym wrażenie, że jest jej obojętne, kto siedzi przy sąsiednim stole. Niedoświadczone dziecko natury zaczęło nabierać manier obowiązujących w wielkim świecie. Ale pomimo wszystkich wysiłków nie potrafiła powstrzymać się od zerkania w tamtym kierunku, a za każdym razem, kiedy ich oczy się spotykały, jej serce zaczynało bić szybciej.

Dlaczego tak ją to przerażało? Do tej pory nigdy jej się to nie zdarzyło! Dlaczego nie mogła wytrzymać spojrzenia tego człowieka? Dlaczego płochliwie umykała wzrokiem, kiedy ich oczy się spotykały?

Nie znalazła na to odpowiedzi, a przecież nie miała ochoty odejść od stołu, choć skończyli jeść. Było jej przykro, że nigdy już nie zobaczy tego młodego mężczyzny.

Ojciec okrył jej ramiona narzutką, lecz gdy przeciskali się między stolikami, okrycie zaczepiło się o oparcie wolnego krzesła stojącego przy stole zajętym przez obu nieznajomych. Młody mężczyzna natychmiast grzecznie się poderwał i z ukłonem uwolnił brokat. Klaus Ruthart podziękował mu w ten sam sposób, a Gonda skinęła głową, po czym przeszli do sali, gdzie grała mała orkiestra. Usiedli rozmawiając i spoglądali na tańczące pary. Gonda nie byłaby młodą dziewczyną, gdyby nie sprawiało jej przyjemności przyglądanie się tańczącym.

Wkrótce potem także i tamci mężczyźni wyszli z restauracji, kierując się prosto do wyjścia. Tutaj się pożegnali. Starszy pan wyszedł, a młodszy skierował się do windy. Dojrawszy naraz ojca i córkę, zatrzymał się jak wryty, po czym opadł na stojący w pobliżu fotel. Usiadł przy tym w taki sposób, aby nie zwracając na siebie uwagi móc obserwować Gondę. Na pozór przyglądał się tańczącym, lecz ona czuła, że raz po raz spogląda w jej kierunku. Nie odważyła się teraz spojrzeć na niego, ale świadomość, że on siedzi nieco dalej i jej się przygląda, napełniła jej serce cichą radością.

Kiedy w pół godziny potem podnieśli się, aby wrócić do swoich pokoi, wsiadając do windy zdążyła zauważyć, że młody mężczyzna także wstaje. Kiedy przystanęli przed swymi pokojami, aby powiedzieć sobie dobranoc, przyjechała winda i wysiadł z niej właśnie on. Wymienili ukłony i Gonda zobaczyła, że znika w pokoju przylegającym do pokoju jej ojca.

Nieco wytrącona z równowagi, zamknęła co prędzej za sobą drzwi i zatrzymała się na moment, tak jakby udało jej się uniknąć niebezpieczeństwa. Niezadowolona z siebie, odrzuciła do tyłu głowę i zaczęła sposobić się do snu. Kiedy wreszcie się położyła i zamknęła oczy, chcąc nie chcąc ujrzała znowu przed sobą wyraziste, energiczne rysy młodego mężczyzny. Oczyma wyobraźni wi-

działa każdy szczegół jego opalonej twarzy, wysokie czoło, głęboko osadzone szare oczy i pełne wyrazu usta o cienkich wargach. Szare oczy patrzyły na nią jakby pytając: „Kim jesteś?”

Jej serce biło tak niespokojnie, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Było jej tak, jakby popełniła coś niewłaściwego, aby zaraz potem doznać uczucia, że stało się coś wyjątkowego i pięknego, że przydarzyło jej się coś, czego jeszcze nigdy nie doznała.

Wreszcie zasnęła, lecz nawet we śnie prześladowały ją szare oczy nieznajomego.

Następnego dnia już go nie zobaczyła, przypuszczała więc, że wyjechał. Smutna, błędziła wzrokiem po sali, gdzie podawano śniadanie, nie wiedząc, dlaczego to robi, jak gdyby musiał się znowu pojawić i spojrzeć na nią zniewalająco tak jak poprzedniego wieczoru swymi szarymi oczami, z których wyczytać można było osobliwe pytanie.

Był to ostatni dzień, który miała spędzić z ojcem w Hamburgu. Rano odebrali zdjęcia, jak się okazało, bardzo udane. Potem Klaus Ruthart udał się do banku, a Gonda zasiadła do długiego listu do Georga. Opisała mu Hamburg i to wszystko, co wydało jej się w tym mieście interesujące, lecz o swym najsilniejszym przeżyciu, jakim było spotkanie z młodym nieznajomym, nie wspomniała słowem. Dołączyła do listu zdjęcia i gotową przesyłkę wręczyła ojcu, który właśnie wrócił do hotelu, prosząc go o jej wysłanie. Próbowała myśleć o Georgu, o tym, jak się ucieszy, lecz jej myśli błędziły gdzie indziej. Za bardzo zaprzętało ją dwoje szarych oczu.

Kiedy przechodziła korytarzem w ciągu dnia obok jego pokoju, jej pytający wzrok natrafiał na zamknięte drzwi. Nic nie zdradzało, czy nieznajomy jeszcze tu mieszka, czy też wyjechał. Niedoświadczonej, nie przyszło do głowy, aby zapytać o to pokojówkę.

Gdy następnego dnia jechała z ojcem na dworzec, była przekonana, że spotkanie z szarookim nieznajomym to tylko przelotny epizod w jej życiu, i to sprawiało jej ból. Bardzo chętnie by go ujrzała jeszcze raz.

Gdy znaleźli się na peronie, nieco roztargniona pozwoliła się ojcu prowadzić wzdłuż pociągu. Zajęli miejsca w przedziale i ojciec ulokował ją w kącie pod oknem. Zatrzaszczył się o lekturę, przygotował poduszkę, po czym zdjął płaszcz i usadowił się wygodnie naprzeciwko niej. W przedziale oprócz nich nie było na razie nikogo.

Na krótko przed odjazdem do przedziału wtargnął bagażowy i umieścił z pośpiechem na półce małą walizkę. W drzwiach przedziału zderzył się z mężczyzną, który wręczył mu należność i śmiejąc się rzucił za nim, aby się pospieszył. W tym momencie pociąg ruszył. Wtedy dopiero mężczyzna, do którego należała walizka, wszedł do środka i zdjął kapelusz pozdrawiając ich uprzejmie. Jego wzrok spotkał oczy Gondy i nastąpiło olśnienie: to był młody człowiek z restauracji!

Zdjął płaszcz, powiesił kapelusz i usiadł obok drzwi po drugiej stronie, na ukos od Gondy. Nikt już nie wszedł do przedziału, odbywali więc podróż w trójkę.

Klaus Ruthart natychmiast rozpoznał młodego człowieka i odpowiedział na jego powitanie skłaniając w milczeniu głowę. Nieznajomy mógł teraz do woli przyglądać się Gondzie, choć udawał, że wygląda przez okno. On też żałował, że nie udało mu się więcej zobaczyć młodej damy i jej starszego towarzysza, dziękował więc teraz w duchu bagażowemu, że umieścił jego walizkę właśnie w tym przedziale. Z uczuciem radości obserwował dyskretnie pełną powabną twarz dziewczyny.

Studiował jej szlachetne rysy, pięknie wykrojone blad różowe usta, cudowne aksamitne oczy, w których igrały złote iskielki, bujne wijące się włosy w tonie nasyconego złota, który to odcień musiał być naturalny, i świeżą cerę. Jej karna-

cja zdradzała, że dziewczyna musiała mieszkać w gorącym klimacie. Potwierdziła to spalona na brąz twarz jej towarzysza. Ponownie doszedł do wniosku, że obydwójce są cudzoziemcami. Ale kiedy po chwili doszło jego uszu parę wymienionych przez nich słów, przekonał się, że mówią czystą niemiecką.

Chętnie nawiązałyby z nimi rozmowę, nie odważył się jednak tego zrobić, w obawie, aby nie wydać się natrętem. Nie mógł przypuszczać, że tamtych dwoje bardzo chętnie by taką rozmowę podtrzymało.

Minęli kilka stacji, kiedy młody mężczyzna podniósł się i wyszedł na korytarz, aby zapalić papierosa. Tymczasem Gonda wypatrzyła na jego walizce naklejkę hotelu i zwróciła na nią uwagę ojcu.

— Hotel Schirmer, Kassel.

Klaus Ruthart uśmiechnął się do Gondy. Kassel było jego rodzinnym miastem.

—Znasz ten hotel, papo? — spytała półgłosem.

—Tak, Gondo, zawsze się tam zatrzymywałem i zostawałem do następnego dnia, kiedy jechałem do Santen.

—Czyżby ten pan też jechał do Kassel?

— Możliwe.

Oboje z tym większym zainteresowaniem przyglądali się stojącemu na korytarzu nieznanemu. Po chwili Klaus Ruthart wstał i z uśmiechem skinął córce głową:

— Ja też mam ochotę zapalić.

Wyszedł na korytarz i stanąwszy obok młodego mężczyzny usiłował zapalić papierosa. Niestety silny przeciąg za każdym razem gasił zapałkę.

—Czy mogę pomóc? — spytał grzecznie nieznanemu, podsuwając mu swego palącego się papierosa. Klaus Ruthart podziękował i już w moment później mógł zaciągnąć się dymem. Przez chwilę stali obok siebie paląc w milczeniu, po czym odezwał się ojciec Gondy:

—Proszę mi wybaczyć, jeśli uzna pan, że jestem zbyt ciekawy. Przypadkiem zobaczyłem na pańskiej walizce naklejkę hotelu w Kassel. Czy pan też tam jedzie?

—Tak, proszę pana, buduję bocznice kolejową na północ od Kassel, muszę się więc zatrzymać tam na dłuższy czas.

— A więc buduje się tam linię kolejową?

—Tak, to odgałęzienie połączy leżące na północ od Kassel wsie z główną linią kolejową.

—To interesujące. Może w takim razie także wieś Santen otrzyma stację kolejową.

— Zna pan Kassel i okolice? Klaus Ruthart uśmiechnął się.

—Trochę. Tam się urodziłem. Mieszkałem długo za granicą. W Kassel byłem cztery lata temu, stąd te pytania. Wszystko, co wiąże się z Kassel, bardzo mnie interesuje.

—Cieszę się, że to stało się powodem do rozpoczęcia rozmowy. Już od dawna mam na to ochotę, lecz nie chciałem być natarczywy.

—Dobrze się mieszka w hotelu Schirmer?

—Nie wiem, jakie pan stawia wymagania. Ja byłem zadowolony, gdy tam mieszkałem. Teraz jednak moje miejsce pracy jest zbyt oddalone od Kassel, abym mógł się tam znowu zatrzymać. Jeśli chodzi o budowę, jesteśmy teraz między wsią a zamkiem Santen. W Santen będzie oczywiście stacja kolejowa. Zaproponowano mi grzecznościowo mieszkanie w zamku Santen, ale właśnie w tym czasie zmarła pani von Santen, właścicielka zamku, a jej wnuczka i spadkobierczyni mieszka teraz sama, więc w żadnym wypadku nie mogłem się tam zatrzymać. Miałem jednak szczęście, bo ciotka młodej pani zaprosiła mnie do swego domu i mieszkam u niej już od paru tygodni.

— Mieszka pan u pani Käthe Laßwitz? — dopytywał się Klaus Ruthart.

Młody mężczyzna zdumiał się, popatrzył na niego bacznie, po czym rzucił pytające spojrzenie do przedziału, gdzie siedziała Gonda.

— Pan zna panią Laßwitz?

— O tak, bardzo dobrze. To moja siostra. A młoda dziedziczka na zamku to moja córka.

Nieco speszony, młody mężczyzna zajrzał powtórnie do przedziału, po czym spytał niepewnie:

—Pan wraca z Sumatry?

—Tak jest.

— Być może sam bym wpadł na to, że jest pan wyczekiwany z utęsknieniem bratem pani Laßwitz — gdyby pan podróżował samotnie. Wydaje mi się, że słyszałem od pani Laßwitz, że przybędzie pan sam. A ponieważ pan jest w towarzystwie młodej damy...

Klaus Ruthart uśmiechnął się lekko.

— Tak, moja siostra nie wie jeszcze o jej przyjeździe. Nieznajomy po raz trzeci spojrzał w kierunku przedziału, gdzie Gonda

aż paliła się z ciekawości, widząc, że panowie wdali się w rozmowę.

—To pańska małżonka? — spytał ze ściśniętym sercem, choć zdawał sobie sprawę z niestosowności tego pytania. Musiał mieć pewność.

—Nie, to moja córka. Proszę nie zdradzać mojej siostrze, jeśli się pan z nią wcześniej zobaczy niż ja, że przyjechałem z córką. To ma być niespodzianka.

Młody mężczyzna odetchnął w skrytości ducha, nie zastanawiając się nad tym, dlaczego tak mu ulżyło, kiedy usłyszał, że czarująca młoda dama jest córką rozmówcy, który zresztą wcale nie wyglądał na starszego pana. Można go było z powodzeniem uznać za nieco starszego męża młodej kobiety.

—Jeżeli pan sobie życzy, w ogóle przemilczę nasze spotkanie.

—Byłbym wdzięczny.

— A teraz, kiedy już wiem, że jest pan oczekiwanym panem Ruthar-tem, pozwoli pan, że się przedstawię. Hans Leyden, do usług.

Klaus Ruthart patrzył na niego z przyjemnością.

—Doktor Leyden, tak? Przynajmniej w ten sposób tytułowano pana w restauracji hotelowej.

—W istocie, jestem inżynierem.

—Ponieważ szczęśliwy traf zetknął mnie z panem, panie doktorze, pozwoli pan, że zapytam o moich krewnych.

—Ależ proszę, służę wszystkim, co wiem.

—Zastanę moją siostrę i córkę w dobrym zdrowiu? Przypuszczam, że pan niedawno widział się z nimi.

—Kiedy wyjeżdżałem trzy dni temu, zostawiałem obie damy w najlepszym zdrowiu. Musiałem udać się w małą podróż służbową, a przy okazji odwiedzić wuja w sanatorium. Panna Helga Ruthart pogrążona jest w żalu po śmierci babki, ale poza tym czuje się dobrze.

—Czy śmierć mojej teściowej nastąpiła nieoczekiwanie?

—Tak, dla wszystkich. Pani von Santen padła tknięta apopleksją.

—A więc moja siostra i córka rozmawiały z panem o moim przybyciu.

—Tylko pańska siostra. Była tak łaskawa, o czym już panu wspomniałem, zaproponować mi mieszkanie w swoim pięknym domu. Chyba pan wie, że to niecałe pół godziny drogi od zamku. W pobliskich wioskach znajdują się tylko prymitywne gospody, zakwaterowałem się w takiej we wsi Santen. To jest obrzydliwe miejsce i pańska wspaniałomyślna siostra zlitowała się nade mną, a że nie mogłem zamieszkać w zamku, oddała do mej dyspozycji dwa piękne pokoje w swoim domu. Co więcej, stołuję się u niej, jest mi więc tam jak w niebie, a do tego jeszcze mogę delectować się jej towarzystwem. Siedzimy często wieczorami z godzinkę i prowadzimy ożywione rozmowy. Przy tej okazji dowiedziałem się o pańskim powrocie do kraju. Oczywiście chciałem natychmiast



zwolnić zajmowane przez siebie pokoje, ale pani Laßwitz oświadczyła, że to nie wchodzi w grę. Powiedziała, że jest bardzo prawdopodobne, iż zamieszka pan w zamku, a nawet gdyby tak nie było, w jej domu jest dość miejsca. Ponieważ jednak pan przyjechał z córką, będę chyba musiał pomyśleć o przeprowadzce.

Klaus Ruthart potrząsnął głową.

— Powiem tak jak moja siostra: to nie wchodzi w grę. Przejściowo zatrzymamy się u mojej siostry, po czym z pewnością przeniesiemy się do zamku. Kiedy usłyszałem o śmierci pani von Santen, z miejsca sprzedałem posiadłość na Sumatrze, bo tak czy tak miałem zamiar wrócić z moją młodszą córką na stałe do Niemiec. Naraz stało się to rzeczą pilną, jako że muszę przyjść z pomocą mojej córce Heldze, dopóki jej będzie potrzebowała.

— Wspaniale! Myślę, że wszystko się jakoś ułoży. Pani von Santen była wyjątkowo energiczną i świadomą celu kobietą, która rządziła silną ręką i sama sprawowała nadzór nad całą posiadłością. Po jej śmierci wnuczka stanęła bezradna wobec zaistniałej sytuacji, ponieważ zarządca jest starym człowiekiem, nieprzywykłym do wydawania samodzielnych poleceń. Byłoby bardzo źle, gdyby zostało tak jak jest, bo on naprawdę nie jest już sprawny.

— Wezmę to wszystko w swoje ręce. Do tej pory niewiele mogłem zrobić dla mojej starszej córki, ponieważ moja teściowa zdecydowanie zastrzegła sobie nie tylko prawa, ale także i obowiązki.

— Wiem, pani Laßwitz zaszczyciła mnie zaufaniem i podczas tych wieczornych rozmów opowiedziała mi co nieco. Gawędziliśmy o wszystkim, co nas obydwoje dotyczy, a że jest całym sercem przywiązana do pana, zdarzało jej się niekiedy dać upust złości na panią von Santen i jej stosunek do pana. Proszę, niech się pan nie dziwi, że okazała mi tyle zaufania. Pańska siostra zna mnie nie od tego krótkiego czasu, jaki pracuję przy budowie linii kolejowej. Bywałem już wcześniej w jej domu. Wuj, wycofawszy się zinte-resów, kupił dom w tej okolicy i od czasu do czasu zapraszał mnie na parę tygodni, a choć sam jest stroniącym od ludzi dziwakiem, nigdy nie zabraniał mi składania wizyt w sąsiedztwie. W ten sposób trafiłem też do zamku Santen, gdzie poznałem obie damy, a także do domu pańskiej siostry, z którą bardzo dobrze się rozumiemy. Gdy powierzono mi

budowę linii kolejowej, miałem zamiar zamieszkać u niego, ale dokładnie w tym czasie ciężko zachorował i musiał się poddać operacji. Teraz jest w sanatorium. Jego niewielką posiadłością zarządza były inspektor, który po swoim pracowitym życiu zapragnął побыć trochę na świeżym powietrzu. Dom jest chwilowo zamknięty, pozostała tylko część służby mająca utrzymywać go w dobrym stanie. Jak już powiedziałem, wuj unika ludzi i jest wobec wszystkich wyjątkowo podejrzliwy. Nie chciałem sprawdzać, czyjego brak zaufania dotyczy także mnie, dlatego w ogóle go nie prosiłem, aby pozwolił mi zamieszkać w swym domu podczas jego nieobecności. Wolałem zamieszkać w prymitywnej gospodzie i mieszkałbym tam do tej pory, gdy pani Laßwitz w swej wielkoduszności nie zaprosiła mnie do siebie.

— Jest pan, jak widzę, dokładnie poinformowany o stosunkach panujących w okolicy zamku Santen — uśmiechnął się Klaus Ruthart.

Doktor Hans Leyden roześmiał się. Był to świeży, życzliwy śmiech, który ojcu Gondy bardzo się podobał.

— Dość dobrze. Pańska siostra opowiedziała mi pewnego wieczoru, jak mało szczęścia zaznał pan na zamku Santen. Wiem, dlaczego wyjechał pan przed laty na Sumatrę. Zeszliśmy na ten temat, kiedy wyraziłem wobec pani Laßwitz zdziwienie, że panna Helga nigdy nie wspomina ojca. Z początku myślałem, że jej ojciec nie żyje.

Klaus Ruthart skinął w zamyśleniu głową.

— Tak, tak, dotychczas niewiele znaczyłem w życiu Helgi, lecz temu winna była wyłącznie jej babka. Mam nadzieję, że teraz będzie inaczej.

Doktor Leyden chciał coś powiedzieć, zacisnął jednak co prędzej usta, jakby nie wolno mu było tego zrobić. Z prawdziwą sympatią spojrzał na twarz Rutharta, po czym rzekł szybko zmieniając temat:

— Pani Laßwitz nigdy mi nie wspominała, że ma pan drugą córkę. Klaus Ruthart utkwiał badawcze spojrzenie w twarzy doktora Leydena, po czym wyprostował się i rzekł spokojnie:

— Ponieważ wie pan już tyle o mnie, wyjaśnię więc panu także i to. Moja siostra nie wie, że na Sumatrze ożeniłem się po raz drugi i że z tego małżeństwa mam córkę. Także Helga nic o tym nie wie. Nie chcę pana zanudzać mymi rodzinnymi sprawami, lecz tylko wyjaśnić panu, dlaczego mi zależy, żeby pan im przedwcześnie nie zdradził, że przyjechałem z córką. Z pewnych względów pragnąłbym wyjaśnić im to osobiście.

Doktor Leyden skłonił się.

— Zrozumiałe! Daję panu słowo, że w ogóle nie wspomnę o naszym spotkaniu. Ponieważ wypaliliśmy razem papierosy i stoję przed panem jako dobry znajomy i przyjaciel pańskiej siostry, wolno mi chyba uprzejmie poprosić o przedstawienie mnie pańskiej młodszej córce.

Klaus Ruthart z uśmiechem skinął głową. Pociąg zatrzymał się właśnie na stacji i obaj panowie udali się do przedziału, gdzie Gonda zachodziła w głowę, o czym rozmawiali. Pełna oczekiwania spojrzała na ojca.

— Pozwolisz, kochano Gondo, że przedstawię ci pana doktora Leydena. Świat jest mały! Doktor Leyden jest inżynierem i buduje linię kolejową, która przebiegać będzie obok zamku Santen, zna też ciotkę Käthe i Helgę, a nawet zatrzymał się na czas budowy w domu ciotki. Czyż to nie szczególny zbieg okoliczności?

Hans Leyden skłonił się przed Gondą, a ta wyciągnęła do niego z wesołym uśmiechem rękę.

— Nie wiem, panie doktorze, czy w Niemczech należy to do dobrego tonu, jeśli kobieta podaje mężczyźnie rękę. U nas w Dahomy było to zwyczajem, ilekroć zawieraliśmy z kimś znajomość — oświadczyła z filuternym wyrazem twarzy.

— Łaskawa pani, traktuję to jako wielkie wyróżnienie, gdy dama przy takiej okazji podaje mi rękę. Jestem zarozumiały, prawda? — zażartował.

— Och, wolno panu! Teraz już wiem, dlaczego pan od razu tak mi się spodobał, choć sama sobie nie umiałam tego wytłumaczyć.

Zachwycony jej bezpośrednim sposobem bycia skłonił się z wdzięcznością.

Jej ojciec roześmiał się.

—Proszę się nie dziwić, panie doktorze, szczerości mojej córki. Nie jest przyzwyczajona do skrywania swych uczuć i czasami jest może zbyt otwarta.

—A czy to nie jest prawdą, co powiedziałam, drogi papo?

— Nie przejmuj się tym, Gondo, to jeszcze ci się nieraz przydarzy. Nieco zakłopotana podniosła oczy na Leydena, nie omieszkała jednak

spytać ciekawie:

— Zatem zna pan moją siostrę i ciotkę?

—Tak, łaskawa pani — przytaknął i w krótkich słowach powtórzył jej to, co już wcześniej opowiedział Klausowi Ruthartowi. Usiadł obok niego, miał więc teraz Gondę prawie dokładnie naprzeciw siebie i patrzył na nią tak ciepło, z takim błyskiem swych szarych oczu, że wydawało jej się, iż owo spojrzenie przenika jej duszę.

—Doktor Leyden będzie, przynajmniej przez krótki czas, twoim współlokatorem w domu ciotki Käthe. Muszę cię tam zostawić, dopóki nie przygotuję Helgi na spotkanie z tobą.

Rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie.

— Czy doktor Leyden wie, że Helga nie ma pojęcia o moim istnieniu?

— Tak, dziecko, uznałem za stosowne go wtajemniczyć, aby niechcący przedwcześnie nas nie zdradził.

Gonda utkwiała ożywiony wzrok w twarzy Leydena.

— Jak pan myśli, doktorze, czy Helga też się będzie tak cieszyć, że ma siostrę? Gdy dowiedziałam się o jej istnieniu na krótko przed wyjazdem do Niemiec, skakałam do góry z radości.

Hans Leyden zawahał się. Na tyle, na ile znał Helgę, wydawała mu się ona wyniosłą, zimną kobietą, nawet gdy starała się być uprzejma. Uważał ją za niezdolną do żadnego głębszego uczucia, a w żadnym razie nie tak miłą i pełną ży-

cia jak jej młodsza siostra. Było wątpliwe, czy będzie się cieszyła z jej przybycia. Nie chciał jednak tego mówić Gondzie. Widział jej wyczekujące spojrzenie, lecz nie miał sumienia dzielić z nią swymi obiekcjami.

— Nie wyobrażam sobie, że mógłby znaleźć się ktoś taki, kto by się nie cieszył, że dostał panią za siostrę — odpowiedział z dwornym uśmiechem.

Odetchnęła ciężko, jakby jej było duszno.

—Widzi pan, trochę się boję, że Helga może nie być do mnie dobrze usposobiona. A ja, choć jeszcze nie widziałam jej na oczy, zdążyłam ją już pokochać. Zatem mieszka pan u cioci Käthe?

—Tak, była tak dobra, że zaprosiła mnie do swego domu na czas budowy.

—Długo pan zostanie w tej okolicy?

—Może nawet parę miesięcy, musimy zbudować most i przebić tunel, na szczęście bardzo krótki. To zabierze trochę czasu.

Gonda słuchała tego z radosnym biciem serca. To była radosna okoliczność, że będzie tak długo w pobliżu.

—Czy moja siostra jest bardzo przygnębiona po śmierci babki?

—Nie widywałem jej za często od tego czasu — odparł wymijająco.

—Lubi pan moją siostrę? — wypytywała dalej Gonda. Pociąg tymczasem ruszył.

Drgnęły mu wargi, lecz odrzekł ze spokojem, choć miał świadomość, że to znowu wymijająca odpowiedź:

— To bardzo wytworna, elegancka i dumna młoda dama. Nie brakuje jej wielbicieli.

Gonda odetchnęła spoglądając radośnie na ojca. Cieszyło ją, że doktor Leyden z taką atencją wyraża się o jej siostrze. Nie zauważyła, tak jak jej ojciec, że udzielono jej wymijających odpowiedzi.

— Czyż to nie osobliwy przypadek, że spotkaliśmy się w Hamburgu w hotelowej restauracji, a teraz siedzimy w tym samym przedziale?

Jego oczy zabłyśły.

—A więc przypomina sobie pani, że widzieliśmy się już w hotelu?

—Ależ oczywiście. Pomógł mi pan uwolnić narzutkę, gdy zaczepiła się o oparcie krzesła.

—Mimo to mogłaby mnie pani nie poznać.

—A jednak poznałam, i to natychmiast! Przez cały wczorajszy dzień musiałam się zastanawiać, czy pan wyjechał na dobre. Jaka szkoda, że tamtego wieczoru, kiedy siedzieliśmy blisko siebie w restauracji, nie wiedzieliśmy, że mieszka pan u cioci Käthe. Moglibyśmy już wtedy porozmawiać. A czy pan też nas od razu poznał, gdy wszedł pan do przedziału?

—Pewnie, że tak! Tak charakterystycznej twarzy jak pani ojca i tak czarującej młodej damy nie zapomina się łatwo.

Na jej policzki wypłynął lekki rumieniec, roześmiała się jednak filuternie.

—A więc to ja jestem ową czarującą młodą damą?

—Jeśli mi wolno tak powiedzieć — odparł rzucając niepewne spojrzenie na jej ojca.

—Właściwie dlaczego miałby mi pan tego nie powiedzieć?

—Mogłaby się pani obrazić.

—O nie, to przecież nie jest nic takiego, o co można by się gniewać. Przecież się cieszę, że uważa mnie pan za taką osobę.

Był zachwycony jej cudowną bezpośredniością, która nie miała nic wspólnego z wyrachowaną chęcią podobania się, właściwą wielu współczesnym kobietom. Wydawała mu się tak świeża i naturalna, że dalej gawędził z nią w ten sposób.

W którymś momencie wmieszał się jej ojciec.

— Musi pan być nieco wyrozumiały dla mojej córki, panie doktorze — poprosił. — Nie można jej mierzyć tą samą miarą co młode kobiety, które wyrosły w bardziej cywilizowanym otoczeniu. Moja córka wychowała się z dala od świata, obcowaliśmy na co dzień tylko z malajską służbą, utrzymując kontakty towarzyskie z nielicznymi, również żyjącymi na odludziu sąsiadami. Choć matka była dla niej doskonałym wzorem, może przecież popełniać drobne gafy, zanim przyzwyczai się do stylu obowiązującego w tak zwanym cywilizowanym towarzystwie. Proszę wziąć to pod uwagę, kiedy w swój niefrasobliwy sposób powie lub uczyni coś, co wyda się panu niezwykle.

Gonda spojrzała na niego odrobinę speszona.

—Czyżbym strzeliła jakieś głupstwo, papo?

—Ależ skąd, łaskawa pani! — zapewnił ją z ciepłym błyskiem oczu Hans Leyden, zanim jeszcze ojciec zdążył jej odpowiedzieć. — Zauważyłem tylko, że jest pani godna podziwu z tą swoją naturalnością, którą niestety u naszych młodych kobiet spotykamy coraz rzadziej. Mam nadzieję, że nigdy nie straci pani tej beztroskiej świeżości. Byłaby to wielka szkoda.

Gonda odetchnęła z ulgą, mimo to spojrzała pytająco na ojca. Ten uśmiechnął się do niej kiwając głową.

— To nie było takie złe, że mogłaś być taka otwarta i beztroska — powiedział w swój spokojny, dobrotliwy sposób.

To ją zadowoliło i dalej gawędziła wesoło.

Hans Leyden czuł, że topnieje w nim serce. Wrodzone poczucie humoru, odrobina zalotności, z jaką mówiła o popełnianych przez siebie błędach, zachwycały go coraz bardziej. Takiej niewinności i braku doświadczenia, połączonych z wdziękiem i roztropnością, nie spotkał u żadnej młodej kobiety. Błogosławił przypadek, który go zetknął z tymi ludźmi.

Prowadząc ożywioną rozmowę, z zażyłością, na jaką pozwalała ich krótka znajomość, przekazywali sobie pewne fakty z własnego życia. Z zainteresowaniem przysłuchiwał się Hans Leyden opowiadaniu Klause Rutharta o życiu na plantacji, po czym zaczął mówić o sobie. Bardzo wcześnie, bo już w wieku pięć-

nastu lat, stracił rodziców, którzy zginęli w wypadku. Jego prawnym opiekunem został wówczas brat matki, zgorzkniały dziwak. Wuj wysłał go do internatu, zanim nie skończył szkoły średniej, a sam zarządzał jego niewielkim majątkiem, który mu zostawił ojciec. To umożliwiło mu podjęcie studiów.

— Myślę, że wuj w tajemnicy do tego dokładał, abym nie biedował, ale nie chciał mnie upokorzyć, więc nigdy o tym nie mówił. Przy całej swojej mizantropii jest wspaniałym starszym panem. Po skończeniu studiów otrzymałem na szczęście od razu dobrą posadę, a teraz powierzono mi pierwsze poważniejsze zadanie: budowę linii kolejowej.

—Pański wuj należy zatem do sąsiadów mojej córki — stwierdził raczej, niż zapytał, Klaus Ruthart.

—Tak. Kupił sobie kilka morgów i mieszka teraz w pięknym, leżącym w dużym parku domu. W tym parku może się bez przeszkód przechadzać.

Wycofał się ze wszystkich interesów, sprzedał swoją dużą fabrykę i wiedzie życie z dala od świata. Jestem jedynym człowiekiem, oprócz służby oczywiście, którego od czasu do czasu toleruje obok siebie. Nie mogę się na niego skarżyć, wielokroć dawał mi dowody swego dobrego serca. To sytuacja rodzinna uczyniła go zgorzkniałym odludkiem. Teraz przebywa w sanatorium. Operacja się udała, ale to wcale nie oznacza końca jego cierpień. Kiedy go odwiedziłem ostatnio, powiedział mi, że prawdopodobnie będzie tam musiał pozostać przez wiele miesięcy. Bardzo mi go żal. Mimo iż posiada spory majątek, nie ma nic z życia. Choć nie okazuje wielkiej radości, kiedy go odwiedzam, przecież wiem, że mu to dobrze robi. Chwała Bogu wcześniej się nauczyłem być samodzielnym, więc nie musi podejrzewać, że czegoś od niego oczekuję. Dlatego też nie chcę mieszkać u niego w domu, kiedy go tam nie ma, mimo że mi to zaproponował. Jego w dużym stopniu uzasadniona nieufność wobec ludzi mogłaby któregoś dnia osiągnąć także mnie, a tego bym sobie nie życzył ani ze względu na niego, ani na siebie.

—Żal takich ludzi — powiedział cicho Klaus Ruthart.



—Oczywiście. Chciałbym mu pomóc, ale to nie jest możliwe. Mam nadzieję, że wyzdrowieje, aby móc się cieszyć swą piękną posiadłością. Kiedy umrze, majątek odziedziczy jego wnuk, syn jego jedynej, nieżyjącej już córki.

—Nie ma oprócz niego rodziny?

—Nie.

—Ale wnuk nie mieszka chyba razem z nim?

—Nie. Jego ojciec żyje jeszcze, lecz wuj jest z nim na wojennej stopie. Nigdy nie mówi o tych ludziach, którzy przecież są jego najbliższą rodziną, i nawet nie wiem, gdzie mieszkają. Już wtedy, kiedy zginęli moi rodzice, był poróżniony ze swym zięciem, do tego stopnia, że w jego obecności nie wolno było mówić ani o nim, ani o córce. Niewiele wiem na ten temat, a i to tylko od starego służącego, który jest z nim w klinice. Ale to są smutne sprawy i proszę o wybaczenie, że o nich wspomynam.

—Co też pan mówi! Słuchamy pana z żywym zainteresowaniem, tym bardziej że pański wuj będzie w przyszłości także i naszym sąsiadem.

—A więc zamieszkacie państwo na zamku Santen?

—W każdym razie pozostaniemy tam dotąd, dopóki moja starsza córka będzie mnie potrzebowała. Kiedyś wyjdzie za męża, a wtedy jej mąż przejmie sprawy związane z zarządzaniem dobrami, ja zaś kupię sobie gdzieś w Niemczech kawałek ziemi. Na Sumatrę nie wrócimy, a do czego innego jak gospodarowanie na roli już się nie nadaję: potrzebuję światła i słońca. Gondzie też nie odpowiada życie w mieście. Czułaby się jak w klatce po tych wszystkich latach prawdziwej swobody. Hans Leyden rzucił pospieszne spojrzenie na Gondę.

—Pańska córka sprawia wrażenie, że mogłaby się odnaleźć w każdych warunkach.

—Owszem, na pewno obyłyby się bez sarkania, ale to nie jest konieczne. Dlaczego mam dręczyć siebie i ją? Prawda, Gondo, że my obydwójce potrzebujemy światła, powietrza i swobody?

Przytaknęła z uśmiechem.

— O mnie nie musisz się martwić, papo, zgodzę się na wszystko, byleby być z tobą — rzekła serdecznie, a jej piękne oczy popatrzyły na ojca z taką miłością, że Hans Leyden uznał go za godnego zazdrości człowieka.

Podróż upłynęła tak szybko, że zdumieli się widząc mający na horyzoncie zamek Wilhelmshöhe, znak, że dojeżdżają do Kassel. Kiedy zaczęli przygotowywać się do wysiadania, Hans Leyden powiedział z uśmiechem:

—Pożegnam się z państwem tu, w pociągu, w razie gdyby pani LaBwitz czekała na peronie.

—Nie uprzedziłem jej o momencie naszego przybycia. Zatrzymamy się dziś w hotelu Schirmer, a jutro z rana pojedę sam do siostry i przygotuję ją na spotkanie z młodszą córką, o której do tej pory nic nie wiedziała. Potem zawiozę do niej Gondę, a stamtąd udamy się na zamek.

Na wszelki wypadek pożegnali się jednak, a było to bardzo serdeczne rozstanie.

Hans Leyden ujmując dłoń Gondy spytał ciepło:

— Czy wolno mi powiedzieć „do zobaczenia”, łaskawa pani? Skinęła żywo głową.

— O tak, zobaczymy się wkrótce, a ja już się cieszę na to spotkanie — wyznała szczerze, nie przyzwyczajona skrywać swych uczuć. Z jej ojcem Leyden pożegnał się silnym uściskiem dłoni.

## 7

---

Klaus Ruthart wypożyczył w hotelu samochód na cały następny dzień. Zaraz po śniadaniu pożegnał się z Gondą.

— Nie zostawię cię długo samej, moje dziecko — powiedział uśmiechając się. — Ciocia Käthe z pewnością będzie chciała jak najszybciej uścisnąć swoją bratanicę. Mógłbym wziąć cię od razu, ale chyba będzie lepiej, jeśli najpierw spokojnie jej wszystko wytłumaczę. Trzeba się liczyć z tym, że będzie nieco wytrącona z równowagi.

Spojrzała na niego dzielnie.

— Jedź spokojnie, papo, pozostanę w hotelu, dopóki nie wrócisz. Szczęśliwej drogi!

Jazda trwała około godziny. Kiedy Klaus Ruthart zatrzymał się przed tonącym w kwiatkach domem siostry, z jednego z okien dobiegł go okrzyk radości, a zaraz potem w drzwiach ukazała się ona sama i rzuciła mu się na szyję.

—Klaus! Kochany Klaus! Tak długo na ciebie czekałam, a ty sprawiłeś mi niespodziankę! Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś, kiedy przyjedziesz?

—Nie chciałem, abyś witała mnie na dworcu kolejowym. Wiesz, jak tego nie lubię.

— Najważniejsze, że jesteś, Klaus, mój drogi bracie! Tak się cieszę! Ucałował ją serdecznie, po czym odsunął nieco od siebie i spojrzał uważnie w twarz. Była ciągle jeszcze piękną kobietą, wyglądającą całkiem młodo mimo swych czterdziestu lat. W dzisiejszych czasach kobiety nie starzeją się tak szybko. Nieco się zaokrągliła, lecz mimo to ciągle jeszcze była szykowną kobietą, tylko w jej oczach pojawił się wyraz, jakiego nie dostrzegł przed czterema laty, a wokół ust widniały ślady przebytych cierpień. Jej udziałem stał się wielki ból: straciła męża.

—Jak ci się wiedzie, Käthe? — spytał z czułością, głaszcząc ją po włosach. Wprowadziła go do pięknie urządzonego, a zarazem przytulnego salonu i wydała polecenia dwóm służącym, które przybiegły odebrać od niego płaszcz i kapelusz.

—Powodzi mi się nieźle, Klaus, ostatecznie wreszcie człowiek przewycięża to najgorsze, choć trudno sobie uzmysłwić, że czas goi wszystkie rany. Kiedy straciłam mego drogiego męża, i to w taki smutny sposób, nie przypuszczałam, że kiedykolwiek uda mi się pogodzić z tą stratą. Ale czas czyni cuda i pozwala

mi zaznać odrobiny radości, choć nigdy nie zapomnę mego drogiego zmarłego. Poza tym mam ciebie. Czy to prawda, że nie zamierzasz już wrócić na Sumatrę?

— Tak, Käthe, zostaję w Niemczech. Skoro Helga została sama, ojcowski obowiązek zmusił mnie do powrotu wcześniej, niż planowałem. Teraz, kiedy nie żyje pani von Santen, może uda mi się nareszcie zbliżyć do mej córki.

Przez twarz Käthe przemknął cień.

— Mówię ci, Klaus, nie będzie to łatwe. Uśmiechnął się gorzko.

— Nie wątpię, Käthe, wiem przecież, że babka robiła wszystko, aby odciągnąć dziecko ode mnie. Biorę to pod uwagę i nie oczekuję od niej zbyt wiele. Żeby tylko pozwoliła sobie pomóc...

— Tym nie musisz się martwić, ona już czeka na ciebie i na twoją pomoc. Od kiedy nie żyje pani von Santen, wszystko w majątku idzie nie tak jak trzeba. Helga straciła głowę, zarządca też. Starsza pani była bardzo pracowita, nie można jej tego odmówić. Zarządca jest już stary i niezdolny do działania z własnej inicjatywy. Nigdy nie był samodzielnym pracownikiem, zawsze tylko wykonywał polecenia dziedziczki. On się cieszy, że ty przejmiesz zarząd nad dobrami, zdejmując tym samym z niego odpowiedzialność. A Helga? No cóż, jest przekonana, że przywrócisz porządek. Ona sama nie ma bladego pojęcia o gospodarowaniu. Babka niemożliwie ją rozpieszczała i nie przygotowała do życia, nie przypuszczając, że tak szybko umrze.

— To więcej, niż oczekiwałem. Cieszę się, że Helga ma przynajmniej tyle zaufania do mnie. Myślę, że szybko mi się uda zaprowadzić porządek. Ale powiedz, jak się odnosi do ciebie? Czy udało ci się zdobyć na nią wpływ? Niewiele mi o tym pisałaś.

Zmartwiona popatrzyła na niego.

— Tak się starałam, aby znaleźć drogę do tego młodego serca! Właściwie nadaremnie. Od śmierci babki co prawda przychodzi do mnie częściej z własnej woli, narzeka na swoją bezradność, lecz mimo to nie stałam się jej bliższa. Jak dawniej zamyka się w sobie i z góry traktuje wszystkich i wszystko. A ja bym się tak bardzo cieszyła, gdyby się dała choć odrobinę kochać. Tęsknię za człowie-

kiem, dla którego coś bym znaczyła, który by do mnie należał. Na szczęście mam teraz ciebie!

Ujął jej dłonie ponad małym okrągłym stołem.

— Käthe, przywiozłem ze sobą kogoś, kto pragnie, aby wolno mu było ciebie kochać, i bardzo chciałby być kochany przez ciebie.

Spojrzała zdziwiona. Jej niebieskie oczy badały jego twarz.

—Kogo masz na myśli?

—Nadeszła chwila, Käthe, abym ci coś wyznał. Postaram się to zrobić szybko, nie owijając rzeczy w bawełnę. Pamiętasz, jak teściowa za każdą bytnością tutaj mnie upominała, abym nie zapomniał o danym Ellen przyrzeczeniu, że się już nigdy nie ożenię?

—Tak, zawsze byłam o to zła. Co za nedorzecznosc, chcieć wiązać kogoś wymuszonym przyrzeczeniem. Przecież często ci mówiłam, abys sobie tym nie zawracał głowy. Kiedy umarła Ellen, nie miałeś jeszcze trzydziestu lat.

—I nie zawracałem sobie głowy. W rok po wyjeździe na Sumatrę ożeniłem się powtórnie i w tym drugim małżeństwie byłem niewymownie szczęśliwy.

Z właściwym sobie temperamentem ścisnęła mocno jego rękę i krzyknęła:

—A ja o tym nie wiedziałam, nikt z nas o tym nie wiedział! Przecież byśmy się tak bardzo cieszyli!

—Ale dla świętego spokoju musielibyście grać komedię przed panią von Santen. Chciałem wam tego zaoszczędzić. Nie dałaby wam żyć swoimi wyrzutami. Ja przyjeżdżałem tutaj rzadko, i to tylko na parę tygodni, więc spokojnie mógłbym udawać, że nic się nie zmieniło. Ale wy? Wyładowałyby na was całą swoją złość, chyba żebyście wszystko zataili przed nią i cały czas kłamali. Nie chciałem was tym obarczać.

— A gdzie jest twoja żona? Westchnął.

— Pogrzebałem ją dwa lata temu, mniej więcej na kilka tygodni przed śmiercią twego męża. Ale pozostawiła córkę, ona ma teraz dziewiętnaście lat i chce cię

pokochać, czeka na to. Z miejsca zdobędziesz jej serce, jest serdeczna i czuła, taka, jaką była jej matka. Spodoba ci się, ta moja Gonda.

Policzki Käthe płonęły z podniecenia.

—Gdzie ona jest, Klaus, gdzie ją zostawiłeś? Dlaczego jej nie przywiozłeś ze sobą?

—Została w Kassel, w hotelu. Chciałem cię wpierw przygotować na to spotkanie. Ale jeżeli pozwolisz, zaraz ją przywiozę, po to wynająłem samochód. Bagaż, który przywiozłem ze sobą, można wnieść do domu. W hotelu mamy jeszcze kilka innych waliz, przy takiej zmianie miejsca zamieszkania musi się wlec ze sobą tyle rzeczy. Zatem jadę zaraz do hotelu po Gondę i resztę bagaży. Później ci wszystko opowiemy. Käthe poderwała się.

— Oczywiście jadę z tobą! Myślisz, że będę siedzieć w domu i czekać, kiedy wiem, że w Kassel znajdę nową bratanicę, która chce mnie pokochać? Z wrażenia kręci mi się w głowie! Mogłabym cię złać, że tak długo milczałeś, ale to, co mówisz, jest zbyt cudowne, abym miała jeszcze ochotę do gniewu. Jak mi było przykro, że siedzisz sam w Dahomy, a to nie była prawda, nie zasługiwałeś na współczucie, mój straszny, drogi chłopcze! Poczekaj z pięć minut, wydam tylko polecenie, aby także dla Gondy przygotowano pokój i położono na stole jedno więcej nakrycie. Na waszą cześć wydam uroczysty obiad. Takie wydarzenia trzeba świętować.

Ucałowała brata, śmiejąc się i płacząc na przemian. Była taka szczęśliwa! W dziesięć minut później siedzieli w jej własnym eleganckim wozie. Wynajęty samochód odstawił do Kassel chłopak z sąsiedztwa.

W czasie jazdy Klaus Ruthart przekazywał siostrze wszystko, co powinna wiedzieć. Ona też miała mu wiele do powiedzenia. Ledwie zaczęli dzielić się swymi przeżyciami, a już stanęli przed hotelem. Klaus poprowadził ją od razu do pokoju Gondy. Ta już wcześniej dojrzała z okna wysiadającego z samochodu ojca i jakąś panią i teraz stała na środku pokoju z bijącym sercem, wpatrując się pociemniałymi z wrażenia oczami w drzwi.

I oto do pokoju wtargnęła ładna, elegancka, o nieco zaokrąglonych kształtach dama i na wpół śmiejąc się, a na wpół płacząc wyciągnęła do niej rękę.

—Ciocia Käthe? O tak, pani musi być ciocią Käthe, choć jest pani o wiele młodsza, niż myślałam — krzyknęła Gonda rzucając się jej w ramiona.

—Tak, to ja, twoja ciotka! Mój Boże, ty mój kochany, złoty skarbie! Mam taką śliczną bratanicę i nic o tym nie wiedziałam!

Całowały się i ścisnęły na przemian, jakby w błyskawicznym tempie chciały nadrobić wszystko, co przez te lata straciły. Klaus Ruthart stał obok, a jego oczy jakby zaszły mgłą. A potem nastąpiły pytania i odpowiedzi, śmiech i łzy, uściski i pocałunki. Rozentuzjasmowana ciotka Käthe ciągle nie miała dość. Była oczarowana Gondą i co chwilę powtarzała, że jest dumna z takiej bratanicy i że nareszcie ma kogo kochać.

Gonda nie całkiem jeszcze oprzytomniała po owym żywiołowym powitaniu, a już musiała się zbierać do drogi. Ojciec zniósł na dół bagaże i zapłacił rachunek, a ona z ciotką zeszły za nim do hallu. Käthe trzymała Gondę mocno za rękę, jakby w obawie, że ktoś może ją uprowadzić.

W drodze powrotnej Ruthart nie musiał już nic mówić, o to zatroszczyły się córka i siostra. Ciągle od nowa padały sobie w objęcia, czując, że są ulepione z tej samej gliny. Temperament ciotki, żywość jej umysłu, a także czuły, a nawet przymilny sposób bycia doskonale się zgadzały ze złotym sercem i poczuciem humoru Gondy. Od pierwszego momentu zapały do siebie sympatią, więcej, pokochały się, a choć znały się zaledwie od paru chwil, czuły się sobie tak bliskie, jakby spędziły razem wiele lat.

Klaus Ruthart był uspokojony. Bez względu na to, co się miało zdarzyć, Gonda pozyskała kącik w sercu jego siostry, a wraz z sercem wstęp do jej domu. W tej sytuacji to, jak się zachowa Helga, zeszło na drugi plan.

W domu ciotki wszystko już było gotowe na przyjęcie gości.

—Musicie się zadowolić tymi pokojami; mam teraz lokatora, młodego inżyniera, który buduje tu linię kolejową. Biedny człowiek mieszkał w gospodzie w tak prymitywnych warunkach, że nie mogłam wprost na to patrzeć. Odstąpiłam

mu więc dwa pokoje, ale myślę, że mimo to zostało dla nas dość miejsca — tłumaczyła bratu.

—Nie martw się, Käthe, my i tak wkrótce przeniesiemy się na zamek — odparł.

—Będę musiała się z tym pogodzić. Jeśli Helga i Gonda mają się do siebie zbliżyć, powinny mieszkać razem. Ty też, Klaus, musisz zamieszkać na zamku, jeśli masz przejąć zarząd nad dobrami. Zostaw mi jednak choć na parę dni Gondę. Helga i tak wprawdzie musi się oswoić z myślą, że ma siostrę. Oczywiście nie wyobrażam sobie, żebym nie miała widzieć was co dzień choć przez parę godzin u siebie. Idźcie teraz na górę do swych pokoi i rozgośćcie się. Obiad będzie za pół godziny.

Kiedy w trzydzieści minut potem zeszli odświeżeni na dół, zastali w salonie doktora Leydena, który właśnie wrócił z pracy i zdążył się nawet przebrać.

— Panie doktorze, mam niecodziennych gości. Czy zgadnie pan, kto to jest? — z właściwym sobie temperamentem wykrzyknęła ciotka Käthe.

Uśmiechając się złożył przed nią ukłon i pocałował ją w rękę.

— Mogę to pani dokładnie powiedzieć, łaskawa pani — odparł rzucając porozumiewawcze spojrzenie na Klause Rutharta. — Ten pan jest pani bratem, a ta młoda dama to jego córka Gonda.

Käthe odebrało mowę. Spoglądała na wszystkich troje potrząsając z niedowierzaniem głową.

— To nie do wiary! Chciałabym wiedzieć, jak pan do tego doszedł. Czyżby pokojówka coś wypaplała?

— Za dobrze mnie pani zna, łaskawa pani, aby mi nie wierzyć, że informacje czerpię wyłącznie od pani. Rozwiążę tę zagadkę, aby nie traciła pani czasu na niepotrzebne dociekania. Wolno mi powiedzieć, panie Ruthart?

— Oczywiście, panie doktorze — odrzekł z uśmiechem ojciec Gondy.

— To ty wiesz, kim jest mój gość? — Käthe nie posiadała się ze zdumienia.



—Zawarliśmy znajomość w pociągu, a jeszcze wcześniej spotkaliśmy się w Hamburgu w hotelu — pospieszył z wyjaśnieniem Leyden. — Bagażowy to genialny człowiek, umieścił moją walizkę w przedziale, który zajmowali ci państwo. Ledwie wtedy zdążyłem na pociąg.

—I nie powiedział mi pan słowa o tym spotkaniu?

—Zostałem zobowiązany do milczenia, łaskawa pani.

—Zaczynam rozumieć co nieco, a już byłam gotowa uwierzyć, że jest pan jaśnowidzem. Czyż moja bratanica nie jest urocza?

Hans Leyden posłał rozbawione spojrzenie Gondzie.

—Doskonale rozumiem pani radość i zachwyty! Teraz szybko przywitam się z państwem, aby już dłużej nie przeszkadzać. Dzisiaj zjem u siebie w pokoju.

—O tym nie ma mowy, panie doktorze! — zaproponowała żywo Käthe. — Jeśli tylko panu nie będzie przeszkadzać, że od czasu do czasu dam wyraz zachwyty nad moją nową bratanicą, to bardzo będziemy się cieszyli, mogąc zasiąść z panem przy stole.

—To oczywiste, że z naszego powodu nie musi pan zmieniać własnych przyzwyczajzeń, panie doktorze — wmieszał się Klaus Ruthart.

—Moim miłym nawykiem stały się posiłki w obecności pani Laßwitz. Jestem za słaby, nie umiem oprzeć się zaproszeniu. To bardzo wspaniałomyślnie z państwa strony, że wolno mi pozostać.

—Przez długi czas musiał się pan zadowalać wyłącznie moim towarzystwem, teraz będzie pan miał także towarzystwo mych krewnych.

—Sprawia mi to prawdziwą przyjemność, lecz muszę energicznie zaprotestować, jakobym był zmuszony zadowalać się tylko pani towarzystwem. Każdy mógłby uważać się za szczęśliwego, mogąc przebywać z panią.

—Zauważ, Gondo, jakie młodzi mężczyźni mówią w Niemczech komplementy szacownym, starym ciotkom. Łatwo zatem sobie wyobrazić, co może usłyszeć młoda dama. Musisz się na to przygotować — zażartowała Käthe.

—Ciociu, jesteś młoda i ładna i doktor Leyden miał słuszną rację mówiąc, że każdy powinien sobie cenić możliwość przebywania w twym towarzystwie. Ja w każdym razie jestem szczęśliwa z tego powodu.

Käthe ucałowała serdecznie Gondę.

— Ja również jestem szczęśliwa, że mogę cię mieć przy sobie, Gondo. Hans Leyden oświadczył, że będzie się czuł szczęśliwy mogąc przebywać także w towarzystwie Gondy, nie mówiąc ojej szanownym ojcu.

Przeszli do jadalni urządzonej w stylu staroniemieckim i zasiedli przy odświętnie nakrytym stole. W wiaderku z lodem chłodził się szampan.

—Dzisiaj jest inaczej, panie doktorze, dzisiaj nie raczę pana cierpkim winem mozelskim, bo dzisiaj mamy prawdziwe święto — oznajmiła ze śmiechem Käthe.

—Poczytuję sobie za honor, łaskawa pani, że wolno mi w nim uczestniczyć, nie wiem tylko, czym sobie na to zasłużyłem.

—No cóż, choćby tym, że mi pan nie zdradził, że mam taką uroczą bratanicę.

Wesoło zasiedli za stołem i wdali się w ożywioną rozmowę. Hans Leyden przysłuchiwał się z zachwytem ciepłemu, czystemu śmiechowi Gondy, która dosłownie tryskała radością życia. Wbrew swoim zwyczajom nie wrócił tego dnia punktualnie do pracy. Najchętniej zresztą w ogóle by nie poszedł. Pocieszał się jednak tym, że Gonda jeszcze przez parę dni będzie mieszkała z nim pod jednym dachem, będzie ją więc widywać w porze obiadu i wieczorami. To nappełniło go prawdziwą radością. Pozostanie teraz w pobliżu; także wtedy, kiedy przeniesie się do zamku Santen, będzie mógł ją od czasu do czasu widywać. To dla niego wielka wygrana, że spotkał tych dwoje ludzi!

Zaraz potem, kiedy doktor Leyden pożegnał się i wyszedł, Klaus Ruthart udał się w drogę do zamku. Siostra kazała postawić mu swój samochód i spytała, czy nie chciałby telefonicznie skontaktować się z Helgą.

Potrząsnął stanowczo głową.

— Nie, Käthe! Ona wie, że mam przyjechać w tych dniach, ale chciałbym zjawić się u niej niespodziewanie, aby nie miała czasu ułożyć sobie zdawkowego powitania. Może uda mi się przez zaskoczenie przełamać jej rezerwę wobec mnie.

Kiedy odjeżdżał, pani Laßwitz odprowadzała go współczującym spojrzeniem. Była pewna, że przeżyje rozczarowanie. Zaraz jednak odrzuciła tę myśl od siebie. Wiedziała, że ma prawdziwą pociechę w osobie Gondy, a ta potrafi mu wynagrodzić wszystkie krzywdy.

Pociągnęła ją teraz za sobą do swego małego salonu i tam od nowa posypały się pytania i odpowiedzi. Miały sobie tyle do powiedzenia, temat był niewyczerpany! Ciotka Käthe oprowadziła Gondę po całym domu, który od dołu do góry był wyjątkowo piękny, i bratanica nie kryła swego zachwytu nad gustownie, a przy tym uroczo urządzonymi pokojami.

— Masz cudowny dom, ciociu Käthe. Ta wsunęła rękę pod ramię Gondy.

—Widzisz, nie jestem jeszcze w tym wieku, kiedy już się niczego nie pragnie. Ponieważ po śmierci mego kochanego męża życie niczego więcej już mi nie może zaoferować, chciałam przynajmniej mieć romantyczny dom w pięknej okolicy. Miałam też nadzieję, że uda mi się zbliżyć do Helgi, jeśli będę mieszkała w pobliżu.

—I udało się to?

Käthe Laßwitz westchnęła, przycisnęła Gondę do wezbranego uczuciem serca, a dopiero potem odrzekła:

— Wiesz, Gondo, z Helgą to nie taka łatwa sprawa. Cały czas była pod wpływem babki, nikt więc nie miał nic do powiedzenia. Starsza pani postąpiła niemądrze, wychowując ją na egoistyczną i samowolną istotę. Spełniano każde jej życzenie, zanim jeszcze zdołała je wypowiedzieć. Babka utrwaliła w niej przekonanie, że całe otoczenie musi bezwzględnie spełniać jej rozkazy. Jeszcze większym błędem, jaki popełniła pani von Santen, było tłumienie w sercu Helgi każdego cieplejszego uczucia do innego człowieka, a przede wszystkim do ojca. Skończyło się na tym, że twoja siostra nie jest zdolna do żadnych uczuć. A

wszystko to zrodziło się z nienawiści, jaką stara dziedziczka żywiła do waszego ojca, i to tylko dlatego, że nie mógł tak pokochać jej córki, jak tamta tego żądała. Zresztą sama była temu winna, że Ellen nikt nie potrafił kochać, bo i ją niewłaściwie wychowywała, robiąc z niej prawdziwego tyrana. Nie chcę mówić źle o zmarłej, lecz zarówno Ellen, jak i Helga byłyby o wiele szczęśliwsze, lepsze i godne miłości, gdyby pani von Santen nie zajęła się całkowicie ich wychowaniem.

— Tak mi żal Helgi, ciociu Käthe! Nie zaniecham starań, aby ją pokochać i nauczyć, jak godnym miłości człowiekiem jest nasz ojciec. Któregoś dnia musi to spostrzec, tym bardziej że babka, która miała na nią zgubny wpływ, już nie żyje.

Käthe popatrzyła z czułością na Gondę, przyciskając do siebie jej ramię.

— Ty... tak, ty może dokonasz tej sztuki, w każdym razie musimy w to wierzyć. Ale musisz uzbroić się w cierpliwość, z dnia na dzień jest to niemożliwe.

— Tym większy będzie sukces, jeśli się to powiedzie. Tak bym chciała, żeby mi się to udało, przede wszystkim z miłości do papy. A ja jestem wytrwała. Biedna Helga nie ponosi winy, że ją tak wychowano. Musiała obywać się bez matki i ojca. Popatrz, ja też byłam rozpieszczana, lecz w inny sposób. Rodzice na każdym kroku dawali mi odczuć, jak bardzo mnie kochają, jednocześnie jednak uświadomili mi, że samemu trzeba kochać, jeśli się chce zdobyć miłość innych. Moja mama była cudowną kobietą, tak bardzo ją kochaliśmy, papa i ja! Gdy umierała, miała tylko jedno zmartwienie, że sprawia nam ból. Nigdy nie myślała egoistycznie tylko o sobie, nigdy nie żądała od losu niczego dla siebie. Jej piękność, dobroć i miłość zawsze miały należeć tylko do nas, papy i mnie. Dzięki jej przykładowi także my jesteśmy gotowi czynić ludziom dobro. Tego wszystkiego Helga nie zaznała. Miłość papy po dziś dzień należy wyłącznie do mnie, sam mi powiedział, że nie potrafi kochać Helgi tak, jak kocha mnie. Jak myślisz, jeśli mimo wszystko uda mu się zdobyć miłość Helgi, to czy sam znajdzie w sobie więcej uczucia dla niej?

—Käthe przysłuchiwała się w milczeniu, ciesząc się w duchu, że życie rodzinne jej brata było tak szczęśliwe, a już naprawdę poruszona była poczuciem sprawiedliwości Gondy, które kazało jej tak, a nie inaczej patrzeć na siostrę.

Ucałowała jej oczy.

— Moje ty kochane dziecko! Masz rację, musi się na to popatrzeć także z drugiej strony, jeśli się nie chce wydać krzywdzącego wyroku. Mówię ci, jeśli komukolwiek uda się rozbroić serce Helgi, to tylko tobie. Dlatego też nie będę cię zatrzymywać u siebie, choć bardzo bym tego chciała. Abyś mogła wywrzeć jakikolwiek wpływ na Helgę, musicie mieszkać razem. Co prawda jestem bardzo ciekawa, jak Helga przyjmie wiadomość, że jej ojciec powtórnie się ożenił i że ma siostrę. Nie będzie to dla niej łatwe. W dodatku aż za często musiała pewnie słyszeć, jak jej babka obstawała przy tym, że twemu ojcu nie wolno ponownie wstąpić w związek małżeński.

Gonda westchnęła.

— To była wielka niesprawiedliwość, że ojciec został zmuszony do złożenia takiego przyrzeczenia. Jakże można go było skazywać na samotność, to było naprawdę okrutne, zwłaszcza że nie kochał swojej pierwszej żony, prawda, ciociu Käthe?

Ja też tak uważam i jestem rada, że się od tego uwolnił i ułożył sobie życie. To dla rodziny się poświęcił, zgadzając się na małżeństwo z Ellen. Pani von Santen doskonale o tym wiedziała i dlatego tak go nienawidziła. Nie potrafiła zrozumieć, że człowiek, którym zainteresowała się jej ubóstwiana córka, nie darzy Ellen płomienną miłością. Ale teraz nie zaprzatajmy sobie tym głowy. Chwała Bogu, że twój ojciec znalazł szczęście u boku twojej matki. Opowiedz mi lepiej jeszcze o Dahomy. Dotychczas byłam skazana na to, co twój ojciec pisał mi w listach, a mężczyźni z reguły nie umieją przekazać rzeczy najbardziej interesujących.

— Papa miał bardzo mało czasu, ciociu Käthe. Gdybym wiedziała, że mam taką kochaną ciocię, pisywałabym do ciebie obszerne listy o wszystkim, co tam przeżywałam. Takie wyczerpujące listy zamierzam pisać do mego przyjaciela Georga Strassera.

Käthe zajrzała pytająco w oczy Gondy.

—Kto to taki, ten Georg Strasser? Wysłuchawszy uważnie wyjaśnienia Gondy rzekła:

—A więc to jest twój przyjaciel z lat młodszych?

— Tak, mój najlepszy, jedyny przyjaciel, dla którego rozstanie z nami było prawdziwym ciosem. Tak dobrze się rozumieliśmy, wzrastaliśmy jak brat i siostra. Moja mama przybyła na Sumatrę, zaangażowana przez Strasserów jako jego wychowawczyni.

I znowu było tyle do opowiadania, lecz Käthe prędko wywnioskowała, że ten Georg jest rzeczywiście tylko dobrym przyjacielem Gondy. Doświadczona ciotka czuła, że za tą młodzieńczą przyjaźnią nie kryje się żadne poważniejsze uczucie, przynajmniej ze strony Gondy.

Spostrzegła przy tym, jak nieznane i obce są dla niej sprawy związane z miłością, dziwiąc się, że taka niewinność i brak doświadczenia idą w parze z roztropnością i znajomością życia.

Podziwiała jednocześnie szczególne poczucie taktu swej bratanicy i umiejętność odnalezienia się w obcym dla niej środowisku, lecz przede wszystkim jej szczerość, gdy pytała, widząc choćby najmniejsze drgnienie na twarzy ciotki, czy aby w jej zachowaniu nie było czegoś niestosownego. Gonda tak ujmująco prosiła o wskazówki, jak ma postępować. Ogólnie rzecz biorąc umiała się znaleźć w każdej sytuacji, przy czym drobne błędy, jeśli już jej się takie zdarzyły, bardziej zjednywały jej serca niż przeszkadzały.

Ciotka Käthe była w każdym razie zachwycona swą bratanicą. To, że Gonda była piękna, napawało ją dumą. Helga była najwyżej ładna, i w dodatku nie tak ujmująca w sposobie bycia jak Gonda. Przy tym wszystkim była tak skromna, gdy tymczasem Helga dumna, zarozumiała i pewna siebie. Nie było to najlepsze połączenie dla młodej dziewczyny i niewiele pomagał tutaj fakt, że jest bogatą dziedziczką. Jakże różne były obie siostry! Ciotka Käthe nie mogła inaczej, musiała swe przepelnione uczuciem serce oddać bez reszty swej pięknej i dobrej

bratanicy. W tym dobrym sercu miał swoje przyrodzone miejsce jeszcze tylko jej brat i z tego miejsca nikt i nic nie zdołałoby go usunąć.

Jeśli Käthe Laßwitz zamknęła już kogoś w swym sercu, pozostawał w nim na zawsze.

## 8

---

Klaus Ruthart pojechał tymczasem do zamku Santen. Zamku nie było widać z domu siostry, przeszkadzała w tym spora połać lasu. W dali majaczyli robotnicy budujący linię kolejową i Ruthartowi wydawało się, że rozpoznaje wśród nich sylwetkę doktora Leydena. Doktor zjednał sobie jego sympatię i Ruthart cieszył się z tej znajomości. Teraz jechał przez piękny gęsty las, który lśnił pierwszą wiosenną zielenią. Tak długo brakowało mu tego niemieckiego lasu! Pełną pierśią wdychał wonne powietrze i wydawało mu się, że nowa siła wstępuje w jego żyły. Jak to cudownie, że znów mógł się cieszyć tym aromatycznym powietrzem.

Jadąc tak zastanawiał się, jak się zachować wobec Helgi, jak jej powiedzieć, że ożenił się powtórnie i że przywiózł ze sobą dziewiętnastoletnią córkę, która jest jej siostrą. Gdy przypominał sobie, jak dumna i pewna siebie wydała mu się cztery lata wcześniej, podczas jego ostatniego pobytu w Niemczech, mógł sobie wyobrazić, jak przyjmie go dzisiaj. Miała wtedy niespełna siedemnaście lat, jaka więc okaże się teraz, mając dwadzieścia jeden... Im bliżej był zamku, tym bardziej opadały go wspomnienia tamtego okresu, kiedy żył tu ze swą pierwszą żoną. Niewesołe, dręczące to były wspomnienia. Jak bardzo był upokarzany przez swą żonę i jej matkę! Wyprostował się, jakby chcąc zrzucić z siebie wielki ciężar. Nie myśleć o tym, to wszystko przeszłość. Matka Gondy wszystko mu wynagrodziła, zapłaciła mu swą miłością za czas udręki, za to, co przyszło mu znieść.

Gdy wyjechał z lasu, jego oczom ukazał się zamek Santen, dumna, malownicza budowla na niewielkim wzniesieniu. Wyglądał bardzo okazale z dużą czworokątną wieżą pośrodku i czterema małymi wieżyczkami po bokach, z których każda miała inny kształt. Wzdłuż ściany frontowej zamku biegł szeroki taras, z którego prowadziły równie szerokie schody z piaskowca o bardzo niskich stopniach aż do stopniowo opadającego zbocza. Droga dojazdowa do zamku pięła się do góry. Samochód szybko pokonał wzniesienie i zatrzymał się przed portalem podtrzymywanym przez potężne kolumny. Nad portalem widniał wykuty w piaskowcu herb Santenów, dwa skrzyżowane miecze ponad stojącą pionowo różą. Santenowie umieli powiększać swoje bogactwa, robili to między innymi poprzez małżeństwa z bogatymi mieszczańkami, co jednocześnie oznaczało zastrzyk świeżej krwi. W ten sposób krew zapobiegliwych kupców, zmieszana ze szlachecką krwią Santenów, przyczyniła się do tego, że posiadłość nie została roztrwoniona czy sprzedana za bezcen, lecz dzięki mądrym posunięciom utrzymana w całości. Trzeba było oddać sprawiedliwość teściowej: posiadłością zarządzała znakomicie.

Na podejście pod portalem stał służący w prostej, ale wytwornej liberii, a widząc podjeżdżający samochód szybko zbiegł po schodach.

— Czy zastałem pannę Ruthart? — spytał Klaus wysiadając.

— Kogo mam zameldować? — skłonił się chłodno służący. Klaus Ruthart przyjrzał mu się rozbawiony.

— Już mnie nie poznajesz, Franz? Ja za to pamiętam ciebie doskonale — zauważył ze spokojem.

Dopiero wtedy ten dumny służący swej równie dumnej zmarłej pani raczył go sobie przypomnieć. Doskonale wiedział, że ten cały pan Ruthart, jakkolwiek jest ojcem łaskawej panienki, nie ma za grosz poważania na zamku Santen. Pani von Santen nie kryła się wobec służby z tym, że pogardza swoim zięciem.

— Ach, jeśli się nie mylę, pan Ruthart — zaseplenił dostojnie. Klaus Ruthart spojrzał na niego surowo.



— Nie mylisz się, mój złoty. A teraz ruszaj zameldować mnie panience albo powiedz przynajmniej, gdzie ją znajdę.

Ruthart nigdy nie odzywał się rozkazującym tonem do służby, tym razem jednak wydało mu się to konieczne i rzeczywiście odniosło rezultat. Franz zrobił zapraszający gest.

— Zechce pan wejść, panie Ruthart — przepraszam, łaskawy panie?

— Oczywiście, że chcę wejść, a więc idź i czyn świątę powinność, nie daj mi tylko za długo czekać.

Służący co prędzej pospieszył zameldować gościa. Klaus Ruthart wstąpił na schody i po chwili znalazł się w wielkim zamkowym hallu. Wzdrygnął się, jakby zdjął go chłód, na widok tego zimnego, surowego pomieszczenia. Nigdy nie lubił jego grubych kamiennych dźwigarów i przypominającego klasztorne sklepienia. Wszystko tu było utrzymane w szarym kolorze, żaden weselszy odcień nie łagodził tej monotonii, posadzki z kamieni ciosowych nie przykrywał żaden dywan, tylko w kącie obok olbrzymiego kominka stał wokół okrągłego masywnego stołu komplet obciągniętych skórą mebli.

Klaus Ruthart, rezygnując z pomocy służącego, zdjął powoli kapelusz i płaszcz. Franz wrócił po chwili jeszcze bardziej wyniosły i urzędowy, wyciągnął widać wnioski z zachowania młodej właścicielki zamku.

— Łaskawa pani prosi!

Usta Rutharta drgnęły. „Łaskawa pani prosi”?

Oczekiwała go w salonie jak kogoś obcego. Nie przyszło jej do głowy, aby wyjść naprzeciw swemu ojcu.

Rzucił służącemu piorunujące spojrzenie, na co ten stał się nieco grzeczniejszy. Poprowadził go przez pokoje, które Klaus Ruthart doskonale znał, po czym otworzył przed nim drzwi salonu. Był to średniej wielkości pokój zastawiony obciągniętymi purpurowym aksamitem dębowymi meblami z zasłonami z takiegoż purpurowego aksamitu przy oknach i drzwiach. Na wysokim przepyszonym krześle z okresu flamandzkiego baroku siedziała szczupła młoda kobieta w

czerni. Odłożyła czytana właśnie książkę i podniosła się, aby uczynić parę kroków w jego kierunku. Spostrzegł, że jest jeszcze szczuplejsza i wyższa niż kiedyś. Podeszła do niego odmierzoną krokiem i podała mu białą wypielegnowaną rękę, którą wydobyla z koronek sukni.

—Dzień dobry, ojczy, przybywasz nieoczekiwanie. Witam serdecznie! Ujął jej dłoń i przez moment zatrzymał w ciepłym, mocnym uścisku.

—Naprawdę serdecznie mnie witasz, Helgo? Wyprostowała się dumnie.

—Jakże możesz pytać!

— No cóż, moje dziecko, mam prawo zadać takie pytanie, ale zostawmy to. Kiedy się dowiedziałem, że zmarła twoja babka i że masz trudności z zarządzaniem dobrami, z miejsca sprzedałem Dahomy i wróciłem do Niemiec, aby ci pomóc. Stoję więc teraz przed tobą i pytam: Naprawdę chcesz, abym ci pomógł?

Cofnęła rękę i gestem wielkiej damy wskazała na krzesło naprzeciwko swego własnego.

— Proszę, usiądź, ojczy. Naprawdę się cieszę, że widzę cię po tak długim czasie. Pytasz, czy chcę, abyś mi pomógł? Tak, ojczy, przyznaję otwarcie, że po śmierci babci znalazłam się w tarapatkach. Ona trzymała wszystko silną ręką, wskazując każdemu służącemu czy pracownikowi jego miejsce. Nigdy wcześniej nie chorowała, wszystkie sprawy biegły jakby same z siebie, ale od chwili, gdy zmarła, nikt tak naprawdę nie wie, co ma robić. Nawet zarządca nie umie nad tym zapanować, z przyzwyczajenia pozwala, aby sprawy toczyły się starym trybem, ale już najwyższy czas, aby ktoś wziął to w swoje ręce. Bardzo się cieszę, że jesteś gotów to uczynić. Zajrzał jej ciepło w oczy.

—Nie martw się, wszystko wróci niebawem do normy. Cieszę się, że mogę ci służyć moim doświadczeniem. Niezwłocznie zajmę się wszystkim. Twoja babka, jak słyszałem, zmarła nagle, tak?

—Owszem, tknięta apopleksją, dlatego też nie zdążyła uregulować niektórych spraw. Testament, który sporządziła już przed kilkoma laty, ustanawia mnie jej wyłączną spadkobierczynią, ale ja, jak wspomniałam, nie znam się na tych sprawach.

Klaus Ruthart nie mógł nie pomyśleć, że gdyby jego teściowa miała przed śmiercią jeszcze na to czas, z pewnością by odmówiła mu prawa zarządzania dobrami Santen. Nie wspomniał jednak o tym słowem, zresztą te myśli nie mogły go odwieść od raz powziętej decyzji, że w miarę swych możliwości pomoże córce. Przybył tutaj, aby spełnić swój obowiązek.

— Możesz być spokojna, zajmę się wszystkim i mam nadzieję, że będziesz zadowolona z moich poczynań. Jutro rano przeniosę się na zamek.

Podniosła na niego zdziwione oczy.

—Dlaczego dopiero jutro? Nie zostaniesz tu dzisiaj? — spytała uprzejmie.

—Zatrzymałem się przejściowo u cioci Käthe.

—Z pewnością bardzo się ucieszyła.

—O tak, ona się ucieszyła.

Helga udała, że nie słyszy akcentu położonego na słowie „ona”.

—Nie było ci ciężko sprzedać Dahomy i pozbyć się takiego wspaniałego pola do działania?

—Nie zważałem na to. Do tej pory, Helgo, niewiele mogłem dla ciebie zrobić, a więc poczułem się w obowiązku oddać się do twojej dyspozycji. Dzięki przypadkowi sprzedałem Dahomy z zyskiem, więc kiedy nadejdzie dzień, gdy już nie będziesz mnie potrzebowała, bo wyjdiesz za mąż i twoje sprawy poprowadzi mąż, wówczas kupię sobie w Niemczech coś odpowiedniego. Mówię to dlatego, abyś się nie obawiała, że pozostanę na zamku Santen do końca moich dni. Przyjechałem wyłącznie po to, aby ci pomóc, i zniknę, gdy już mnie nie będziesz więcej potrzebowała.

Patrzyła na niego niepewnie. To, co powiedział przed chwilą ojciec, zupełnie nie pasowało do obrazu, jaki nakreśliła przed nią babka. Jego postępowanie wydało jej się wielkoduszne, wyzbyte wszelkiego wyrachowania, babka zaś przedstawiała go jako człowieka, który dla pieniędzy zrobiłby wszystko...

— To przecież zrozumiałe, że Santen stoi dla ciebie otworem, jak długo będziesz chciał tu pozostać.

W tych słowach nie było odrobiny ciepła, wyłącznie chłodna uprzejmość. Natychmiast to wyczuł, był jednak na tyle sprawiedliwy, by sobie powiedzieć, że to młode stworzenie, choć krew z jego krwi i kość z jego kości, wychowano w określonych warunkach i nie może odczuwać inaczej.

— W ten sposób zakończyliśmy jedną część naszej rozmowy, a teraz pora na drugą. Muszę uczynić ci pewne wyznanie, z którym ze względu na twą babkę do tej pory się nie spieszyłem. Ja... ja nie przyjechałem sam.

Drgnęła i wpatrzyła się w niego wielkimi badawczymi oczami. Były to bladoniebieskie, zimne oczy, które wydawały się jeszcze jaśniejsze w zestawieniu z ciemnymi, ściętymi zgodnie z modą na pazia włosami. Rysy miała nieregularne i bez specjalnego wdzięku, nieco za duże, układające się w linijkę wąskie usta i bezbarwną cerę, lecz za to piękne zęby, widoczne, kiedy mówiła. Nie była piękną, o nie, za to bardzo wytworna i w elegancki, a nawet wyszukany sposób ubrana. Gdyby braki urody potrafiła nadrobić wewnętrznym ciepłem i miłym sposobem bycia, z pewnością sprawiałaby sympatyczne wrażenie.

— Prawdopodobnie przywiozłeś ze sobą służbę. Mam nadzieję, że żadnych Malajów.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie, moi służący pozostali wszyscy w swojej ojczyźnie, nie miałem sumienia, przesiedlać ich na obcy grunt, choć jednego czy drugiego chętnie bym zatrzymał. Jeśli mówię, że nie przyjechałem sam, znaczy to, że ta osoba jest w moim towarzystwie, należy do mnie.

Rzuciła mu zimne, zaniepokojone spojrzenie.

—Jak mam to rozumieć, ojczy?

—Krótko mówiąc, Helgo, muszę ci dziś zakomunikować, że ożeniłem się po raz drugi.

Podniosła się gwałtownie i stanęła wyprostowana tuż przed nim.

— Jak mogłeś to uczynić? I to mimo że dałeś mej umierającej matce słowo, że nigdy więcej się nie ożenisz?

Nie wstał, podniósł tylko spokojnie ku niej wzrok.

—Nie unos się niepotrzebnie i usiądź. Twojej umierającej matce nigdy nie dawałem słowa; miało to miejsce, gdy była absolutnie zdrowa i rześka. Ale oczekiwaliśmy wtedy twoich narodzin, a w tym okresie wszystkie kobiety są nieco nerwowe i rozdrażnione. Twoja matka nie przestawała się domagać tego przyrzeczenia, lecz nie miałem zamiaru go jej dawać, jako że nie myślałem, iż mogłaby umrzeć. Na to weszła twoja babka i widząc ją nadąsaną i szlochającą, dowiedziawszy się powodu łez oświadczyła, że przynajmniej to mógłbym dla niej zrobić, bo inaczej rozchoruje się ze zdenerwowania. No cóż, nie pozostało mi nic innego, jak postąpić zgodnie z ich życzeniem, ale danego pod przymusem słowa nigdy nie uważałem za wiążące. Nie wierzyłem w jej śmierć, a przyrzeczenie dałem tylko po to, aby ją uspokoić.

—Człowiek honoru dotrzymuje słowa bez względu na okoliczności — rzuciła ostro Helga.

—Mimo że ożeniłem się powtórnie, nadal uważam się za człowieka honoru i nie radzę nikomu w to wątpić. Takie wymuszone przyrzeczenie nie jest i nie może być wiążące. Nie dawałem go dobrowolnie, wymuszono je na mnie. Pomyśl, kiedy twoja matka umarła, nie miałem nawet trzydziestu lat. Byłoby to wbrew naturze, gdybym miał pozostać w beżennym stanie.

—A dlaczego zataiłeś to przed babcią i mną?

—Nie tylko przed wami. Przemilczałem to także przed moją własną rodziną, nie chcąc moich bliskich stawiać w położeniu, które by zmuszało do skrywania czegoś przed wami. A dlaczego nie powiedziałem tego twojej babce i tobie? Bo chciałem ją oszczędzić. Zdenerwowałyby się ponad miarę.

—I słusznie, ojczy! Ożeniłeś się z moją matką z czystego wyrachowania, a więc powinienesz jej chociaż w godzinie śmierci dochować wierności.

Zerwał się i stanął tuż przed nią. Jego oczy miały błyskawice.

— Tak, tak, to jest wersja, którą ciebie karmiono, aby twój ojciec wydawał ci się istotą nikczemną i godną pogardy. Moje dziecko, pragnąłbym oszczędzić zmarłą, lecz tu chodzi o twój szacunek dla mnie. Nie mogę milczeć, prawda wreszcie musi wyjść na jaw. Nic nie było mi bardziej obce niż wyrachowanie, kiedy pytałem twą matkę, czy chce zostać moją żoną. Opowiedziano ci, w jakich okolicznościach ją poznałem i jak jej uratowałem życie?

Spojrzała na niego nieco zbity z tropu i zmieszana. Nie.

Roześmiał się chrapliwie.

— Mogłem się tego domyślić. Babka przezornie zataiła przed tobą, co przemawiało na moją korzyść. Wierchowiec twojej matki poniósł, a ja zatrzymałem go na samym skraju kamieniołomu. W taki sposób ją poznałem. Nieszczęśliwym trafem twoja matka zakochała się we mnie. Kiedy zorientowałem się, że ja jej pokochać nie mogę, a do niej to nie dociera, postanowiłem udać się w długą podróż, aby miała czas mnie zapomnieć. Niestety do tego nie doszło. Dowiedziała się o tym od ciotki Käthe i pospieszyła do domu, aby powiedzieć twojej babce, że umrze, jeśli nie zostanie moją żoną. Kiedy poszedłem poprosić ojca o urlop, ku swej rozpaczy dowiedziałem się, że grozi nam ruina i że właśnie poprosił panią von Santen o pożyczkę, aby zapobiec bankructwu. W tym momencie zjawiała się twoja babka i ta dumna kobieta, powodowana matczyną miłością, poprosiła mnie, abym ożenił się z jej córką, bo w przeciwnym razie ona umrze. Potem zaoferowała ojcu pożyczkę, o którą prosił. Nie z czystego wyrachowania, lecz aby uratować rodzinę od ruiny, a jej zachować ubóstwiane dziecko, ostatecznie zgodziłem się starać o rękę twojej matki. Nigdy się nie dowiedziała, że jej nie kochałem. Ale twoja babka doskonale o tym wiedziała, a że w dodatku musiała się przede mną upokorzyć, znienawidziła mnie do reszty. Wiedziałem, ile ją, dumną dziedziczkę, kosztował ten krok i że zrobiła go tylko z miłości do córki, więc trudno się dziwić jej uczuciom. Nie potrafisz zrozumieć, ile mi przyszło wycierpieć w tym małżeństwie — między samolubną, zaborczą miłością kobiety, której nie kochałem, i wyniszczającą nienawiścią jej matki. Chciałbym oszczędzić ci tych szczegółów, powiem tylko, że nienawiść twojej babki zatruwała mi każdą chwilę, także wtedy, a może nawet i bardziej, gdy nasze małżeństwo przestało istnieć wraz ze śmiercią twojej matki. Kiedy nieoczekiwanie wyzwoliłem się z

wieżów, którymi spętała mnie, udzielając memu ojcu pożyczki, była bardzo rozczarowana i nie podobało jej się, że mogę przed jej nienawiścią uciec na Sumatę. Z nienawiści zatrąła duszę mojej córki i oddaliła ją ode mnie. Teraz może już rozumiesz, że nie czułem się związany takim wymuszonym przyrzeczeniem. Już samo małżeństwo zostało mi w jakiś sposób narzucone, a wymuszona przysięga miała sprawić, że spędzę życie samotny i nieszczęśliwy. A ja niczym sobie na to nie zasłużyłem. Znasz teraz, moje dziecko, czystą prawdę. Tak w rzeczywistości wyglądało moje podłe wyrachowanie. Przykro mi, że musiałem ci to wszystko wyjawić, a choć niczego do mnie nie czujesz, muszę się przynajmniej starać o odzyskanie twego szacunku.

Helga siedziała przez chwilę w milczeniu. Wyczuwała mimo woli, że ojciec powiedział prawdę, i pojawiło się w niej być może po raz pierwszy coś, co przemawiało za nim. Odepchnęła jednak zaraz od siebie to uczucie, ponieważ dręczył ją ponury strach, i ten strach podyktował takie oto słowa:

— Nie możesz jednak żądać ode mnie, abym wpuściła twoją drugą żonę do mego domu! Nie mogę, nigdy się na to nie zgodzę!

— Nie, Helgo! Nawet bym tego od ciebie nie wymagał. To nie żona mi towarzyszy — ona nie żyje od dwóch lat. Przywiozłem ci młodszą o dwa lata siostrę. Ona też dopiero od kilku tygodni wie, że posiada siostrę, ale od pierwszego momentu, kiedy się o tobie dowiedziała, tęskni za tobą, chcąc cię pokochać, a ja mam nadzieję, że przyjmiesz ją bez gniewu.

Helga drgnęła, zaskoczona. Siostra? Ona miałaby mieć siostrę? Siostrę, która za nią tęskni? Czy to możliwe? Przetarła ręką czoło.

— No cóż, to co innego. Co prawda twoja druga córka jest dzieckiem innej kobiety, ale nie jest temu winna. Ona... tak... chętnie ją przyjmę. Skoro przedstawiłeś mi, jak sprawy stały, muszę inaczej spojrzeć na złamane przez ciebie przyrzeczenie. Ja... ja ci wierzę.

Chwycił jej dłoń i uściśnął mocno.

— Dziękuję ci, Helgo. Bądź przekonana, że mimo złamanego słowa pozostałem człowiekiem honoru. Nikt rozumny nie uznałby takiego przyrzeczenia za

wiążące. Jeśli mam zamieszkać w zamku Santen, musi tu przybyć ze mną moja córka Gonda. Musi być tam, gdzie ja będę. Ciotka Käthe chętnie by ją zatrzymała u siebie, ale jak już powiedziałem, chcemy być razem. Jeżeli więc życzysz sobie, abym pokierował twoimi sprawami, musisz nas przyjąć obydwój. To oczywiście zrozumiałe, że Gonda i ja będziemy żyć na własny koszt. Nie zapłacę ci za mieszkanie i nie pokryję kosztów utrzymania — za to będę dla ciebie pracował — ale wszystkie wydatki na siebie i Gondę będę pokrywał z własnych zasobów.

Helga zaczerwieniła się.

—Ależ ojczy, to jest mało istotne.

—Dla mnie jest istotne. Chcę zachować niezależność.

—Oczywiście nie będę wymagała rozliczeń ze spraw, które będziesz prowadził.

— To zrozumiałe, że będę ci przedkładał takie rozliczenia, i to do jednego feniga.

Jej twarz drgnęła. Patrzyła teraz na niego wielkimi poważnymi oczami.

— Ja... ja być może sobie na to zasłużyłam, że uważasz to za konieczne. Nie mówmy więcej o tym. Nie muszę cię już chyba zapewniać, że moja siostra będzie tutaj mile widziana. Pojadę z tobą do ciotki Käthe, aby osobiście zaprosić Gondę na zamek Santen. Co powiedzieliby na to ludzie, gdybyście nie mieszkali razem w moim domu?

Uśmiechnął się dobrodusznie.

— Nie zaprzęłam sobie tym głowy, co powiedzą ludzie, ale bardzo się cieszę, że sama chcesz zaprosić Gondę do siebie. To bardzo ją wzruszy. Zapewniam cię, ona pragnie cię pokochać.

Helga wsłuchiwała się w brzmienie tego słowa. Ona pragnie cię pokochać? Co to takiego się w niej obudziło, gdy dowiedziała się, że ma siostrę?



Zimna i nieprzystępna, dumna i zarozumiała, Helga Ruthart nie była w gruncie rzeczy zła. Od niejakiego czasu wiedziała, że nie można być szczęśliwym, mając zimne, pozbawione uczuć serce.

To uczucie obudziło się w niej, gdy poznała doktora Hansa Leydena. Naraz zaczęła tęsknić za szczęściem. Nie zastanawiała się nad tym, dlaczego ostatnio tak chętnie odwiedza ciotkę Käthe, co wcześniej nie zdarzało się nigdy. Käthe myliła się sądząc, że Helga zaczęła przychodzić do niej, gdyż nie pozostaje już więcej pod wpływem babki. Nie, ona tam zachodziła wyłącznie dlatego, że u ciotki Käthe mieszkał doktor Leyden. Wiedziała już, co naprawdę czuje do Hansa Leydena, i miała pewność, że stałaby się dobra i miękka, gdyby odwzajemnił jej uczucia. Ach, gdyby to uczynił, mogłaby się cieszyć z istnienia siostry, gdyż na pewno by się coś zmieniło w jej pozbawionym czułości, stwardniałym pod wpływem babki sercu. Gdyby przeczuwał, jakie uczucia żywi dla niego spadkobierczyni fortuny Santenów, gdyby wiedział, że wciąż o nim myśli, z pewnością zaczęłby się starać o jej rękę. Nie byłaby taka skłonna jechać z ojcem do ciotki Käthe, gdyby nie miała nadziei, że spotka tam doktora Leydena.

Kochała go w sposób, w jaki mogła kogokolwiek pokochać Helga Ruthart. Może zresztą nie była całkiem pozbawiona uczuć, jaką się zawsze wydawała, może po prostu nie знаła nikogo, kto by poruszył jej serce. Nie mogła tak naprawdę kochać swej babki, choć ta jej chciała nieba przychylić.

Babka z powodzeniem posiadała w jej sercu uczucie pogardy i wyższości w stosunku do innych ludzi, ponieważ według niej nikt nie był godzien miłości jej wnuczki. Sama chciała zawładnąć tą miłością, dlatego uczyła wnuczkę niechęci do każdego, kto próbował się do niej zbliżyć. W ten sposób zubożyła serce Helgi.

Ale miłość znalazła drogę do jej serca, miłość do Hansa Leydena. Ona to wy czarowała w jej sercu tyle skrytego ciepła, że dostało się z niego trochę nieznaney siostrze, owo serce gotowe było nawet otworzyć się nieco dla ojca.

Jej zwykle blade policzki pokryły się lekkim rumieńcem.

— Pojadę więc z tobą do ciotki Käthe, ojczy.

Klaus Ruthart był szczęśliwy, że osiągnął chociaż tyle, i w przyływie wzruszenia wziął Helgę w ramiona i pocałował -w czoło. Od razu jednak wyczuł, że nawet w jego ramionach pozostała sztywna i bezwolna. Nie była przyzwyczajona do pieśczoł, a na jej twarzy pojawił się wyraz, który go utwierdził w przekonaniu, że jeszcze daleko do tego, aby naprawdę uznała go za ojca. Wypuścił ją natychmiast z objęć, mówiąc sobie, że musi mieć cierpliwość i dopiero zasłużyć na żywsze uczucie z jej strony.

Kiedy Helga się ubierała, wydając jednocześnie niezbędne polecenia służbie, Klaus Ruthart odbył kilka rozmów telefonicznych w byłym gabinecie swojej zmarłej teściowej.

Najpierw zadzwonił do zarządcy, oznajmiając mu, że następnego ranka chce z nim rozmawiać. Ten odetchnął z ulgą. Był to pocziwina, którym' trzeba było kierować.

Potem wykręcił numer siostry. Zgłosiła się sama.

—Käthe, to ty?

—Tak, Klaus.

—Za chwilę będę u ciebie z Helgą.

—Naprawdę? Jak poszło, Klaus? Uśmiechnął się lekko.

—Początkowo dość burzliwie, ale teraz Helga już chce poznać swoją siostrę i osobiście poprosić, aby zamieszkała w zamku.

—Mój Boże, to więcej, niż się spodziewałam. Mówiąc otwarcie bałam się, że to się nie uda.

—Cóż, aż tak dobrze to też nie poszło. Musiałem najpierw wysłuchać, że człowiek powinien dotrzymać słowa bez względu na okoliczności i że poślubiłem jej matkę z czystego wyrachowania. Wyjaśniłem jej, że sprawy wyglądały nieco inaczej, i na razie przynajmniej pozornie zawarliśmy pokój. Nie można żądać wszystkiego od razu.

—Mój ty biedaku! Masz jednak rację. Przy charakterze Helgi to i tak bardzo wiele, że chce tu przyjechać i zaprosić Gondę do siebie. Resztę, jak myślę, powinniśmy pozostawić Gondzie, jej Helga tak łatwo sienie oprze.

—Miejmy nadzieję, Käthe. Proszę, powiedz Gondzie tylko tyle, że siostra chce ją poznać i zaprosić. Przemilczymy to, co mogłoby lec cieniem na jej dobrym sercu, zgoda, Käthe?

—Ależ oczywiście, Klaus, przecież nie chcę sprawić jej przykrości. Do zobaczenia. Jestem taka szczęśliwa, że to jakoś poszło.

## 9

---

Samochód Käthe stał zaparkowany przed portalem zamku. Franz przyglądał mu się z ironicznym uśmiechem. Ten pan Ruthart pewnie sobie wyobraża, że teraz, po śmierci starszej pani, będzie się tutaj rządził. Że to było nie do pomyślenia, wywnioskował z chłodnego, oficjalnego przyjęcia, jakie zgotowała ojcu panienka. Tym razem jednak okrutnie się rozczarował, kiedy usłyszał, że pan Ruthart zostaje na zawsze i że on, Franz ma mu przygotować kilka najlepszych pokoi. Mało tego, ni stąd, ni zowąd młoda pani oświadczyła mu także, że musi jeszcze przygotować kilka innych pokoi dla „siostry”. Zarozumiały Franz zmienił się błyskawicznie w zaskoczzonego, a zaraz potem niesłychanie usłużnego lokaja, gdy Klaus Ruthart wydał mu nie omieszkając kilka poleceń w obecności córki.

Helga wsiadła z ojcem do samochodu ciotki Käthe, a jej ojciec krzyknął jeszcze do Franza, żeby w określonym czasie podjechał autem panienki pod dom pani Laßwitz. Franz pozostał z głupią miną, aby w chwilę potem na dole, w pokojach służby przybrać pozę wyższości, choć tak naprawdę niczego nie zdołał się dowiedzieć.

Ojciec i córka nie rozmawiali wiele w czasie jazdy. Helga znowu przybrała swoją wyniosłą pozę, jak gdyby się wstydziła, że dała powodować sobą dobremu odruchowi. Ojciec zostawił jej czas, nie chcąc nakłaniać, aby zmieniała do niego stosunek. Liczył, że to się kiedyś zmieni na lepsze. Dowiódł jej swej rycerskiej uprzejmości i musiała przyznać w duchu, że ojciec jest osobowością, której nie sposób przeoczyć.

Kiedy zajechali przed dom ciotki, elegancko pomógł jej wysiąść z wozu, a ona naraz odczuła, że to jednak wspaniale mieć ojca, pod którego opieką żyje się pewniej, spokojniej i bezpieczniej.

Poprowadził ją do domu.

Gonda z ciotką Käthe stały przy oknie, czekając, aż goście wejdą. Gonda co prawda chciała zaraz wybiec na dwór naprzeciw siostry, ale ciotka przytrzymała ją ze śmiechem.

— Stój, mała dzikusko, przecież nie chcesz chyba uchybić obowiązującym formom na oczach twojej dumnej, zawsze umiejącej się zachować siostry? Mogłaby się obrazić, gdybyś chciała ją przywitać w obecności służby.

Gonda zawtórowała serdecznym śmiechem.

— Och, ciociu Käthe, pewnie jeszcze sporo nabroję i nie ujdzie mi to płazem w oczach mej surowej siostry. Kiedy przemawia we mnie serce, nigdy nie zastanawiam się długo, czy coś, co robię, jest zgodne z obowiązującymi zwyczajami. Ale dziękuję ci, że mnie powstrzymałaś, nie chciałabym tak od razu zrobić złego wrażenie na Heldze.

Otworzyły się drzwi i Helga weszła z ojcem do salonu. Gonda patrzyła szeroko otwartymi oczami na czarno odzianą, szczupłą postać, czując, jak wzbiera w niej uczucie niepokoju. Mimo woli schroniła się w ramionach ojca.

— Och, papo! — zawołała trwożliwie.

Ucałował ją serdecznie, po czym ujął za ramiona i popchnął w stronę Helgi.

— To twoja siostra Helga, moje dziecko.

Odważnie, ale z mokrymi od łez oczami patrzyła Gonda na siostrę, drżąc z podniecenia. Helga była nieco wyższa od niej.

— Droga, droga Helgo, czy wolno mi cię objąć? — spytała nieśmiało. I wtedy zdarzyło się coś, czego nigdy dotąd nie widziano u Helgi,

zapomniała bowiem o swojej dumie, wyniosłości i chłodzie serca. Błagające, mokre od łez oczy i głos, w którym drżała prośba, wzruszyły jej serce. Objęła Gondę obiema rękami, ucałowała ją i z bladym, zakłopotanym uśmiechem zająrzała w oczy.

— Tak, Gondo, uściśnij mnie. Ja też spróbuję cię pokochać — rzekła, jakby nieco przestraszona swym postępowaniem.

Gonda odwzajemniła pocałunek, po czym pół śmiejąc się, a pół płacząc spojrzała na ojca.

— Och, papo, drogi papo, naprawdę mam siostrę! Tak bardzo chcę ją pokochać!

I znowu Helga musiała pozwolić, aby Gonda objęła ją w sobie właściwy żywołowy sposób i ucałowała, tak że siostrze przekrzywił się kapelusz. Helga, nieco zaniepokojona, dotknęła swego nakrycia głowy, ale ostatecznie je zdjęła, nie będąc pewna, czy Gonda ponownie nie będzie chciała rzucić się jej spontanicznie na szyję.

Czuła się tak dziwnie, jak jeszcze nigdy dotąd, aby więc odzyskać utraconą równowagę, przywitała się z ciotką Käthe w swój dawny, uprzejmy, lecz dość oficjalny sposób.

Kiedy usiedli wszyscy przy okrągłym stole, na moment zapadła pełna zakłopotania cisza, którą Käthe przerwała pytaniem:

— Zostaniesz na kolacji, prawda, Helgo?

Ku jej radosnemu zaskoczeniu ta bez wahania wyraziła zgodę. Ciotka Käthe nie miała pojęcia, że Helga została tylko dlatego, iż spodziewała się przy stole spotkać Leydena. Wiedząc, że stołuje on się w domu ciotki, spytała:

—Czy doktor Leyden wrócił już z Hamburga?

—Tak, wczoraj.

Gonda, zadowolona, że znalazła temat do rozmowy, zaczęła co prędzej opowiadać:

— Wyobraź sobie, Helgo, doktor Leyden zatrzymał się w tym samym hotelu w Hamburgu co my i pewnego wieczoru siedział w restauracji przy sąsiednim stoliku, a my nie mieliśmy pojęcia, że mieszka u cioci Käthe. Kiedy wyjeżdżaliśmy, wsiadł przypadkowo do naszego przedziału. Papa nawiązał z nim rozmowę, gdy obaj palili papierosy na korytarzu, i wtedy okazało się, że buduje tutaj linię kolejową i że was zna. Od razu zasięgnęliśmy informacji, jak wam się wiedzie.

Helga przysłuchiwała się temu niemile zaskoczona. Raptem uświadomiła sobie, że Gonda jest bardzo ładną dziewczyną. Choć była taka próżna i zarozumiała, z miejsca owładnęło ją uczucie zazdrości. Czy to rzeczywiście przypadek, że doktor Leyden podróżował w tym samym przedziale, a może to jej nowa siostra tak go oczarowała?

Owo uczucie zazdrości zgasiło nagle wszystko to, co nieśmiało zaczęło kiełkować w jej sercu. Tkliwe ciepło, jakie obudziło się w niej pod wpływem uścisków i pocałunków Gondy, naraz uleciało, jak gdyby go nigdy nie doznała. Jeśli doktor Leyden zainteresował się Gondą, to ona, Helga, musi ją znienawidzić! Leyden należał do niej, kochała go i chciała go mieć dla siebie. Był jedynym mężczyzną, który umiał poruszyć struny jej serca. Nie wolno go jej odbierać! Poznała go przecież wcześniej niż Gonda, zachowywał się wobec niej z rycerską uprzejmością i nie wolno mu się stać dla niej obojętnym, i to tylko dlatego, że nagle pojawiła się jej nie znana do tej pory siostra.

Helga przyzwyczała się, że każde jej życzenie było natychmiast spełniane i że otrzymywała wszystko, czego zapragnęła. Teraz rościła sobie prawo do doktora Leydena, chociaż on traktował ją jak każdą inną młodą damę. Już sama myśl, że Gonda mogła zwrócić na siebie jego uwagę, wydała jej się jakby naruszeniem jej własnych praw. Dla Helgi Ruthart winny być inne prawa niż dla zwykłych śmiertelników. Zarozumiała i rozpieszczona sądziła, że każdy mężczyzna, któremu ona zrobi łaskę okazując przychylność, powinien czuć się bezgranicznie

szczęśliwy. To zgubne przekonanie — spadek po matce — babka jeszcze w niej podsyciła.

Chłodnym, krytycznym spojrzeniem wpatrywała się Helga w ujmującą twarz Gondy.

— Pytaliście doktora Leydena także o mnie?

Gonda skinęła z zapalem, nie przeczuwając, co się dzieje w sercu siostry.

— Naturalnie, jakżeby inaczej. Zapytałam go między innymi, co myśli o tobie.

Helga, spięta wewnątrz, zapytała pozornie obojętnym tonem:

— I co powiedział?

— Oświadczył, że jesteś bardzo wytworna, elegancka i dumna, i że masz wielu adoratorów.

Lekki rumieniec wystąpił na policzki Helgi, lecz badała dalej z udawanym spokojem:

— Dobrze się wam z nim rozmawiało? Oczy Gondy promieniały.

— Cudownie! On jest naprawdę czarujący. Bardzo go polubiłam. Twarz Helgi zeszywniała. Była teraz wręcz lodowata.

Käthe, w obawie, że siostra udzieli Gondzie surowego napomnienia, objęła ją ramieniem i powiedziała żartobliwym tonem:

— Ty mała wyspiarko, dobrze, że nie ma wśród nas żadnego obcego mężczyzny. Młodej damie nie wolno otwarcie mówić takich rzeczy.

Gonda popatrzyła ze zdziwieniem na ciotkę.

— Czyżby tu, w Niemczech, uważało się to za coś niestosownego? Käthe nie zdażyła odpowiedzieć, bo wmieszała się Helga.

— To uchybia dobrym obyczajom — rzuciła ostrym tonem.

Na dźwięk tych twardych słów Gonda wzdygnęła się przestraszona.

— O, naprawdę nie wiedziałam! Będę musiała nauczyć się jeszcze wielu rzeczy. Nigdy nie myślałam, że uwłacza to dobrym obyczajom, jeśli się polubi jakiegoś człowieka czy zdobędzie jego sympatię — szepnęła strwożona.

Käthe pogłaskała ją uspokajająco.

— Nic się nie stało, Gondo, nikt tego nie słyszał oprócz nas. Nie zaprzataj sobie tym głowy!

— Musicie mi zawsze powiedzieć, kiedy postąpię niewłaściwie. Będę się starała ze wszystkich sił, aby to się więcej nie powtórzyło. Pomożesz mi, prawda, Helgo? Musisz mieć wzgląd na to, że wyrosłam na odludziu. Tam panowały inne prawa i zwyczaje.

Mówiąc te słowa wyglądała tak wzruszająco, że Käthe nie mogła jej nie pocałować, a Helga uczuła w sercu nowy przypływ zazdrości.

Klaus Ruthart, który do tej pory milczał, rzekł teraz spokojnie, lecz stanowczo:

— Helga wyraziła się nieco za ostro. Nie zadrećzaj się niepotrzebnie, Gondo. Nie popełniłaś nic takiego, czego rzeczywiście trzeba by się było wstydzić, jesteś po prostu tylko zbyt żywa. Mnie również doktor Leyden wydał się sympatycznym człowiekiem, i to od samego początku, i muszę powiedzieć za Gonda, że bardzo go polubiłem. A może tobie, Helgo, wydaje się niesympatyczny, że tak ostro zareagowałaś?

Helga spłonęła purpurowym rumieńcem.

—Nie, z pewnością nie! Powiedziałam tylko Gondzie to, co wydaje mi się słuszne. Ponieważ musi się dopiero przyzwyczaić do obowiązującego tutaj sposobu bycia, nieodzowne jest zwracanie uwagi na takie gafy.

—Jestem ci wdzięczna, Helgo, i proszę, abyś zawsze to czyniła — powiedziała Gonda i uściśnęła serdecznie rękę siostry.

—Spytałem tylko, czy nie jest dla ciebie niesympatyczny, Helgo, gdyż będzie tutaj dzisiaj wieczorem. Nie chciałbym cię zmuszać do przebywania w niemiłym ci towarzystwie. Wiem, że na zamku Santen skrupulatnie tego przestrzegano.



—Możesz być spokojny, ojciec. Doktor Leyden bywał na zamku jeszcze wtedy, gdy żyła babcia. Jego wuj ma posiadłość w pobliżu i doktor Leyden odwiedzał nas, zanim powierzono mu budowę linii kolejowej. Gdyby budził zastrzeżenia pod względem towarzyskim, babcia z pewnością by go nie przyjmowała. Ciocia Käthe też na pewno nie zaoferowałaby mu mieszkania u siebie.

Usta Klause Rutharta drgnęły.

—Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Skoro znalazł łaskę nawet w oczach twojej babki, to i tutaj wszystkie drzwi będą stały dla niego otworem.

—On może uważać to za wielkie wyróżnienie, że babcia przyjmowała go u siebie — oświadczyła wyniośle Helga.

Gonda miała uczucie, że kosztuje pod wpływem słów siostry. Tak bardzo chciała ją pokochać, lecz teraz już nie była taka pewna, że jej to przyjdzie z łatwością...

Rozmowa utykała przez chwilę, choć wszyscy starali się ją podtrzymać. Helga przypatrywała się siostrze zazdrosnymi oczami, mimo iż jeszcze nie wiedziała na pewno, czy rzeczywiście istnieje po temu jakiś powód. Za wszelką cenę starała się znaleźć w niej coś, co można by jej było zarzucić, powiedziała sobie przy tym, że byłoby to zbyt niebezpieczne, gdyby Gonda została w domu, gdzie łatwo mogłaby kontaktować się z Hansem Leydenem. Prostując się, oświadczyła ni stąd, ni zowąd w środku rozmowy:

— Naturalnie zaraz po kolacji jedziesz z ojcem i ze mną na zamek, Gondo.

Käthe miała zmartwione oczy.

— Tak szybko chcesz mi zabrać Gondę? To, że ojciec jedzie z tobą, jest zrozumiałe samo przez się, przecież jest konieczne, aby jak najszybciej wziął wszystkie sprawy w swoje ręce. Ale Gondę mogłabyś mi przecież zostawić na parę dni.

Helga zmarszczyła czoło. Chciała koniecznie mieć Gondę na oczach.

— Ciociu Käthe, wydałam już polecenie, aby przygotowano dla niej pokój. Przecież będziesz mogła widywać Gondę, kiedy tylko zechcesz.

Zawsze będziesz mile widzianym gościem. Rozumiesz chyba, że chciałabym mieć moją siostrę możliwie często obok siebie.

— Ależ oczywiście, Helgo, i bardzo się cieszę, że wyraziłaś takie życzenie, gdy ja chciałam postąpić egoistycznie.

— Przecież możesz codziennie przyjeżdżać do nas, ciociu Käthe.

— I z pewnością będę to robić, jako że teraz będę tam miała dwie bratanice. Muszę jednak pamiętać też o moim młodym gościu, który tak wiernie dotrzymywał mi towarzystwa przy posiłkach i w moje samotne wieczory. Nie mogę być niewdzięczna i zostawić go własnemu losowi.

Helga zastanowiła się. To przecież była okazja, aby Hansa Leydena mieć częściej w pobliżu. Co prawda będzie wtedy także w towarzystwie Gondy, lecz zawsze to było lepiej, niż gdyby miał przebywać tylko w towarzystwie Gondy. Powiedziała więc prędko:

— To przecież bardzo proste, ciociu Käthe, będziesz zabierała doktora Leydena do zamku. Wieczory możemy spędzać razem. Teraz przecież będzie mieszkał ze mną na zamku ojciec, poza tym będziesz ty, będę zatem mogła przyjmować młodych mężczyzn, co było niemożliwe po śmierci babci. Przez te wszystkie tygodnie czułam się tak samotna i jestem bardzo zadowolona, że teraz zamieszka ze mną ojciec.

— Ciesz się, że i w tym względzie mogę ci być pomocny, Helgo — zauważył ze śmiechem Ruthart.

Ciotka przytaknęła żywo.

— Wspaniale, Helgo, to nam wszystkim pozwoli wybrnąć z sytuacji. A więc bądź na to przygotowana, że będę was bardzo często odwiedzać. Doktor Leyden też się z pewnością ucieszy, że nie będzie musiał poprzestawać tylko na moim towarzystwie. Możesz mu to sama powiedzieć później przy kolacji.

— Chętnie to uczynię.

— Musisz pozwolić Gondzie odwiedzać mnie od czasu do czasu. Helga zaważała się na moment, po czym rzuciła szybko:

— Oczywiście, przedpołudnia mam zajęte, więc — tak czy tak — nie mogłabym się cieszyć towarzystwem Gondy; w tym czasie zatem mogłaby jeździć do ciebie. Ale obiady musi jadać zawsze z nami, z ojcem i ze mną.

Wiedziała doskonale, że doktor Leyden pracuje przed południem na budowie i że nie istnieje żadne niebezpieczeństwo spotkania z Gondą.

Bogu ducha winna ciotka nie miała pojęcia dlaczego Helga obstaje przy przedpołudniowych wizytach Gondy. Ze słów Helgi wywnioskowała jedynie, że chce ona jak najwięcej czasu spędzać z siostrą, i to radowało jej zacne serce.

Gonda też się cieszyła nie przeczuwając podstępu. Gdy patrzyła na siostrę, jej oczy promieniały i mówiła sobie, że zdobycie jej miłości mimo wszystko nie powinno być takie trudne. W każdym razie wyobrażała sobie, że to będzie o wiele bardziej skomplikowane. Na razie nie miała pojęcia, że w rzeczywistości miało okazać się to jeszcze cięższe. Ojciec nie miał złudzeń, czuł, że Helga zachowuje tylko pozory wobec siostry. Jedynie w tych kilku minutach, kiedy się witały po raz pierwszy, było odrobinę serdeczności w jej zachowaniu. To z pewnością moment, gdy wzięła siostrę w ramiona, wzbudził w niej owo ciepłe uczucie. Co prawda potem bardzo szybko przywdziała pancierz niedostępności, ale został w nim uczyniony wyłom.

Nie domyślał się, że ta chwilowa przychylność została skutecznie stłumiona, nie przeczuwał, że teraz wszystko będzie zależało od tego, czy doktor Leyden swoim zachowaniem nie dowiedzie zainteresowania, jakie wzbudziła w nim Gonda. Nie wiedział przecież o uczuciach, jakie skrywała w swym sercu dla niego Helga.

Gdy tak obserwował Helgę, raz po raz musiał stwierdzać, jak bardzo jest podobna do matki — zewnątrz i wewnątrz. Tyle że jej matka nie była taka zimna i wyniosła, ona kochała przynajmniej matkę i jego. Może któregoś dnia miłość przeobrazi Helgę? Może będzie szczęśliwsza niż jej matka? Niech Bóg ją ustrzeże od takiego losu, jaki jest udziałem nie kochanej żony! Czynił sobie wyrzuty, że nie potrafi kochać Helgi tak jak Gondy. Niestety Helga była córką kobiety, której nigdy nie kochał, Gonda natomiast dzieckiem matki, którą kochał

ponad wszystko. Mimo iż bardzo się starał traktować tak samo Helgę, nigdy nie zajmowała w jego sercu miejsca takiego jak Gonda.

Wszyscy odetchnęli skrycie, gdy do domu wrócił Hans Leyden. Szybko się przebrał i wszedł do salonu, gdzie zgromadziła się cała rodzina.

Serce Helgi skoczyło do gardła i zaczęło ciężko bić. Kiedy przywitał ją z wesółymi, rozjaśnionymi oczami, na jej twarz wypłynął rumieniec. Nie miała pojęcia, że on cieszy się z jej obecności tylko ze względu na Gondę i jej ojca; wiedziała jedynie, że się ucieszył, a to sprawiło, że serce w niej stopniało. Z uśmiechem podała mu rękę.

Skłonił się uprzejmie.

— Jakże się cieszę, że panią tu widzę!

— Słyszałam, że jechał pan z Hamburga w jednym przedziale z moim ojcem i siostrą — powiedziała ciepło, co jej *ńę* nader rzadko zdarzało.

— Tak, łaskawa pani, przypadek sprawił, że mogłem dostąpić tego zaszczytu. Zjawiłem się na dworcu tuż przed odjazdem pociągu i mądry bagażowy umieścił moją walizkę w przedziale, gdzie jechali szanowni państwo — wyjaśnił otwarcie.

Wywnioskowała z tego, że nie wybrał tego przedziału celowo, ze względu na Gondę, i odetchnęła z ulgą.

— Słyszałam już o tym, panie doktorze! A także i o tym, że zatrzymał się pan w tym samym hotelu.

— Tak, miałem to szczęście — powiedział posyłając promienne spojrzenie Gondzie, która bez skrupowania odpłaciła mu tym samym. Zauważyła to Helga i jej wargi zacisnęły się jakby z bólu. Wszystko to, co w jej sercu przemawiało za siostrą, zostało zniweczone tym spojrzeniem. Najchętniej by się zerwała i stanęła między Leydenem a Gondą, aby się już nigdy więcej nie zobaczyli.

Z chwilą wejścia Leydena rozmowa się ożywiła. W obezwładniającej udreće Helga zauważyła, jak bardzo zdążył się już zaprzyjaźnić z Gondą. Oczywiście zaprzyjaźniony był też z ojcem, ale to się nie liczyło.

Po chwili poproszono do stołu. Również w czasie kolacji raz po raz rzucało jej się w oczy, wywołując ból zazdrości, jak tkliwie Hans Leyden spoglądał na Gondę. To co wszystkim podobało się w zachowaniu Gondy — ów nieprzeparty wdzięk — Heldze wydawało się wyrafinowaną, obliczoną na efekt kokieterią. Traktowała to jak afront w stosunku do swej własnej osoby. Jakże Gonda mogła z tak bezwstydnym upodobaniem zaglądać Leydenowi w oczy, jak mogła z taką poufałością kiwać głową i tak się do niego uśmiechać, jakby byli ze sobą na bliskiej stopie? Uznała jej zachowanie za oburzające.

Dla przyzwyczajonej do przybierania przy każdej okazji oficjalnej postawy naturalny sposób bycia Gondy wydawał się niezrozumiały, ba, nie do przyjęcia, a co dopiero, kiedy do tego doszła zazdrość! W głębi serca życzyłyby sobie nigdy nie poznać siostry, lecz ta zjawiała się na jej nieszczęście, aby zadawać ból. Pewnym pocieszeniem było dla niej to, że doktor Leyden również w stosunku do niej okazał się bardzo rycerski i uważający, tyle że ona nie chciała z nikim się dzielić, on powinien widzieć tylko ją.

Próbując odwrócić jego uwagę od Gondy powiedziała:

— Panie doktorze, mówiłam już cioci Käthe, że będę się bardzo cieszyła, jeśli pan będzie teraz równie często jak kiedyś odwiedzał mój zamek. Ciocia Käthe wyraziła gotowość przywożenia pana co wieczór do mnie swoim samochodem.

Hans Leyden roześmiał się cicho,

— Łaskawa pani, proszę mnie nie wodzić na pokuszenie. Zwracam pani uwagę, że jeżeli tylko dostanę pod tym względem wolną rękę, to gotów jestem naprawdę często korzystać z pani zaproszenia.

— A nawet powinien pan!

— Ale czy to nie będzie dla pani i dla pani krewnych uciążliwe, tak za każdym razem ciągnąć mnie ze sobą?

— Z pewnością nie, wszyscy będziemy bardzo się cieszyć. Pan wie, po śmierci babci byłam skazana na samotność, jako że nie wolno mi było przyjmować żadnych wizyt. Mój ojciec i siostra też żyli na odludziu, a zatem im także pańskie

towarzystwo sprawi przyjemność, nie mówiąc o cioci Käthe, u której ma pan specjalne względy.

Skłonił się.

—Pani słowa czynią mnie szczęśliwym. Ja też nie lubię samotności, cieszę się więc, że wolno mi będzie przebywać w towarzystwie państwa. To jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, dlatego co prędzej skorzystam z okazji, zanim pani nie pożałuje, że mnie zaprosiła.

—Coś takiego na pewno nigdy się nie zdarzy.

—W każdym razie dziękuję pani za to zaproszenie.

—Poniekąd jest pan przybranym synem cioci Käthe, więc tym samym należy do rodziny — dodała w niezwykłym dla niej przyпыwie filuterności.

Ujął jej dłoń i pochylił się nad nią składając lekki pocałunek.

— Po raz pierwszy spostrzegłem u łaskawej pani skłonność do żartów i jest z tym pani bardzo do twarzy — zauważył grzecznie.

Na jej twarzy wykwitł rumieniec i to w osobliwy sposób dodało jej uroku, a Leyden pomyślał: Czyżby ten kamienny posąg miał w żyłach czerwoną, ciepłą krew?

Nie pozostał jednak zbyt długo myślami przy niej, jego oczy z powrotem pomknęły do Gondy. To głównie z powodu Gondy cieszył się, że Helga Ruthart go zaprosiła. Nie miał pojęcia, że to on jest tym, który kamienny posąg napęlnia czerwoną, ciepłą krwią, nigdy nie przyszło mu do głowy, aby próbować się do niej z jakiegoś powodu zbliżyć. Była jedną z tych kobiet, które na niego w ogóle nie działały.

Helga stłumiła narastające w niej podniecenie. Nie miała zamiaru przerywać z nim rozmowy, a już na pewno za wszelką cenę chciała odciągnąć go od Gondy.

—Jak się miewa pański wuj, panie doktorze? O ile wiem, odwiedził go pan w sanatorium.

—Tak, łaskawa pani. Niestety nie czuje się najlepiej, choć operacja przebiegła bez komplikacji i lekarze są zadowoleni. On jednak ciągle nie wraca do sił. Rozmawiałem z ordynatorem, który powiedział, że wuj musi bardzo uważać na siebie, zachować dietę i że właściwie to tylko wtedy byłoby naprawdę możliwe, gdyby cały czas znajdował się pod opieką lekarską. Najdrobniejsze błędy w diecie mogą pogorszyć jego stan i przyprawić o niepotrzebne cierpienia. Tak więc wuj zdecydował się zostać dłużej w sanatorium. Może już opuszczać łóżko, a okolica wokół jest tak piękna, że naprawdę dobrze się tam czuje.

—A jakże on, z tą swoją mizantropią, odnajduje się w miejscu, gdzie przecież żyje obok siebie tylu ludzi?

—No cóż, on i tam żyje po swojemu, posiłki jada w swoim pokoju, a spaceruje odbywa w najodleglejszych zakątkach rozległego parku, gdzie nie musi mieć do czynienia z nikim oprócz lekarzy, pielęgniarek i starego służącego.

—Biedny człowiek. To musi być straszne, kiedy się żyje w samotności. Z pewnością ktoś mu kiedyś wyrządził wielką krzywdę, więc teraz żywi niechęć do wszystkich — wtrąciła Käthe.

—W każdym razie trzeba mu współczuć — zauważyła Helga.

—Naturalnie! Dlatego też nie daję się odstraszyć jego dziwactwom i jak tylko mogę, to go odwiedzam. To mój jedyny krewny. Staram się jak mogę, aby go odrobinę rozweselić.

—Szkoda, że taka piękna posiadłość stoi tak długo pusta i opuszczona.

—Pewnie, że szkoda, łaskawa pani. On mi zresztą znowu zaproponował, abym zamieszkał w jego domu, a ja i tym razem odrzuciłem propozycję. Znam go, nieufność odbierze mu spokój i prędzej czy później będzie żałował, że mi zaproponował coś takiego.

—Czy aby nie ocenia go pan zbyt surowo? — zapytała uśmiechając się Käthe Laßwitz.

— Łaskawa pani, po prostu za dobrze go znam, on z pewnością by się lękał, że w jego domu dokonam zmian, które będą nie po jego myśli. Nie, nie, za nic w

świecie nie zamieszkać w jego domu, bo jeszcze mnie uzna za własnego wroga. Jeśli pani chce, abym się wyprowadził, to proszę powiedzieć otwarcie, przeniosę się na powrót do komfortowej wiejskiej gospody.

Pani Laßwitz roześmiała się.

—Nie mam zamiaru rezygnować z takiego miłego sublokatora, który w dodatku zapewnia mi męską opiekę. Naprawdę nie wiem, jak dałabym sobie radę bez pana, i ze strachem myślę o chwili, kiedy skończy pan budowę linii kolejowej.

—Pani w swej łaskawości tylko mi to wmawia, abym nie czuł się tu zawadą.

Käthe uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

— Mam panu wręczyć czarno na białym, że tak jest w istocie? Mógłby mi pan uwierzyć na słowo, kochany doktorze.

W ten sposób rozmowa przy stole stała się ogólna i Heldze już się nie udało odizolować Hansa Leydena od towarzystwa. Zaraz po kolacji zaczęła nawoływać do odjazdu i dopiero teraz doktor Leyden usłyszał, że Gonda najbliższą noc spędzi już w zamku Santen. Zrobiło mu się dziwnie przykro z tego powodu, pocieszył się jednak myślą, że będzie mógł ją tam często odwiedzać.

Gonda musiała pospiesznie spakować najpotrzebniejsze rzeczy. Reszta bagażu miała zostać dostarczona do zamku z samego rana. Tak więc ani Klaus Ruthart, ani Gonda nie skorzystali z przyjemnie urządzonych pokoi gościnnych ciotki Käthe, która była niepokieszona.

Gonda pożegnała się z nią serdecznie.

—Przyjedź szybko, bardzo szybko na zamek Santen, kochana ciociu — szepnęła znalazłszy się w jej ramionach.

—Ależ oczywiście, Gondo, zaraz jutro, chcę cię przecież widzieć każdego dnia. Wszystkiego dobrego na zamku Santen!

— Stokrotne dzięki, kochana ciociu Käthe!



Klaus Ruthart pożegnał się z siostrą i doktorem Leydenem. Gonda też chciała to zrobić, lecz Helga pospiesznie skróciła owo pożegnanie, kładąc Gondzie rękę na ramieniu i zabierając ją ze sobą. Jej pałające oczy napotkały jeszcze wzrok młodego mężczyzny, lecz ten nie zwrócił na to uwagi. Patrzył tylko na Gondę...

## 10

---

Minęło kilka tygodni. Gonda szybko przystosowała się do życia na zamku, choć z początku dręczył ją dziwny niepokój. Wystarczyło, że weszła do hallu, a już miała ochotę się odwrócić i uciec w ramiona ciotki Käthe. Jego zimne powietrze dosłownie zapierało dech w piersiach. Gonda miała wrażenie, że to wrogo usposobiony duch zmarłej pani von Santen chce wyprosić niepożądanych gości, i długo ją ta myśl prześladowała. Ze względu na ojca mężnie jednak stłumiła w sobie to uczucie. Nie powinien zauważyć, jak przerażająco działa na nią ta stara wielka budowla z niezliczoną ilością pokoi oraz szerokimi, zwielokrotniającymi każdy odgłos korytarzami. Mury były grube i zimne, a ciosowy kamień posadzki w hallu zionął dojmującym chłodem. Nie umiała sobie przypomnieć, czy jeszcze kiedykolwiek tak zmarzła, jak pierwszego dnia pobytu na zamku Santen.

Jej pokoje na szczęście były przytulniejsze. Helga sama się o to zatroszczyła. Miały piękne stare podłogi parkietowe, a ich urządzenie wydawało się Gondzie wręcz baśniowe. Meble z osiemnastego wieku wzbudziły prawdziwy podziw Gondy. Nigdy jeszcze takich nie widziała. Drzwi skryte były za ciężkimi brokatowymi kotarami, a pośrodku pokoju królowało dostojne łóżko z baldachimem, które również skrywały brokatowe zasłony. Na oknach, oprócz takich samych brokatowych zasłon, wisały jeszcze firanki z tiulu.

— Mam nadzieję, że będziesz się tu dobrze czuć — rzekła Helga z właściwą sobie chłodną uprzejmością.

Gonda rozejrzała się z pewnym lękiem.

—Och, przyzwyczaję się, Helgo, te pokoje są takie piękne, o wiele za piękne dla mnie! Nie jestem przyzwyczajona do takiego przepychu, wspaniałość tego miejsca nieledwie mnie przytłacza. Ale uporam się z tym. Wiesz, Helgo, przykro mi, że tak długo musiałaś mieszkać sama w takim wielkim zamku.

—Dlaczego ma ci być przykro? — Helga spojrzała na nią wyniośle.

—Nie wiem. Ja bym się bała. A przecież nie jestem lękliwą naturą, bez cienia strachu jeździłam konno przez dżunglę, gdzie każdej chwili mogło mnie zaatakować drapieżne zwierzę. Tutaj jednak bym się bała. Chciała jeszcze dodać: „Nie dziw, że zamarzyło w tobie serce”, ale wiedziała już, że nie wolno mówić wszystkiego, co przychodzi do głowy. Dlatego zatrzymała tę uwagę dla siebie, instynktownie wyczuwając, że siostrze mogłaby się ona nie spodobać.

Helga wyprostowała się dumnie.

—Jakże miałabym bać się miejsca, gdzie żyli moi przodkowie? Jestem od dziecka przyzwyczajona do tego otoczenia, a dla ciebie jest ono po prostu nowe.

—Nie czułaś się tutaj samotna?

—Nie, nigdy.

—W tych wszystkich pokojach można się niemal zgubić. Jest mi tak, jakbym sama nie miała trafić z powrotem do hallu. Nasz bungalow w Dahomy miał tylko jedno piętro, wszystkie pokoje wychodziły do olbrzymiej sieni. Było tam czternaście pokoi, to bardzo dużo jak na taki dom. W Ramovie mieli tylko dzieśięć. Poza kamiennym fundamentem takie budynki wznosi się z drewna, dlatego są jasne i ciepłe. Z pewnością by ci się tam spodobało.

—Wątpię.

—No cóż, spróbuję się przyzwycząić, dobrą wolą można wiele osiągnąć — oświadczyła dzielnie Gonda.

— Ja też mam taką nadzieję. A teraz zostawię cię samą. Spij dobrze! Gonda uścisnęła i ucałowała siostrę, ta jednak nie odwzajemniła się ani

uściskiem, ani pocałunkiem. Gondzie zrobiło się smutno.

Teraz już zdążyła się przyzwyczać i z powodzeniem przewyciężyła niepokój. Zaraz następnego ranka Helga kazała ją oprowadzić po zamku, a ona robiła wszystko, aby się oswoić z dudniącym odgłosem kroków. Z początku była przerażona, kiedy się roześmiała i odpowiedziało jej echo, lecz teraz już i to należało do przeszłości. Zamek leżał w przepięknej okolicy, a widok z okien pokoju Gondy był wprost urzekający. Wzrok wędrował ponad łąkami i lasem, a kiedy się miało dobrą lornetkę, można było zobaczyć budowę odnogi kolejowej i kręcącego się wśród robotników Leydena. Zawsze wtedy robiło jej się ciepło na sercu i znikwały wszystkie strachy nowej ojczyzny.

W zamku z powrotem zjawili się goście, bo rozniosła się wieść, że młoda dziedziczka od nowa przyjmuje, a wszyscy byli oczarowani Gondą, co Helgę niezmiernie złościło. Ciotka Käthe przyjeżdżała naturalnie każdego dnia, a i doktor Leyden bywał tam prawie każdego wieczoru, co Gonda przyjmowała z niekłamana radością.

Niestety ojciec znajdował dla niej jeszcze mniej czasu niż w Dahomy. Miał pełne ręce roboty, chcąc wszystko doprowadzić do porządku. Gonda widywała go tylko przy posiłkach i wieczorami. Jej samej bardzo brakowało regularnych zajęć, do jakich była przyzwyczajona w Dahomy, poprosiła więc Helgę, aby ta pozwoliła jej się czymś zająć i stać się w ten sposób użyteczną.

Ta jednak spojrzała na nią drwiąco.

— Od tego jest służba. Co by pomyśleli ludzie, gdyby się dowiedzieli, że pozwalam siostrze zajmować się pracami domowymi? Miano by cię za Kopciuszka, a mnie za potwora.

To było znowu coś, czego Gonda nie pojmowała: że poprzez pracę można stracić poważanie u innych. Jak zwykle jednak skłonna była dostosować się do tego, czego od niej wymagano, a w końcu znalazła to i owo, czym mogła wypełnić czas. Sporo przebywała z Helgą, lecz mimo iż na wszystkie sposoby próbowała się do niej zbliżyć, za każdym razem wyczuwała coś jakby dzielący je niewidzialny mur, który na to nie pozwalał. Gonda musiała raz po raz dodawać sobie odwagi, wyobrażając sobie, jak pozbawione miłości i puste było dzieciństwo

Helgi. Zawsze przebywała tylko z dumną, wyniosłą babką, która co prawda ją ubóstwiała, niemożliwie rozpieszczając, ale przykładała do wszystkiego własną miarę rzeczy.

Kiedy Gonda potrzebowała wsparcia duchowego, jechała do ciotki Käthe. Że mogła to robić tylko przedpołudniami, o to już zatroszczyła się Helga. W obecności ciotki rozpraszały się wszystkie cienie, bo Käthe była wesoła, a niekiedy nawet swawolna, i chętnie żartowała, często wybuchając śmiechem. Gonda dawała się rozpieszczać tej serdecznej z natury kobiecie, nigdy jednak nie skarżyła się na Helgę. Z jej ust nigdy nie padło słowo skargi na siostrę, która często raniła ją swą wyniosłością i upokarzała dumną arogancją. Ojcu też nie pisnęła słowa, w obawie, aby nie czynił Heldze wyrzutów lub zgoła nie odsunął się od niej. Robiła, co mogła, żeby zbliżyć ojca i siostrę, lecz musiała przyznać sama przed sobą, że na razie nie na wiele to się zdało. Jakkolwiek ojciec czynił wszystko, do czego w swym mniemaniu był zobowiązany wobec Helgi, a ona odnosiła się do niego uprzedzająco grzecznie, to żadne z nich nie okazywało przy tym cieplejszych uczuć, w każdym razie ona, Gonda, miała takie wrażenie.

Jakże mogła być taka naiwna i wierzyć, że tak łatwo uda jej się zdobyć serce siostry? Przecież dzieliły je długie lata rozłąki, poza tym najpierw trzeba było uporać się ze szkodliwym wpływem, jaki miała na nią babka, ucząc pogardy i nienawiści do ojca. Gonda musiała uzbroić się w cierpliwość. Powtarzała sobie, że jeśli tylko nie zrezygnuje z prób zbliżenia się do Helgi, to wszystko może się jeszcze dobrze skończyć.

Uwielbiała wieczory, kiedy na zamku pojawiali się ciotka Käthe i doktor Leyden. Jego przyjazny wzrok działał na nią uspokajająco, jakby próbując dodać odwagi. Och, Hans J^eyden był wspaniałym człowiekiem, takim serdecznym i życzliwym! A chociaż nie wolno jej było tego powiedzieć głośno, ponieważ to uwłacza, jak wyraziła się Helga, dobrym obyczajom, ona go kochała, tak, bardzo kochała, co prawda całkiem inaczej niż ojca, Georga czy ciotkę Käthe, ale na pewno nie mniej.

Minęło trochę czasu. Pewnego ciepłego, słonecznego dnia siedziała z Helgą na tarasie, skąd rozciągał się wspaniały widok na pola uprawne i łąsy. Gonda

wodziła rozmarzonym wzrokiem, rozkoszując się cudowną panoramą, Helga natomiast zajęta była kunsztowną robótką ręczną.

— Ty nigdy nie robisz takich rzeczy, Gondo — zganiała siostrę. Ta spojrzała na nią z uśmiechem.

— To przecież bezcelowe zajęcie, w Dahomy coś takiego robiły tylko nasze malajskie służące. Zresztą nigdy nie miałam do tego głowy, prowadzenie gospodarstwa zabierało mi dużo czasu, poza tym sporo jeździłam konno. Cieszę się, że ojciec obiecał mi sprawić konia, ciągnie mnie, aby każdego dnia pojeździć, i to za każdym razem dalej, mam to we krwi. Zresztą moja mama też robiła cudowne rzeczy, zachowałam je wszystkie, zabrałam też ze sobą parę wyjątkowo ładnych drobiazgów wykonanych przez nasze służące. Mam to w wielkiej walizie, której jeszcze nie rozpakowałam. Jeśli cię to interesuje, chętnie ci pokażę. Moja mama była mistrzynią w robótkach ręcznych.

— A więc twoja matka oddawała się chętnie takim zajęciom?

—O tak, mama była cudowną kobietą. Helga pogardliwie wyduła wargi.

—Mówiłaś mi to już tyle razy. Była Niemką?

— Naturalnie! Papa poznał ją w drodze na Sumatrę. Płynęli tym samym parowcem, a ona była szczęśliwa, że się nią trochę zaopiekował, jako że podróżowała sama.

Helga wyprostowała się opuszczając na kolana robótkę.

— Jak to, twoja matka płynęła sama?

— Tak, nie miała nikogo, musiała więc ruszyć w świat w poszukiwaniu pracy.

Twarz Helgi wyrażała nieopisaną pogardę.

— W poszukiwaniu pracy? A jakiej to, można wiedzieć?

—Została zaangażowana jako nauczycielka i wychowawczyni zarazem do chłopca, którego matka była ciężko chora.

—Och, więc była poddanką. Nie wiedziałam o tym. Teraz już wiem, skąd masz te swoje maniery.

Powiedziała to tak ostro i z taką drwiną, że Gondzie krew uderzyła do głowy. Choć siostra często próbowała ją zranić i upokorzyć, tym razem jednak było to nieporównanie dotkliwsze, w dodatku nie chodziło tylko o nią, ale o jej kochaną matkę. W Gondzie, która gotowa była wiele znieść, odezwał się bojowy duch.

—Helgo, nie wolno ci tak pogardliwie mówić o mojej mamie, ona była...

—Cudowną kobietą, wiem. Mówiłaś mi to tyle razy, że nie mogę już tego słuchać, ale przynajmniej się dowiedziałam, że była służącą. Takie nie liczą się w naszych sferach.

Oczy Gondy zaiskrzyły się gniewem.

—Jak obrzydliwie mówisz o mojej drogiej mamie, Helgo! Moja mama nie była służącą, a nawet gdyby była — czyż wolno pogardzać człowiekiem, że zarabia uczciwie na kawałek chleba?

—Chciałabyś się zadawać z którymś z naszych służących, na przykład z szoferem?

—Czemu nie, jeśli byłby tak samo wykształcony jak ja. O wartości człowieka decyduje między innymi wykształcenie. Tylko ono jest miarodajne. Gdybyś знаła moją mamę i jej wytworny, a zarazem podyktowany dobrocią serca sposób bycia, nie mówiłabyś o niej z taką pogardą i nie nazywałabyś służącą. Moja mama złożyła egzaminy nauczycielskie, mówiła płynnie po francusku i angielsku, a później również po holendersku i w narzeczu malajskim. Była bardzo mądra i muzykalna. Wszystkiego, co umiem, nauczyłam się od niej.

Helga skrzywiła się ironicznie.

—Niestety, twoje wychowanie zdradza poważne braki. Teraz mogę to zrozumieć, skoro twoja matka nie była damą.

Oczy Gondy pociemniały ze złości.

— Moja mama była damą w każdym calu! Nawet jeśli od czasu do czasu popełniam tu błędy, to nie jest wina jej wychowania. Zresztą są to drobne uchybienia, a zdarzają mi się dlatego, że w Dahomy żyłam z daleka od świata. W każdym razie jest pewne, że posiadam więcej wiadomości niż ty.

Helga milczała przez chwilę. Nie mogła nie przyznać, że Gonda rzeczywiście przewyższa ją swą wiedzą, nic by jej wszakże nie zmusiło do powiedzenia tego otwarcie.

— Czy to nie zbytnia zarozumiałość, Gondo, jeśli sobie wyobrażasz, że wiesz o wiele więcej niż ja? — spytała szyderczo.

— Zarozumiałość?! O nie, jestem daleka od tego, nie mam zamiaru przechwalać się swymi wiadomościami, chcę tylko bronić mojej mamy. Czy nie stwierdziłaś sama, że angielski i francuski opanowałam lepiej niż ty? Czy niedawno sama się nie dziwiłaś, że tyle umiem? Jeśli zaś chodzi o poprawne formy, których tak surowo przestrzegasz, to nie mogłam się ich nauczyć w Dahomy, ale teraz postaram się to szybko nadrobić. Zresztą zdarza mi się to rzadko, kiedy powiem czy zrobię coś, co nie ostoi się wobec twego surowego osądu. To wszystko są drobiazgi, które nie mają nic wspólnego z moim wychowaniem.

Helga zorientowała się, że posunęła się za daleko i że powinna się nieco powściągnąć, rzekła więc wzruszając ramionami:

— Nie kłóćmy się, to takie pospolite. Gonda odetchnęła.

— Nie, nie będziemy się kłócić, ale proszę, nie mów więcej tym tonem o mojej mamie. Tego nie zniosę, za bardzo ją kochałam. Ja też nigdy niczego nie powiem o twojej matce.

Helga dumnie odrzuciła głowę.

— Nawet ci to nie przystoi, moja matka pochodziła ze starego szlacheckiego rodu.

— A to coś szczególnego? — spytała niewinnie Gonda. Siostra spojrzała na nią z wyższością.

—Ty, jako córka kobiety, która zmuszona była pracować, tego nie rozumiesz. Jakże zresztą miałabyś to zrozumieć? Twój ojciec jest z takiej samej szlachty jak twoja matka.

Gonda wpatrzyła się w nią ze zdumieniem.

— Dlaczego powiedziałaś „twój ojciec”? Czyżby nie był też twoim? Nie jesteś dumna, że jesteś jego córką, tak jak ja jestem?

Z wyrazem twarzy, którego nie sposób byłoby opisać, Helga wzruszyła pogardliwie ramionami.

— Dumna? O nie, nie mogę być z niego dumna, on nie ma pojęcia o honorze, tak jak to rozumie szlachta.

Gonda gwałtownie zerwała się z fotela i wpatrzyła w siostrę pałającymi oczami.

— Wstydz się! Jak możesz tak mówić o naszym ojcu! — krzyknęła porywczo.

Helga podniosła na nią wzrok, który miał sprawiać wrażenie zamyślnego, choć doskonale wiedziała, że to, co chce powiedzieć, jest niedorzeczne.

— Nie unos się. Prawdopodobnie nie wiesz, że ojciec dał mojej matce słowo, iż się więcej nie ożeni. A jednak to zrobił, następczynią dumnej arystokratki czyniąc guwernantkę. Bez względu na to, co by miał na swe usprawiedliwienie, w myśl naszego surowego kodeksu honorowego jest wyzuty z wszelkiej czci.

Gonda zbladła jak ściana.

—Wyzuty z wszelkiej czci! Ponieważ jest mężczyzną o miękkim, czułym sercu?! Papa opowiedział mi wszystko, Helgo. Wiem, że wymuszono to na nim. Z dobrego serca, aby uspokoić twą chorobliwie podnieconą matkę, dał jej to bezsensowne przyrzeczenie, którego nikt nie miał prawa od niego wymagać. Żaden rozsądny mężczyzna nie uważałby danego w tych okolicznościach słowa za coś wiążącego.

—Nie potrafisz tego zrozumieć. Słowo pozostaje słowem.



—Nikt nie powinien wątpić w poczucie honoru papy, a już najmniej ty, Helgo. Proszę cię, nie, ja cię zaklinam, nie mów nigdy przy nim takich rzeczy.

Helga rzuciła jej niepewne spojrzenie.

—Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Zestawiam tylko fakty.

—Biedna Helgo, jakże zimne i martwe musi być twoje serce, skoro tak mówisz o własnym ojcu! Na swoje usprawiedliwienie masz wyłącznie to, że niestety go nie poznałaś tak, jak powinnaś. Przecież daje ci tyle dowodów zacności, wielkiego serca i ludzkiej dobroci. Zadaj sobie nieco trudu, aby go lepiej poznać. Wiesz, jak niez mordowanie dla ciebie teraz pracuje, od wczesnego rana do wieczora, i jak się cieszy, że wreszcie może coś dla ciebie zrobić, czego mu tak długo odmawiano. Nie miej do niego pretensji, że żył z daleka od ciebie. Przecież to nie jego wina, że nie mógł pokochać twojej matki! Czy mimo to nie zrobił wszystkiego, aby ją uszczęśliwić? Miał przez całe życie dotrzymać wierności nie kochanej żonie, skazując się w ten sposób na udrękę samotności? Nie obwarowuj dłużej swego serca przeciwko niemu, błagam cię, oddaj mu przynajmniej sprawiedliwość!

Helga miała nieczyste sumienie. Te wszystkie inwektywy były w gruncie rzeczy skierowane tylko przeciwko Gondzie, której zazdrościła uwagi, jaką zwrócił na nią doktor Leyden. Gdyby była uczciwa, musiałaby przyznać, że ojciec zaczął jej imponować, tak, nawet odczuwała coś w rodzaju dumy widząc, jak potrafi obchodzić się z ludźmi i na każdym kroku zyskuje uznanie.

Od dawna wiedziała, że sąd babki o nim podyktowany był nienawiścią. Gdyby nie była taką zimną, zachowawczą naturą, pewnie by go już pokochała. Jej oschłe serce jednak wyrwało się teraz do Hansa Leydena, a na przeszkodzie temu stała Gonda, Gonda, która wraz z ojcem stanowiła jedność nie do rozdzielania.

Nieco zawstydzona, jako że mimo wszystko nie miała niskiego \* charakteru, pospiesznie wyciągnęła rękę do zgody.

— Proszę, zapomnij, co powiedziałam, wyrwało mi się to w gniewie, ponieważ... ponieważ sobie to wmówiłam. Miałaś prawo mi nawymyślać.

Udobruchana Gonda z radością ujęła jej dłoń.

— Nie miałam zamiaru ci nawymyślać, broniłam tylko rodziców. To moje prawo i mój obowiązek. Przebacz mi, jeśli za bardzo się uniosłam, wszystkiemu winien mój temperament. Nie umiem za dobrze panować nad uczuciami ani ich ukrywać. Zawsze mówię prosto z mostu, co mi leży na sercu. Tobie tego nigdy nie było wolno i... za mało doświadczyłaś miłości, moja biedna siostrze, nie wolno mi o tym zapominać.

Owo ciepłe współczucie, jakim tchnęły słowa Gondy, sprawiło, że Helga poczuła się urażona w swej dumie.

— Wypraszam sobie litowanie się nade mną, jestem całkiem zadowolona ze swego życia — oświadczyła lodowato.

Gonda nie potrafiła się długo gniewać, więc za wszelką cenę chciała zawrzeć z nią pokój.

— Nie masz do mnie żalu, kochana siostrze? — spytała błagalnie.

— Nie!

Mimo proszącego wzroku Gondy nie miała dla niej nic więcej oprócz tego krótkiego „Nie!”, po czym od razu zmieniła temat, jak to zwykły robić damy. Gonda szybko się jednak zorientowała, że wzburzenie Helgi minęło.

Podobne sceny, choć może nie tak gwałtowne, powtarzały się niestety dość często. Ile razy Helga znalazła pożywkę dla swej zazdrości, tyle razy robiła wszystko, aby zranić Gondę. Ponieważ jednak z reguły dotyczyło to jej samej, Gondzie łatwiej przychodziło się z tym pogodzić. Nie miała pojęcia, dlaczego Helga w stosunku do niej jest taka złośliwa, nigdy by jej nie przyszło do głowy, aby łączyć owo nieprzyjemne zachowanie siostry z Hansem Leydenem. Nie żaliła się nigdy ani ojcu, ani ciotce z powodu jej napastliwych przytyków, zawsze brała ją w obronę, kiedy skarżyli się na oziębłość jej serca, puszczając w niepamięć owe mniejsze lub większe przykrości, jakich jej Helga nie szczędziła. Kiedy tej ostatniej od czasu do czasu wyrwało się słowo przeprosin, Gonda na nowo zaczynała mieć nadzieję, że jednak w końcu uda jej się trafić do nieprzystępnego serca siostry, nie ustając w próbach zdobycia jej miłości.

Klaus Ruthart nic nie wiedział o tych tajemnych utarczkach swej małej dzielnej Gondy. Nieodmiennie starała się mu udowodnić, że stosunek Helgi do niej jest lepszy, niż można się było tego w podobnych okolicznościach spodziewać. Poza tym Helga w obecności ojca nie szukała powodów do kłótni, choć patrzyła złym okiem na siostrę. Mimo że nie chciała się do tego przyznać, ojciec miał u niej coraz więcej poważania. Widziała, z jakim znanstwem doprowadza wszystko do ładu, jak zarządca i inni pracownicy bez szemrania wykonują jego polecenia.

Niekiedy patrzyła za nim, kiedy odjeżdżał na koniu, a na jej twarzy malowało się coś na kształt dumy. Jego zdecydowany, domagający się szacunku sposób bycia i bez wątpienia interesująca osobowość robiły swoje. Teraz już niemal zdolna była pojąć, że jej matka go kochała i wolałaby umrzeć niż z niego zrezygnować. Kiedy spoglądała na duży olejny portret matki namalowany tuż po jej ślubie, musiała przyznać, że Ellen von Santen nie była pięknnością, choć prawdopodobnie malarz i tak jej pochlebił. Potem przeglądała się krytycznie w lustrze stwierdzając ku swemu ubolewaniu, że z dnia na dzień staje się do niej bardziej podobna.

Z westchnieniem zapytywała samą siebie, czy Hans Leyden mógłby ją kiedyś pokochać. Może zresztą i tak — gdyby nie pojawiła się Gonda. Mimo całej swej próżności musiała przyznać, że siostra jest o wiele ładniejsza i bardziej powabna niż ona. To có ona w swej niechęci uważała w sposobie bycia siostry za pospolite, inni wynosili pod niebiosa jako „świeżą naturalność” i gdyby Gonda nieszczęsnym trafem nie spodobała się doktorowi Leydenowi, sama Helga mogłaby ją uznać za czarującą istotę.

Klaus Ruthart kupił wierzchowca dla Gondy, którego umieszczono w stajni obok konia Helgi. Teraz Gonda mogła wyjeżdżać do woli.

Helga doskonale jeździła konno i prezentowała siew siodle wyjątkowo korzystnie, była więc przekonana, że pod tym względem usunie siostrę w cień. Ale także i na tym polu przyszło jej przeżyć zawód. Gonda wyglądała jak zrosnięta z siodłem, a jeździła na tak ognistym rumaku, że Helga nie umiałaby sobie poradzić z takim pełnym temperamentu wierzchowcem. Musiała też niechętnie po-

dziwiać wytrzymałość, jaką wykazywała Gonda spędzając w siodle długie godziny. I pod tym względem nie potrafiła jej dotrzymać kroku.

Doszło do tego, że na dłuższe wycieczki Gonda wybierała się sama. Helga co prawda chciała jej narzucić towarzystwo chłopca stajennego, lecz siostra z oburzeniem odrzuciła propozycję. Ojciec powiedział wtedy do Helgi:

— Możesz spokojnie pozwolić Gondzie na samotne przejażdżki, ona jest przyzwyczajona sama się bronić. Tu zresztą nie ma takich niebezpieczeństw, z jakimi spotykała się na każdym kroku na Sumatrze.

Helga wzruszyła ramionami.

— Ostatecznie decyzja należy do ciebie, ojcze, moim zdaniem jednak to niezbyt wypada, aby Gonda wyjeżdżała sama.

— Nie martw się, z pewnością nie będzie to niestosowne, jeśli twoja siostra uda się na przejażdżkę konną w pojedynkę. Z reguły będzie wyjeżdżała w moim towarzystwie, a jeśli kiedyś okaże się to niemożliwe, z powodzeniem może jechać sama.

Helga skwitowała całą sprawę ponownym wzruszeniem ramion. Nie było to dla niej znowu aż takie ważne, jako że nie przypuszczała, iż siostra mogłaby podczas tych samotnych wypadów spotkać Leydena.

Gonda więc teraz mogła dosiadać konia, kiedy tylko chciała, nawet gdy nie towarzyszył jej ojciec, z którym zresztą prawie każdego ranka objeżdżała pola.

## 11

---

W czasie tych samotnych konnych przejażdżek Gonda często myślała o przyjacielu z dzieciństwa, Georgu. Teraz, kiedy zdołała już się jako tako przyzwyczaić do życia w zamku Santen i przetrwać różne ciężkie chwile, mogła poświęcić mu więcej uwagi.

Od momentu rozstania dostała od niego zaledwie dwa listy, które odbyły długą drogę, zanim trafiły do jej rąk. Z pierwszego listu wyczytała między wierszami, jak przyjaciel próbuje się zmusić do używania spokojnych, wyważonych słów, aby nie popaść w rozpacz. Drugi list, który nadszedł zaledwie przed paroma dniami, brzmiał:

*Moja droga, kochana Gondo!*

*Otrzymałem Twoje drogie listy. Zamknęłaś w nich siebie, a więc mogę sobie wyobrazić, że jesteś przy mnie, jako że tak wiele mówią. Nie będę Wam opisywał, jak się nimi cieszyłem, gdyż uznalibyście mnie za słabeusza. Gdy piszę te słowa, Wasze fotografie stoją przede mną. Spoglądam w Wasze kochane, bliskie mi twarze i mam uczucie, jakbym siedział między Wami w Dahomy, jak to często bywało. Mogę więc teraz z Wami rozmawiać, nie kryjąc tego, co mi leży na sercu. Mam nadzieję, że będę otrzymywał częściej Wasze listy, i jestem głęboko przekonany, że Ty, droga Gondo, nie czekając tego oto listu, już wyślesz następny z wiadomościami o Was. Jesteście już u celu i wkrótce usłyszę, jak się urządziliście w Niemczech. Przeżywacie tyle nowych rzeczy, mam zresztą nadzieję, że tylko dobrych. Ty, Gondo, mi wszystko opisziesz, prawda? Cieszę się już na samą myśl o tym!*

*O swoim życiu niewiele ciekawego mogę napisać. Niestety ciągle jeszcze nie czuję się najlepiej. Chociaż jednak nie doglądam plantacji, znalazłem inne zajęcie. Próbuję w tej chwili nieco uporządkować księgi rachunkowe ojca. To przysłowiowy groch z kapustą, nie mówiąc już o tym, że musiałem ojca nieledwie zmusić, aby pozwolił mi się nimi zająć. Teraz zatem wiem już co nieco o naszej sytuacji finansowej. Możesz sobie wyobrazić, jacy byli źli, gdy zebrałem się w sobie i energicznie zażądałem rozmowy. Jeśli ojciec ani razu nie odesłał pieniędzy przysłanych mi przez dziadka, to powinien był je przynajmniej zużyć na podźwignięcie gospodarstwa. Zagroziłem mu nawet, że napiszę do dziadka, aby już nie przysyłał pieniędzy, jeśli wszystkie nie zostaną przeznaczone na Ramovę.*

*Myślę, że ojciec trochę się mnie wstydzi, niestety nie mogłem mu tego oszczędzić. Tu u nas nic się nie zmieniło, wszystko wygląda tak jak dawniej, a Ramova z dnia na dzień podupada. Mam cię nadziei, że uda mi się zaprowadzić jaki taki porządek w księgach. Choć nie mogę się za wiele ruszać, to przynajmniej mam tę satysfakcję, że w jakimś stopniu jestem użyteczny tu, na miejscu. Gdybym się tylko poczuł zdrowszy, z miejsca zaprowadziłbym tu porządek, niestety moje biedne ciało mi w tym przeszkadza.*

*Wczoraj, a była to niedziela, pojechałem konno do Dahomy. Na pozór nic się tam nie zmieniło, a mimo to jest inaczej niż wtedy, gdy Wy tam mieszkaliście. W Waszym bungalowie mieszka zarządca plantacji, którego zatrudnił nowy właściciel. Sprawia on wrażenie silnego, energicznego człowieka, lecz nie nęci mnie, aby nawiązać z nim znajomość. Nie próbowaliśmy jeszcze się z nim kontaktować, chociaż moim krewnym też brakuje Waszego towarzystwa. Matka i ojciec czują się dobrze, Kurt także, ale to stara śpiewka, ja zaś tęsknię za świeżym powietrzem, inną aurą, jaką mogłem znaleźć tylko w Dahomy. Nie mówmy jednak o tym, co minęło.*

*Dziękuję Wam, moi najdrożsi, że zaznałem od Was tyle dobrego. Nigdy Wam tego nie zapomnę. Tak się cieszę, że mam Wasze zdjęcia, przynajmniej nie czuję się taki samotny. Mam wrażenie i wierzę w to, że Wasza miłość jest ze mną. Z tą świadomością co wieczór zasypiam.*

*Na dziś tyle. Co powinienem Ci jeszcze napisać, moja droga Gondo? Pozdrów, proszę, serdecznie ode mnie Twego drogiego, szanownego ojca. Tobie też życzę wszystkiego, co piękne i dobre. Bądź zdrowa, moja kochana Gondo!*

*Twój wierny przyjaciel Georg*

Gonda rozplakała się nad tym listem. Było w nim coś tak przytłaczającego i smutnego, jak pożegnanie na zawsze. Nie czuła się na siłach, aby od razu zasiąść do odpowiedzi, musiało minąć parę dni, zanim się trochę uspokoiła. Każde słowo

tego listu zdradzało, jak bardzo Georg za nimi tęskni. Przy obiedzie wręczyła list ojcu.

— Od Georga, papo. Tęskni za nami — powiedziała przelykając łyżę. Helga nadstawiła uszu i spojrzała badawczo na Gondę, jakby próbując

czegoś dociec. Nie spytała jednak o to, co ją zaintrygowało, za to w ciągu następnych dni uważnie przyglądała się siostrze.

Nadszedł wreszcie moment, kiedy Gonda postanowiła odpowiedzieć na list Georga. Wróciła z długiej konnej przejażdżki po lesie, przebrała się i zasiadła przy biurku. Pisała długi, utrzymany w serdecznym tonie list do przyjaciela, pocieszała go, próbując rozweselić. Dokładnie w chwili kiedy pisała ostatnie zdania, niespodziewanie wyrosła przed nią Helga.

— Nie przeszkadzam, Gondo?

— Nie, Helgo, usiądź, proszę. Skończę tylko ten list, aby jeszcze dziś mógł odejść.

Helga usiadła obok biurka i przyglądała się, jak Gonda kreśli ostatnie słowa, po czym wkłada do koperty kilka zapisanych po angielsku arkuszy.

—Dobry Boże, Gondo, ty przecież napisałaś całą powieść. Wolno mi spytać, z kim prowadzisz tak wyczerpującą korespondencję?

—To list do mojego przyjaciela, Georga Strassera, Helgo — odparła nie zastanawiając się Gonda.

Oczy Helgi zabłyśły.

—Zostawiłaś w Dahomy przyjaciela?

—Nie w Dahomy, Helgo, w sąsiedniej posiadłości, w każdym razie na Sumatrze. Opowiadałam ci, że moja mama przybyła na Sumatrę w charakterze wychowawczyni pewnego chłopca. Ten chłopiec, którego moja mama jeszcze przez długie lata potem uczyła, jako że serdecznie zaprzyjaźniła się z jego matką, to mój przyjaciel Georg.

—Ach tak! Jest starszy od ciebie?

—Tak, trochę. Ma teraz dwadzieścia cztery lata.

—Coś mi się zdaje, że ciężko zniósł rozstanie z tobą.

—Wyjątkowo ciężko!

—To nad jego listem płakałaś ostatnio, prawda?

—Tak, Helgo, przykro mi, że nie może tutaj przyjechać.

—Kochałaś go?

—Tak, Helgo, po papie był mi najbliższym człowiekiem i mam gorącą nadzieję, że wkrótce pójdzie w nasze ślady i przybędzie do Niemiec.

—Papa i ja zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby mu to umożliwić. Tak, list jest gotowy do wysłania. Co cię sprowadza do mnie?

Ze słów Gondy Helga wyciągnęła fałszywe wnioski, sądząc, że w przypadku siostry i tamtego Georga chodzi o zwykły związek miłosny. Może nawet w tajemnicy się zaręczyli? Musiała się tego dowiedzieć, mieć pewność, gdyż była to dla niej ze wszech miar istotna wiadomość. Myśl, że Gonda zdążyła już komuś oddać serce, nie może jej więc zagrażać w przypadku Hansa Leydena, była naprawdę kojąca. Helga objęła Gondę obiema rękami, co nie zdarzyło się od momentu ich pierwszego spotkania, i powiedziała z uśmiechem:

—Chciałam cię tylko zapytać, czy po obiedzie nie złożyłabyś wraz ze mną wizyty cioci Käthe. Nie byłam u niej już tak długo...

—Och, to ciocia się ucieszy! Ja co prawda byłam u niej przedwczoraj po śniadaniu, lecz ty jesteś tam rzadkim gościem, więc będzie szczęśliwa, gdy odwiedzimy ją razem.

—Pojedziemy do niej zaraz po obiedzie.

Gonda była prostolinijna, inaczej może by zapytała, dlaczego Helga nie powiedziała jej tego przy śniadaniu. Dziwne wydawało się tylko to, że przyszła do niej, jako że prawie nigdy nie zachodziła do jej pokoi. Gonda jednak zbyt się cieszyła, że siostra objęła ją z własnej woli, by się nad tym zastanawiać.



A Helga w rzeczywistości przysłała do niej dlatego, że dowiedziała się od przydzielonej Gondzie służącej, iż siostra jest u siebie i pisze listy. Helga była niezmiernie ciekawa, z kim to Gonda koresponduje, przypomniawszy sobie od razu, że siostra niedawno płakała nad listem od jakiegoś „Georga”. Te łyzy i list wydały jej się nader podejrzane, zatem chciała za wszelką cenę się dowiedzieć czegoś więcej o tym tajemniczym Georgu.

Gonda napisała do niego bardzo długi list, a więc musiała go bardzo kochać. Heldze wydało się to więcej niż prawdopodobne, że ten „przyjaciel” to kochanek lub narzeczony, z którym siostra potajemnie się zaręczyła, i przyniosło to ulgę jej udreżonemu zazdrością sercu.

W każdym razie chciała wierzyć, że Gonda jest zaręczona, postanowiła się też postarać, aby i doktor Leyden w to uwierzył. Miał się o tym dowiedzieć przy najbliższej okazji, oczywiście w wielkiej tajemnicy. Wtedy by już nie zaglądał tak ciepło w oczy Gondzie, musiałby przecież dojść do wniosku, że to nie ma sensu, i może przy okazji zrozumiałby, że właścicielka zamku Santen jest o wiele bardziej pożądaną partią niż jej siostra. Właśnie tak, bo Helga zauważyła, że Leyden za bardzo zajmuje się Gondą, gdy tymczasem jej, Helgi, miłość do niego gorąco domagała się wzajemności. Helga nie była przyzwyczajona rezygnować z tego, co wydało jej się godne uwagi, przekonana, że nie zniósłaby, gdyby wybrał towarzystwo Gondy, a nie jej.

Tak jak jej matka usidliła mężczyznę, którego kochała, tak i Helga była gotowa zrobić wszystko, aby zdobyć Hansa. Jej miłość miała w sobie coś z uporu źle wychowanego dziecka, które narzuca własną wolę innym. Wierząc w swe bogactwo i pozycję społeczną była święcie przekonana, że przywiedzie doktora Leydena do tego, iż ten zacznie się starać oficjalnie o jej rękę.

Ucieszona, że udało jej się odkryć domniemane zaręczyny Gondy, odnosiła się do niej życzliwiej. Zrobiłaby zresztą wszystko dla siostry, byleby tylko ta nie chciała jej zabrać mężczyzny, którego ona kochała i pożądała.

Coraz bardziej przyzwyczajając się do myśli, że Gonda jest zaręczona z tym Georgiem, wręcz musiała w to wierzyć. Na pewno wkrótce nadarzy się okazja, aby powiedzieć o tym Leydenowi, a wtedy ona będzie górą w tej grze.

Wmawiała sobie, że Leyden w ogóle by nie zwrócił uwagi na Gondę, gdyby ta go bezwstydnie nie kokietowała, widząc w poczuciu humoru u siostry i jej naturalności tylko chęć podobania się, nic więcej. A jeśli ta miała na Sumatrze kochankę, to było wręcz podłe z jej strony, że umizgała się do Leydena. Helga zrobi dobry uczynek, gdy otworzy mu oczy! Wtedy może zrozumie, że lepiej będzie, jeśli zacznie interesować się nią, Helgą. Ostatecznie ma przecież o wiele więcej do zaoferowania niż to małe stworzenie bez ogłady — córka guwernantki!

Przy obiedzie Gonda oznajmiła ojcu, że napisała do Georga.

—Chciałeś spróbować, drogi papo, wejść w posiadanie adresu dziadka naszego Georga, aby doprowadzić do pojednania między nimi. Coś mi podpowiada, że najwyższy czas to zrobić, jeśli mamy zdążyć mu pomóc. On jest chory z tęsknoty za nami, a jego stan zdrowia... Musimy coś dla niego zrobić, drogi papo, aby tak szybko, jak to możliwe, przybył na stałe do Niemiec.

—Tak, Gondo, nie myśl, że o tym zapomniałem — powiedział Klaus Ruthart — ale miałem tu tyle pracy, że nie mogłem myśleć o wyjeździe na parę dni, a bez tego przecież się nie obejdzie. Koniecznie muszę sam pojechać do Frankfurtu dla zebrania informacji. W najbliższych dniach postaram się to wreszcie załatwić, tym bardziej że i mnie samego to dręczy. Zakładam, że dziadek Georga mieszka niedaleko Frankfurtu. Hermann Strasser z pewnością nie jechał daleko, aby pojąć za żonę jego uprowadzoną córkę. Będę więc szukał starszego pana pod Frankfurtem i zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby go odnaleźć, znasz mnie przecież. Oczy Gondy promieniały szczęściem.

— Tak, papo, wiem! Bardzo się martwię o Georga, prześladuje mnie myśl, że umrze, jeśli się go w porę nie wyciągnie z Ramovy z jej przytłaczającą atmosferą.

Helga z najwyższym zainteresowaniem przysłuchiwała się rozmowie między ojcem i córką i doszła do wniosku, że Gondzie musi bardzo zależeć na ponownym połączeniu z Georgiem. Była już teraz prawie w stu procentach pewna, że siostra zaręczyła się potajemnie.

To wywołało w niej nowy przypływ życzliwości dla Gondy. Ojciec z radością przyglądał się, jak otoczyła ją ramieniem, kiedy wstawali od stołu, i rzekł do niej serdecznie:

— A teraz pojedziemy wszyscy razem do cioci Käthe i damy się zaprosić na herbatę. Jej kucharka piecze doskonale ciasteczka, które najlepiej smakują właśnie z herbatą.

Gonda była bardzo poruszona, że siostra okazała jej odrobinę uczucia, więc w przypływie radości objęła ją żywo i ucałowała. Ta co prawda jakby w tym momencie drgnęła, ale nic nie powiedziała, a nawet odwzajemniła pocałunek.

Ojciec przyglądał im się ze zdradzającym zadowolenie uśmiechem i radował się w głębi serca. Ostatnimi czasy zauważył, że Helga w swej szorstkości wobec niego jakby złagodniała, a niekiedy nawet odnajdywał w jej oczach coś jak cień dziecięcego zaufania.

Gondzie się uda, musi się udać, myślał usatysfakcjonowany.

Ciotka Käthe ucieszyła się bardzo widząc obie bratanice u siebie, i roześmiała się uradowana, gdy jej wytłumaczyły, że mają ochotę na małe ciastka, które tak dobrze piecze tutejsza kucharka. Niewymuszony sposób, z jakim tego dnia siostry odnosiły się do siebie, napawał ją nadzieją, że wszystko skończy się dobrze. Helga co prawda starała się nie być szorstka dla Gondy w obecności ojca czy ciotki, choć zwykle była sztywna i nieprzystępna, nigdy jednak jeszcze nie widzieli jej takiej miłej i łagodnej. Cieszyła się z tego Käthe, cieszył się jej brat.

Łobuzerski humor Gondy zdołał nawet rozśmieszyć jej siostrę, podwieczorek spożyto więc w wyjątkowo przyjemnym nastroju, co było rzeczą wręcz nie spotykaną, jako że Helga najczęściej mroziła wszystkich swą chłodną powściągliwością. Gonda jest małą czarodziejką, która nawet oschłe serce siostry potrafi napęlić życiem i radością, myślała pocziwa Käthe.

Po herbacie siostry wróciły na zamek, a ciotka przyrzekła przyjechać tam wieczór z doktorem Leydenem.

— Nie musicie mnie namawiać — oświadczyła ze śmiechem. — Siedzenie przy kolacji tylko we dwójkę nie bawi ani doktora, ani mnie. Przyzwyczailiśmy się przebywać w waszym towarzystwie.

Przybywszy wieczorem do zamku, ciotka Käthe i Hans Leyden zostali serdecznie przyjęci przez Helgę. Była bardziej ożywiona niż zwykle, a doktor Leyden spoglądał na nią z uśmiechem myśląc w duchu, jak bardzo Helga Ruthart zyskuje, jeśli choć trochę stara się wyjść naprzeciw innym. Helga zauważyła zresztą, że przypatruje się jej inaczej niż zwykle, i jej serce nie posiadało się z radości.

Gondzie tego dnia po raz pierwszy rzuciło się w oczy, że siostra wita Hansa Leydena serdeczniej niż pozostałych gości bywających od czasu do czasu na zamku. Odnosiła się do nich z chłodnym dystansem i żaden nie miał podstaw, aby sobie wmawiać, że jest przez nią faworyzowany. Właśnie z tego powodu garnęli się do promieniejącej życzliwą naturalnością Gondy, która była dziewczyną całkiem innego pokroju niż jej dumna siostra i wszystkich bez wyjątku traktowała życzliwie.

Tylko doktor Leyden zasłużył widać na względy jej wymagającej siostry i Gonda cieszyła się z tego naiwnie, nie mając pojęcia, ile jego osoba znaczy dla Helgi. Przed kolacją gawędzono jak zwykle. Leyden nie starał się przebywać w towarzystwie Gondy, nie poświęcał jej więcej uwagi niż innym, za to wodził za nią niemal nieprzerwanie oczami, a pod tym spojrzeniem serce w niej topniało. Były momenty, że czuła się naprawdę onieśmielona. Jeszcze nie wiedziała, dlaczego w jego obecności tak mocno bije jej serce, miała jednak wrażenie, że to, co do niego czuje, nie ma nic wspólnego z uczuciami, jakie kiedykolwiek żywiła wobec mężczyzny.

Co prędzej jednak wyśmiała w duchu owo dziwne onieśmielenie i była znowu bezpośrednia, tłumacząc sobie, że to wszystko dlatego, iż go bardzo, ale to bardzo lubi. Zdawała sobie sprawę, że jest szczęśliwa, kiedy znajdzie się w pobliżu patrząc na nią tak ciepło i serdecznie swymi szarymi oczami. Najchętniej rzuciłaby mu się wtedy na szyję, czuła jednak podświadomie, choć nikt jej na ten temat nie szepnął słowa, że to nie przystoi.

Za to Hans Leyden już zdążył zdać sobie sprawę, co czuje do Gondy Ruthart, niestety wiedział, że jeszcze bardzo długo nie będzie mógł myśleć o założeniu rodziny. Chociaż był na etacie, otrzymywał na razie skromną zapłatę, która jemu samemu co prawda starczała, ale za którą nie mógłby utrzymać żony. Był tego typu człowiekiem, że wydawało mu się niemożliwe, aby miał starać się o rękę Gondy nie mogąc zapewnić jej odpowiednich warunków. Pocieszał się jednak tym, że jest jeszcze bardzo młoda. Może zgodziłaby się na niego zaczekać? Czuł przecież, że ma u niej szansę, że nie jest jej obojętny. Tego dowodziły nagle zblednięcia i rumieńce na jego widok, drżenie dłoni i wyraz oczu.

Zdjął go prawdziwy lęk, gdy zauważył, że młodzi ludzie, z którymi spotykała się na zamku Santen, niekiedy też w domu swej ciotki, są nią zachwyceni i ubiegają się o jej względy, a uspokoił się dopiero wtedy, gdy się przekonał, że jej oczy błędząc po wszystkich obecnych rozpromieniają się naprawdę dopiero napotkawszy jego wzrok.

Ciotka Käthe też już zwiertzyła, że młody sublokator jest oczarowany jej młodszą bratanicą. Ta bystra, doświadczona przez życie kobieta potrafiła wyciągnąć słuszne wnioski z tysiąca pozornie nieważnych drobiazgów, a że bardzo ceniła Hansa Leydena, szczerze się z tego cieszyła. Poczynione spostrzeżenia zatrzymała jednak dla siebie, nie chcąc pochopną uwagą zniszczyć tego, co zaczęło kiełkować...

Za to uszło jej uwagi, że także Helga wita doktora Leydena wszystkim innym, tylko nie obojętnością. Helga nauczyła się skrywać swe uczucia, toteż ciotka nie miała pojęcia o zazdrości, jaka zagościła w jej sercu.

Tego wieczoru na zamku nie było innych gości. Po kolacji wrócono do salonu, gdzie stał elegancki krótki fortepian. Tu podano kawę, a Helga wykonała kilka utworów. Grała z dużą wirtuozerią, lecz w jej grze nie było uczucia. Zauważyli to wszyscy oprócz Gondy, która zachwycona przyglądała się rozszerzonymi z wrażenia oczami dłoniom siostry, które lekko i z wdziękiem wędrowały po klawiszach.

—Och, gdybym ja tak potrafiła! — westchnęła któregoś dnia.

—Nie umiesz grać na fortepianie, Gondo? — spytała z wyższością Helga.

—Niestety nie, w Dahomy nie było fortepianu, a kiedy śpiewaliśmy, mama, papa i ja, wtórowałam nam wszystkim na lutni. To mama nauczyła mnie na niej grać.

—Masz jeszcze tę lutnię? — spytała pani Laßwitz.

—Oczywiście, ciociu Käthe, zawsze sobie na niej wtóruję, kiedy mam ochotę pośpiewać.

—W takim razie musimy cię kiedyś posłuchać.

Gonda nie potrafiła się na to zdecydować, nie przyzwyczajona grać i śpiewać w obecności obcych. Jej jedynymi słuchaczami byli dotychczas rodzice i Georg.

Tego dnia Helga grała z wielką wprawą Chopina i Liszta i oczywiście zebrała brawa. Dumna ze swoich zdolności muzycznych i przekonana, że pod tym względem Gonda nie potrafi jej dorównać, powiedziała skończywszy:

— Teraz ty, Gondo, mogłabyś ucieszyć nas swym śpiewem. Widziałam dziś przed południem w twoim pokoju lutnię, co mi przypomniało, że nie tylko umiesz grać, ale i śpiewać. Zaraz każę ją znieść tu na dół.

Nie zważając na protesty przerażonej Gondy poleciła pokojówce przynieść lutnię.

Gonda, speszona jak nigdy, broniła się jeszcze.

—Och, Helgo, zblamuję się, jeszcze nigdy nie występowałam.

—Ależ my będziemy bardzo radzi mogąc pani wysłuchać — rzekł dwornie Hans Leyden.

Spojrzała na niego żałośnie.

—Obawiam się, że nie będę zdolna wydobyć z siebie jednego przyzwoitego dźwięku — westchnęła. Wyglądała przy tym tak uroczo, że najchętniej porwałby ją w ramiona i dodał otuchy. Ciotka Käthe perswadowała, że nie ma powodu się bać, że wszystko dobrze pójdzie, przecież są w swoim gronie, a ojciec rzekł z uśmiechem głaskając ją po głowie:

—Nie ma powodu, abyś nie wystąpiła, Gondo. Przecież wszyscy wiemy, że nie jesteś primadonna, a na użytek domowy śpiewasz bardzo ładnie, zapewniam cię. Może jestem jako twój ojciec nieco stronniczy w ocenie, ale ręczę ci, że nikt nie ucieknie. Musisz tylko opanować treść, a wszystko pójdzie dobrze. Zaśpiewaj na początek kilka malajskich pieśni ludowych, do których sama ułożyłaś akompaniament. To będzie dla twych

słuchaczy czymś nowym.

Uśmiechnęła się mężnie do ojca.

— Jeśli się zblamuję, moja klęska stanie się także twoim udziałem, papo.

Tymczasem wróciła pokojówka z lutnią, Gonda więc, nie mając wyboru, zebrała się na odwagę, usiadła na taborecie i dla próby przeciągnęła palcami po strunach. Potem nieco stremowana spojrzała na doktora Leydena i rzekła błagalnie:

— Ale proszę się ze mnie nie wyśmiewać!

Potrząsnął bez słowa głową. Jakże zachwycająca była w swoim zażenowaniu!

Lutnia miała miękki, głęboki ton. To był bardzo dobry instrument, co przy-słuchujący się z miejsca zauważyli. Gonda nieśmiało odegrała przygrywkę, po czym zaczęła śpiewać; zrazu bardzo cicho, lecz z każdą sekundą coraz głośniej i pewniej. Na początek wybrała malajską kołysankę, czułą i osobliwie nastrojową, która od razu podbiła serca obecnych, choć nie rozumieli słów. Po jej skończeniu, nie czekając, aż ktoś cokolwiek powie, zaczęła przygrywkę do następnej pieśni. Była to pieśń miłosna i brzmiała jeszcze bardziej zniewalająco niż pierwsza.

Miękki mezzosopran Gondy nie był wyjątkowo silny, lecz za to niezwykle czysty i ujmujący. Skończywszy zdjęła rękę ze strun i po raz pierwszy podniosła oczy. Wyraz twarzy Leydena tak ją oszołomił, że co prędzej na powrót spuściła głowę. Jego wzrok wyrażał najwyższy zachwyt.

— Ładnie śpiewałaś, Gondo, co za piękne pieśni! — zawołała ciotka Käthe chwytając bratanicę w objęcia i całując.

— Naprawdę ci się podobało, ciociu?

— Jak możesz zadawać takie pytania! To brzmiało bosko! Szkoda, że nie rozumieliśmy słów. Możesz nam je przetłumaczyć?

Gonda roześmiała się i ukradkiem zerknęła na doktora Leydena czując, że w żadnym wypadku nie może tłumaczyć przy nim słów miłosnej pieśni. Przełożyła więc tylko kołysankę, kwitując drugi utwór stwierdzeniem, że nie da się jego tekstu przełożyć na niemiecki, gdyż wtedy brzmiałby pospolicie.

Zdziwiona, że jej proste piosenki wywołały taki aplauz, ponownie ujęła lutnię. Tym razem, wyzbywszy się strachu, odśpiewała parę niemieckich pieśni ludowych, które szczególnie nadawały się do śpiewania przy wtórze lutni.

Helga była jedyną, która zamknęła się przed tym słodkim, jasnym głosem w zazdrosnym gniewie. Widziała, że Leyden nie odrywa oczu od siostry, zasłuchany w śpiewane przez nią pieśni. Teraz była zła na siebie, że wyzwała Gondę na pojedynek. Chciała jej zgotować klęskę, a pomogła odnieść prawdziwy sukces. Jej samej nigdy nie udało się wywołać takiego nastroju swą perfekcyjną grą na fortepianie, tak jak to uczyniła Gonda paroma skromnymi piosenkami.

Käthe żywiłowo obejmowała Gondę obsypując jej twarz pocałunkami. Hans Leyden też był głęboko poruszony, a ponieważ nie mógł mówić głośno o tym, co grało w jego duszy, podszedł do wielkich oszklonych drzwi i wyszedł na taras. Gonda patrzyła za nim z pewnym rozczarowaniem, spodziewając się od niego ciepłych słów. Nie mogła pojąć, dlaczego ciotka tak bardzo zachwyca się jej śpiewem, przekonana, że to tylko jej dobre serce każe szeptać dziewczynie słowa zachęty. Helga nic nie powiedziała na temat jej gry i śpiewu. Zresztą po co? Sama była mistrzynią w grze na fortepianie, jakże więc śmiesznie żalosne musiały się jej wydawać pospolite piosenki Gondy i jej niewprawne brzdąkanie na lutni! Biedna, nie miała pojęcia, że zgotowała słuchaczom prawdziwą ucztę.

Ojciec, widząc, że nie jest z siebie zadowolona, powiedział parę uspokajających słów:

—Możesz być zadowolona, Gondo, to bardzo ładnie brzmiało, mówię prawdę.



—Możesz być zadowolona? Ładnie brzmiało? Nie bądź taki skąpy w pochwałach, mój drogi bracie — ofuknęła go siostra. — Ja jestem po prostu zachwycona i życzę sobie jak najczęściej słuchać Gondy.

Ojciec i ciotka Käthe tak byli pochłonięci Gondą, że ani oni, ani sama Gonda nie zauważyli, iż Helga wyszła na taras, a widząc wspartą na poręczy szczupłą postać Leydena co prędzej przystąpiła do niego.

— Cudowny wieczór, panie doktorze, widzi pan to usiane gwiazdami niebo?  
— zagadnęła półgłosem.

Drgnął, gdyż zatopiony w myślach nie słyszał jej kroków.

— Właśnie się nim rozkoszuję, łaskawa pani.

—Moja siostra uroczo śpiewała, prawda?

—Naprawdę uroczo — potwierdził stłumionym głosem.

—A tak długo wzdragała się przed sprawieniem nam tej przyjemności — ciągnęła Helga. — Trzeba ją jednak zrozumieć. Do tej pory nigdy nie śpiewała przed obcymi, a jedynymi jej słuchaczami byli rodzice i... narzeczoncy.

Zatrząśł się jak rażony gromem, zaraz jednak siłą woli odzyskał panowanie nad sobą.

—Narzeczoncy? Nie wiedziałem, że pani siostra jest zaręczona.

—Tak, to jest poniekąd tajemnica rodzinna, ale że jest pan jakby przybrany synem cioci Käthe i przez to niejako należy pan do rodziny, mogę spokojnie to panu zdradzić, nie bojąc się, że pan to rozpowie. Narzeczoncy mojej siostry jest jeszcze na Sumatrze, ale za jakiś czas ma tu przyjechać. Gonda jest naturalnie bardzo nieszczęśliwa. Ostatnio nawet płakała z tęsknoty nad otrzymanym od niego listem. Jest tam jeszcze kilka drobnych przeszkód, lecz i one wkrótce zostaną przezwyciężone. Do tego jednak czasu cała rzecz powinna zostać w ukryciu.

—Jestem bardzo zobowiązany, łaskawa pani, że mi to pani raczyła powiedzieć. To... to naturalnie bardzo mnie interesuje — wybąkał zduszonym głosem.

—Jak już powiedziałam, panie doktorze, właściwie należy pan do rodziny. Niechże pan spojrzy, jak wyraźnie odcina się sierp księżycy od nasyconego granatu nieba — szepnęła, po czym natychmiast zmieniła temat, sądząc, że powiedziała dość. Jej serce nieledwie chciało wyskoczyć z piersi.

—Tak, powietrze musi być bardzo czyste — odparł pozornie obojętnym tonem.

—Nie chce pan wejść do środka? Jest dziś dość chłodno.

—Jeśli pani pozwoli, zostanę tu jeszcze parę minut rozkoszując się spokojem nocy — odparł z kamienną twarzą.

—Proszę sobie nie przeszkadzać, ja jednak wrócę do salonu, bo trochę zmarzłam.

Skłonił się grzecznie, lecz nie zdobył się już na żadne słowo. Ojciec i ciotka Käthe dalej gawędzili z Gondą. Helga, cokolwiek blada z emocji, opadła na stojący nie opodal fotel.

— A gdzież to jest nasz doktor? — spytała rozglądając się Käthe. W oczach Gondy było to samo pytanie.

— Stoi na tarasie i podziwia księżyc. Nie przeszkadzajmy mu, za chwilę tu wróci — wyjaśniła z uśmiechem Helga, po czym wdała się w rozmowę z rzadkim u niej ożywieniem. Wydawało jej się, że musi dać Leydenowi czas na otrząśnięcie się z wrażenia.

Ten zaś stał w ciemnościach wpatrując się w kamienną statwę Diany zdobiącą balustradę tarasu. Próbował się uporać z gorzkim rozczarowaniem, jakie sprawiły mu słowa Helgi. Gonda zaręczona! Wydało mu się to nieprawdopodobnym nieszczęściem. Gonda narzeczoną innego — mogłoż tak być? Pewnie tak. Nie miał odwagi wyznać jej miłości, gdyż na razie nie mógł jej zapewnić wolnego od trosk życia u swego boku. Jak dobrze, że tego nie zrobił! Musiałby wtedy usłyszeć, że ona należy już do kogo innego, ona, taka młoda, jest związana słowem.

Jak bardzo ją kochał, zdradzał dojmujący ból, który rozsadzał mu pierś. Czuł, że potrwa to długo, zanim przewycięży rozczarowanie, przepędzi z serca wszystkie słodkie nadzieje.

Stał przez chwilę bez ruchu, jak sparaliżowany, niezdolny zebrać myśli, wreszcie wyprostował się. Nie wypadało tkwić tak długo na tarasie, w samotności, pozbawiając gospodarzy swego towarzystwa. Co sobie o nim pomyślą?

Przywoławszy na pomoc wszystkie siły i zmusiwszy się do uśmiechu wrócił do salonu nie zdając sobie sprawy, że jest śmiertelnie blady.

— Moi państwo, jakie wspaniałe wygwieżdżone niebo! — zawołał siląc się na wesołość.

Jego bladość nie uszła jednak uwagi pani LaBwitz.

— Kochany doktorze, podziwiając niebo gotów się pan jeszcze nabawić kataru. Wygląda pan na przemarzniętego.

— Na dworze jest trochę chłodno — odparł z wymuszonym uśmiechem — ale kataru nie będzie, bo jestem zahartowany.

Helga przyglądała mu się pałającymi oczami, a że żartował i śmiał się, odcznęła skrycie. Widocznie to, co opowiedziała mu o Gondzie, aż tak bardzo go nie dotknęło. Może zresztą się myliła, przypuszczając, że Gonda podoba mu się bardziej niż ona sama. To przekonanie jeszcze się w niej umocniło, gdy w miarę upływu wieczoru rozmawiał wesoło prawie wyłącznie z nią, poświęcając jej więcej uwagi niż zwykle. Wydawał się być w radosnym nastroju i gawędził z ożywieniem. Helga nie miała pojęcia, ile go kosztuje ta pozorna wesołość, zadowolona, że odciągnęła go od Gondy.

Nie patrzył na jej siostrę, praktycznie rzecz biorąc nie zamienił z nią po powrocie do salonu jednego słowa.

Gonda zrazu nic nie zauważyła, w którymś momencie jednak zwróciła uwagę, że nie szuka jej tak jak dawniej z ciepłym błyskiem oczu, lecz przeciwnie, odwraca wzrok, gdy ona na niego patrzy. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, popatrzył na nią tak zimno i bez zainteresowania, że skurczyła się w sobie, a gdy go

zagadnęła, udzielił krótkiej, oficjalnej odpowiedzi, po czym znowu zwrócił się do Helgi.

Gonda była zdumiona i przerażona zarazem. Ściagała go trwożnym wzrokiem, a kiedy popatrzył na nią chłodno, spokojnie, jakby jej nie widząc, przyłożyła rękę do serca, pragnąc uspokoić jego nierównomierne bicie.

Dlaczego tak bardzo ją to bolało? Z jakiego powodu patrzył na nią inaczej niż przedtem? Czyżby się na nią gniewał? I za co?

Odprawiała go smutnym spojrzeniem, kiedy pożegnawszy się z nią oficjalnie wychodził z ciotką Käthe, po czym powiedziała ojcu i Heldze dobranoc i udała się do swego pokoju. Gdy została sama, opadła na fotel wybuchając łzami. Dlaczego doktor Leyden tak dziwnie się odniósł do niej, kiedy z pobladłą twarzą wrócił z tarasu? A w ogóle po co tam wyszedł? Długo łamała sobie nad tym głowę nie znajdując odpowiedzi. Naraz coś jej przyszło na myśl. Być może to śpiewane przez nią pieśni wydały mu się głupie i bał się, że znowu zacznie się nimi popisywać. O nie, nie potrzebował się lękać, już nigdy to się nie powtórzy. Najlepiej, jeśli mu to powie, kiedy zostanie z nim sama. Inni nie muszą tego słyszeć, jeszcze by ją wyśmiali.

Ach, gdybyż nie dała się namówić! Ale jeśli poprosi go o wybaczenie, on zapomni o jej niefortunnym występie i znowu będzie dla niej miły.

Podniosła się z westchnieniem i zaczęła przygotowywać do snu, aby potem, w nocy, widzieć ciągle przed sobą jego pobladłą twarz. Rano udręka powróciła, choć Gonda sobie powtarzała, że przecież doktor Leyden nie może się na nią wiecznie gniewać...

Minęło kilka dni. Ku wielkiemu zmartwieniu Gondy doktor Leyden zachowywał się wobec niej nader oficjalnie, coraz więcej uwagi natomiast poświęcał Heldze. Gonda była zdumiona; widząc, jak bardzo zmienia się twarz siostry, gdy rozmawiają. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zniknęła jej chłodna duma, oczy nabierały ciepłego blasku, wokół ust igrał miękki, czuły uśmiech, a rysy łagodniały. Nie miała pojęcia, że Helga robi wszystko, aby przywiązać do siebie Leydena i że on owszem, przysłuchuje się jej grzecznie, lecz najczęściej błędzi myślami przy niej, Gondzie. Czuła się tak nieszczęśliwa z powodu jego nagle odmienionego sposobu bycia, że z trudem powstrzymywała się od łez.

W jego oczach na jej widok już nie pojawiał się błysk, który ją tak przecież uszczęśliwiał. Zimno i beznamietnie patrzył na nią, jakby jej nie widząc, choć nie przepuścił żadnej okazji spotkania. Najwyraźniej nie docierało do niego, że jest blada i smutna, nie widział, że boi się wręcz do niego odezwać. Niestety ani przez moment nie zdarzyło im się być samym, nie mogła więc spytać go o powód tej odmiany. W obecności innych nie odważyłaby się zagadnąć go o to, zresztą nie była pewna, czy nie zostałyby to poczytane jako wykroczenie przeciwko dobremu obyczajom.

Tak zadręczała się Gonda, zadręczał się także Hans Leyden. Musiał zauważyć, że ona patrzy na niego pytająco, z bezbrzeżnym smutkiem w oczach, i mówił sobie w duchu, że nie ma prawa czynić jej wyrzutów. Ale nie mógł inaczej, musiał się skryć za tą chłodną uprzejmością, w przeciwnym razie by się zdradził.

Oboje nie przypuszczali, że zadręczają się na próżno, za to przez tę potajemną udrekę ich miłość stawała się jeszcze silniejsza i głębsza, choć tak po prawdzie Gonda ciągle nie była pewna charakteru swych uczuć wobec doktora. W niedzielę, a więc w tydzień po wizycie doktora Leydena na zamku, która wszystko zmieniła, Klaus Ruthart wybrał się na poszukiwanie adresu dziadka Georga. Zaraz po śniadaniu pojechał do Kassel, aby zdążyć na południowy pociąg do Frankfurtu, co umożliwiłoby mu rozpoczęcie poszukiwań już w poniedziałek rano.

Kiedy ojciec wyjechał, Helga zamknęła się w swoim pokoju i zabrała do pisanja listów, Gonda natomiast kazała sobie osiodłać konia. Postanowiła odbyć kilkugodzinną przejażdżkę, w nadziei, że może przez to zrobi się jej lżej na duszy. W pierwszej chwili miała ochotę pojechać do ciotki Käthe, zaraz jednak przypomniały jej się słowa Helgi, że nie wypada bywać tam w niedziele, jako że doktor Leyden jest wtedy w domu i mogłyby z tego wyniknąć niepotrzebne plotki. Zresztą tak czy tak nie chciała go wypytywać w obecności ciotki, co ma przeciwko niej, takie spotkanie zatem też by niczego nie zmieniło.

Pograżona w smutnych rozmyślaniach jechała przez nęcący młodą zielenią las, puściwszy koniowi wodze. Z zamyślenia otrząsnęła się dopiero w momencie, gdy zauważyła, że przejeżdża obok posiadłości należącej do wuja doktora Leydena. Ze ściśniętym sercem obrzuciła wzrokiem ładną rezydencję otoczoną parkiem, zmuszając konia, by szedł stępa. W chwili kiedy mijała bramę, ta się otworzyła i wyszedł z niej Hans Leyden.

Spojrzeni na siebie wielkimi ze zdziwienia oczami. Gonda zatrzymała konia. Przysięgłaby, że w oczach Leydena na jej widok zabłysła radość, zaraz jednak zmusił się do przybrania oficjalnego wyrazu twarzy.

—Dzień dobry, panie doktorze! — powiedziała nieśmiało.

—Dzień dobry, łaskawa pani. Już na przejażdżce?

—Tak. W niedziele wyjeżdżam zawsze razem z papą, ale on dziś udał się do Frankfurtu. Moja siostra też nie miała ochoty mi towarzyszyć, wybrałam się więc sama, jak zresztą często to robię — wyjaśniła patrząc na niego badawczo, a zarazem pytająco.

Odwrócił wzrok, włożył kapelusz i rzekł pospiesznie:

— Nie chciałbym pani zatrzymywać.

Podniosła zdecydowanym ruchem rękę, czując, że taka okazja nieprędko się nadarzy.

— Chwileczkę, panie doktorze — zaczęła drżącym głosem. — Z pewnością wraca pan przez las, czyż nie tak?

Skłonił się w milczeniu. Wydało jej się, że w jego twarzy dostrzega niecierpliwość, mimo to odważnie brnęła dalej:

— A więc pozwoli pan, że pójdę z nim. Mam... mam ochotę się przejść". Zanim zdążył coś powiedzieć, zeskoczyła z siodła i stanęła obok niego

oddychając głęboko.

Najchętniej by uciekł od jej błagalnych oczu, które go tak niepokoiły, lecz to byłoby niegrzeczne i obraźliwe, powiedział zatem tylko w tak opanowany sposób, na jaki umiał się zdobyć:

— Bardzo proszę.

Szli milcząc obok siebie. Gonda prowadziła konia za uzdę. Dopiero po chwili spytała próbując nawiązać rozmowę:

—Był pan w domu wuja?

—Tak, życzył sobie, abym coś przekazał jego inspektorowi.

—Mam nadzieję, że czuje się lepiej.

—Niestety nie, pisze nawet, że jest z nim coraz gorzej, myślę jednak, że on to sobie tylko wmawia.

Znów zapadła niezręczna cisza. Raptem Gonda zastąpiła mu drogę i spojrzała na niego lśnącymi od łez oczami.

— Panie doktorze, już nigdy tego nie zrobię! — oświadczyła drżąc z przejęcia.

Spojrzał zaskoczony w jej wyrażające niemą prośbę oczy.

—Czego pani nie zrobi? — spytał nie rozumiejąc.

—Nie będę więcej śpiewać i grać na lutni.

—Dlaczego?

—Ponieważ musiało to być takie straszne, że pan uciekł na taras i od tego czasu jest pan na mnie zły, a nie taki jak kiedyś.

Westchnął ciężko, zsuwając kapelusz na tył głowy, jakby było mu gorąco. Nie pojmował, czego Gonda od niego chce i dlaczego tak na niego patrzy.

—Ja? Ja mam być zły na panią? Skąd pani to przyszło do głowy?

—O, niech pan nie zaprzecza. To nie mogło być nic innego. Długo o tym myślałam, zastanawiając się, co takiego mogłam panu zrobić, i doszłam do wniosku, że winien temu mógł być tylko mój śpiew, gdyż dokładnie od tego momentu tak pan się zmienił w stosunku do mnie. Od razu sobie pomyślałam, że nie mógł się panu podobać, w dodatku po wspaniałej grze Helgi. Bałam się tylko, że mogę się zblamować, lecz nie myślałam, że pan będzie na mnie zły. Inaczej z pewnością bym nie śpiewała.

Nie miała pojęcia, jak jest urocza w swej skrusze i bezradności. Na powrót owładnął nim ostry ból, gdy uświadomił sobie po raz któryś z rzędu, że jest dla niego stracona, mimo to zmusił się do spokojnej odpowiedzi:

— Pani jest w błędzie, nie gniewam się na panią, naprawdę się nie gniewam. Pani śpiew był wspaniały... chyba wolno mi o tym mówić. A to, że wyszedłem po pani występie na taras, to dlatego, że śpiewane przez panią pieśni poruszyły mnie do głębi i czułem, że nie mogę z nikim o tym mówić. Najchętniej słuchałbym pani jeszcze dłużej.

Potrząsnęła bezradnie głową.

— W takim razie co spowodowało, że pan się na mnie gniewa? Odnosi się pan do mnie inaczej niż z początku, tak chłodno i oficjalnie... Kiedyś nie tak pan na mnie patrzył.

Przemógł się. Tutaj mogła pomóc tylko prawda. Ze zdradzającym bólem wyrazem twarzy zajrzał jej w oczy.

— Dobrze, powiem pani. Nie wolno mi na panią patrzeć tak jak wcześniej, bo tymczasem, właśnie owego wieczoru, dowiedziałem się, że jest pani zaręczona.

Spojrzała na niego zdumiona nic nie rozumiejąc.

— Zaręczona? Ja? A z kim niby miałabym być zaręczona?



— Tego nie wiem. Dowiedziałem się tylko, że pani narzeczony został na Sumatrze, że pani za nim tęskni i chce jak najszybciej ściągnąć go do Niemiec. I że... że pani płakała nad jego listem.

Oddychała ciężko drżąc na całym ciele.

—Kto panu to powiedział? Jego oczy płonęły niepokojem.

—Pani siostra.

—Helga? — Gonda nie posiadała się ze zdumienia. Roześmiała się raptem, jakby uwolniona od koszmaru.

—I dlatego pan się na mnie gniewa?

— To nie ma nic wspólnego z gniewem. Po prostu jest mi smutno. Niestety muszę się tego trzymać. Jeśli... jeśli pani jest zaręczona, to... ale nie, nie ma o czym mówić.

W jej oczach płonęły teraz figlarne ogniki, które tak lubił.

— Panie doktorze, moja siostra jest w błędzie, utrzymując, że jestem zaręczona. List, nad którym płakałam, napisał mój przyjaciel z lat młodości, Georg. Wzrastaliśmy razem jak brat i siostra i kocham go, jak siostra kocha brata. On... on jest bardzo nieszczęśliwy, a wszystko z powodu złych stosunków rodzinnych. Papa i ja jesteśmy jedynymi ludźmi, których kocha i którzy kochają jego. O tak, płakałam nad jego ostatnim listem. Georg jest ciężko chory, a przy tym bardzo nieszczęśliwy. Lękam się, że nigdy nie wyzdrowieje, jeśli natychmiast nie zmieni klimatu. Rzecz w tym, że trzeba mu pomóc, bo inaczej nigdy nie wyjedzie stamtąd. A pomoc mu można tylko wbrew jego woli, ponieważ jest na to za dumny, aby cokolwiek przyjąć. Papa właśnie w jego sprawie pojechał dzisiaj do Frankfurtu, chce za wszelką cenę znaleźć jego dziadka, który mógłby się nim zająć. Mejsiostrze powiedziałam tylko, że go bardzo lubię i że on za nami tęskni, a my chcielibyśmy, aby jak najszybciej przyjechał do Niemiec. Widocznie źle zrozumiała. Ani jednym słowem nie napomknęłam, że miałabym być zaręczona z Georgiem. To przecież nonsens. Zawsze żyliśmy jak rodzeństwo. On by się śmiał, gdyby usłyszał, że jakoby jestem z nim zaręczona, a ja... ja też bym umierała ze śmiechu, gdyby nie było mi tak przykro, że pan z tego powodu jest

na mnie zły. Jeślibym miała być zaręczona, obojętne z kim, to... nie, nie powiem, to być może uwłaczałoby dobrym obyczajom. Proszę mi pomóc, doktorze, pan przecież wie, o czym młodej kobiecie wolno mówić, a kiedy powinna milczeć. I proszę się na mnie już nie gniewać.

Oszołomiona, ciężko dysząc po przeżytych uniesieniu, wpatrzyła się w niego błagalnie i, o dziwo, stwierdziła, że znowu spogląda na nią z niewymowną czułością. Ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek, doznając w tym momencie olśnienia, dlaczego Helga tak mu to wszystko przedstawiła. Nie mógł uwierzyć, że miałyby to być pomyłka, jej słowa nie miały w sobie nic z przypuszczenia. Co więcej, aż nadto rzucało się w oczy, jak od tamtego wieczoru zabiega o jego względy. Musiała chyba się domyślić, jak droga jest mu Gonda, chciała go więc za wszelką cenę od niej odciągnąć.

Westchnął głęboko, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

— Panno Gondo, nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwy z powodu tego, co przed chwilą usłyszałem. Niestety nie wolno mi wszystkiego powiedzieć, zapewniam jednak panią, iż bardzo mnie bolało, że muszę zmienić swój stosunek do niej, więc jestem teraz nad wyraz szczęśliwy, że mogę się odnosić do pani tak jak dawniej. Dziękuję, serdecznie dziękuję, że miała pani odwagę zapytać mnie o powód mego względem niej zachowania.

Spojrzała na niego odrobinę zaskoczona.

— Bogu dzięki, znowu widzę przyjaźń do mnie w pańskich oczach. To mnie bardzo, ale to bardzo cieszy. Proszę mi jednak wyjawić przyczynę tego całego nieporozumienia. Może powiedziałam coś głupiego, byłam zbyt bezpośrednia lub niezręcznie się zachowałam?

Spojrzał na nią miękko.

—Ależ skąd, niech Bóg zachowa pani bezpośredniość!

—Moja siostra mnie zwymyśla, kiedy jej powiem o wszystkim.

—Najlepiej będzie — rzekł przyglądając jej się w zamyśleniu —jeśli pani przemilczy to przed nią.

—Przecież muszę jej wytłumaczyć, że nie jestem zaręczona! — rzuciła porywczo.

—Proszę tego nie robić, ja... ja właściwie nie powinienem był o tym mówić, co mi powiedziała.

W oczach Gondy pojawił się porozumiewawczy błysk.

— Więc panu też zdarza się zrobić coś nie tak? Potrząsnął głową.

— Nie chciałbym ściągnąć na siebie gniewu pani siostry, zatem proszę usilnie, by pani jej nie zdradziła nic z tego, o czym tutaj rozmawialiśmy.

Wiedział, że tylko w ten sposób skłoni ją do milczenia, przekonany, że w żadnym wypadku nie można powiedzieć o tym Heldze. Gonda patrzyła na niego z pewnym niezdecydowaniem.

— Staram się nie mieć tajemnic przed Helgą, panie doktorze, nawet wtedy, gdy wiem, że mogę spodziewać się nagany. Ze względu na pana jednak przyrzekam, że nie pisnę słówka, nie chcę, żeby się na pana złościła, choć tak po prawdzie nie wierzę, by tak było. Przecież sam pan napomknął, że to musiała być pomyłka z jej strony. Jeśli jej tego nie wytłumaczę, będzie myślała, że naprawdę jestem zaręczona.

Jemu samemu wydawało się to wątpliwe, czy Helga rzeczywiście wierzy w zaręczyny siostry, lecz nie chciał tego powiedzieć Gondzie.

—Niech pani ją zostawi w tym mniemaniu, dopóki sama się nie przekona, że była w błędzie.

—Tak, najważniejsze jest to, że pan wie, jak się mają sprawy — powiedziała z lekkim uśmiechem.

Najchętniej wziąłby ją w ramiona, tak słodka mu się wydała zdradzając mu tak wiele w swej prostocie serca. Czuł się taki szczęśliwy! Gdybyż mógł jej wyznać swą miłość! Na razie jednak nie wolno mu było tego powiedzieć, pocieszał się tylko tym, że ona jest jeszcze bardzo młoda i że jego sytuacja finansowa może się poprawić. Jeśli jego przełożeni będą zadowoleni z jego pracy, z pewnością może liczyć na awans, a wtedy mógłby już myśleć o założeniu rodziny. W każ-

dym razie przynajmniej wiedział, choć tego nie wyznała, że odwzajemnia jego uczucia. Może zresztą ona sama nie rozeznała się jeszcze w stanie swych uczuć jak on. Gonda nie miała pojęcia, że jej zachowanie ją zdradziło. Jej naturalna otwartość i szczerłość sprawiały, że nie przyszło jej do głowy kryć się za maską kokietki.

— Tak, to najważniejsze — powtórzył oddychając z widoczną ulgą, a jego serce było znów lekkie i radosne.

Roześmiała się zrzucając ciężar z serca.

— Mój Boże, tak się cieszę, że jest pan taki jak dawniej.

— Najchętniej sam siebie bym wychłostał, że pozwoliłem pani w to wątpić. Niestety nasz kodeks postępowania zabrania wszelkiej poufałości w stosunku do kobiety, która należy do innego mężczyzny.

— Tak powinno być — skinęła z pełnym powagi zrozumieniem.

— Dlatego proszę mi wybaczyć... — dodał cicho.

— To było straszne! — westchnęła, aby zaraz się roześmiać. Poszedł w jej ślady i szczęśliwi patrzyli sobie teraz w oczy, a Hansowi Leydenowi z najwyższym trudem przyszło pozostać rozsądnym i nie zamknąć tego „złotego stworzenia”, jak nazywała Gondę pani LaBwitz, w ramionach, by złożyć na jej wargach gorący pocałunek. Z jaką rozkoszą szeptałby jej słodkie słowa, które każdy zakochany ma pod ręką. Ale i tak był bezgranicznie szczęśliwy...

Nie myślał wcale o tym, czy Gonda jest bogata, czy biedna, choć doskonale wiedział, że na pewno nie jest tak majątna jak jej dumna siostra. Poślubiając panią na zamku Santen, poślubiłby zarazem wielkie bogactwo. Ale jakże miał zakochać się w Heldze, skoro w pobliżu była Gonda, ta zachwycająca, słodka, mała Gonda, godna uwielbienia, rozkosznie niedoświadczona mała Gonda, która nawet nie przypuszczała, że przed chwilą złożyła najmilsze jego sercu, najbardziej porywające wyznanie miłosne?

O czym później rozmawiali, sami pewnie nie umieliby powiedzieć, najważniejsze bowiem było, że są razem i czują się niewypowiedzianie szczęśliwi, że

wspaniale świeci słońce i że świat naokoło jest taki piękny! Obojętne im było, czy roztrzásają głąbokie mądrości życiowe, czy też mówią o głąpstwach.

Spacerowali tam i z powrotem tą samą ścieżką leśną, nie chcąc nawet myśleć o rozstaniu. Dopiero Gonda, rzuciwszy okiem na zegarek, opamiętała się.

— Muszę wracać do domu, inaczej Helga mnie skrzyczy — rzekła trwożliwie.

Pomógł jej wskoczyć na siodło, a jej to sprawiło przyjemność, choć Przecież zawsze świetnie sama dawała sobie radę.

—Do widzenia, panie doktorze! Proszę pozdrowić ode mnie serdecznie ciocię.

—Nie, będzie lepiej, jeśli tego nie zrobię — rzekł potrząsając głową. — Pani LaBwitz mogłaby opowiedzieć pannie Heldze o naszym spotkaniu.

Podniosła na niego oczy.

— Ale papie powiem, przed papą nigdy nie miałam tajemnic. Jeśli go o to poproszę, nic nie powie Heldze.

Spojrzał na nią z niepokojem. Co jej ojciec na to powie? Ale przecież nie mieli nic złego do ukrycia, więc nie powinna taić tego przed ojcem.

—Zatem dobrze. Pani ojciec może wiedzieć, on tego nie rozpowie. Proszę mi jednak wierzyć, to bardzo ważne, aby pani siostra nie dowiedziała się, o czym tutaj rozmawialiśmy.

—Helga o niczym się nie dowie — zapewniła — nie będzie pan miał z tego powodu nieprzyjemności. Niech sobie jeszcze przez jakiś czas myśli, że jestem zaręczona.

Uściskał gorąco jej dłoń i zajrzał czule w oczy.

—Do widzenia, łaskawa pani!

—Do widzenia, panie doktorze!

Ściągnęła wodze i szybko odjechała. Podążał za nią wzrokiem, dopóki nie zniknęła mu z pola widzenia.

## 13

---

Klaus Ruthart powrócił w poniedziałek wieczór ze swej podróży do Frankfurtu. Gonda pełna oczekiwania wybiegła mu naprzeciw.

— Udało ci się, drogi papo? Masz już adres dziadka Georga?

— Nie, Gondo, niestety jeszcze nie. Pozwól mi się przebrać, a opowiem ci o wszystkim, czego się dowiedziałem.

Poszedł do swego pokoju, a Gonda została w hallu, gdy na schodach pojawiła się Helga.

— To ojciec wrócił, Gondo?

— Tak, Helgo, przebiera się.

— Przywiózł ci dobre wiadomości?

— Wygląda na to, że niezbyt dobre, ale dopiero je usłyszę.

— Czy wolno mi będzie posłuchać? Mnie to też przecież interesuje. Gonda w zadumie patrzyła na siostrę. Dlaczego interesowało ją tak

bardzo, co ojciec załatwił? Nie dała jednakowoż poznać po sobie, że w jakiś sposób to ją zastanowiło, choć nie potrafiła przed nikim mieć tajemnic.

— Ależ oczywiście, Helgo. Papa zaraz zejdzie. Chodźmy do salonu, tam jest przyjemniej niż w tym zimnym hallu, gdzie się zawsze kostnieje.

Weszły do wielkiego pokoju, który służył wszelkim spotkaniom. Było to bez wątplenia najprzyjemniej urządzone pomieszczenie w całym zamku. Masywne

meble prezentowały się solidnie, a zarazem okazałe, a ustawiono je tak, aby tworzyły rozkoszne zakątki. W wielkim wykuszu środkowej wieży stały wygodne, głębokie kanapy z olbrzymimi poduszkami pod plecy, a pośrodku królował wielki okrągły stół, wsparty na masywnych rzeźbionych nogach. Pod jednym z okien znajdowało się podium, na którym widniał stolik do szycia otoczony wygodnymi krzesłami. Pod drugim oknem znalazł miejsce olbrzymi fotel, przed nim leżała mocno wypchana poduszka do położenia pod stopy, a na niskim okrągłym stoliczku obok piętrzyły się gazety i książki. Po drugiej stronie salonu znajdował się duży kominek, a przed nim, wokół potężnego stołu, zgrupowane były różnego kształtu krzesła. Na prawo i lewo od kominka wbudowano szerokie wyściełane ławy, pod którymi ukryte były skrzynie. Kosztowne dywany zapewniały dużemu pomieszczeniu przytulny charakter. Ściany do połowy wysokości pokrywała dębowa boazeria, na której zawieszono kosztowne obrazy. Okna i drzwi zasłonięte były ciężkimi aksamitnymi kotarami w kolorze ciemnego miodu, takim samym, jakim legitymowały się wszystkie wyściełane meble.

Oprócz własnych pokoi salon Gonda lubiła najbardziej. Najchętniej siadywała w wykuszu, i teraz też tam usiadły z Helgą.

— Mogłabyś mi opowiedzieć o życiu w Dahomy? Zawsze chętnie tego słucham.

Gonda w ciągu tych ostatnich dwóch dni głowiła się nad tym, jak siostra mogła dojść do błędnego przekonania, że ona sama jest zaręczona z Georgiem, niestety nie znalazła na to odpowiedzi.

Opowiadała zatem o Dahomy, o bungalowie stojącym pośrodku rozległego ogrodu kwietnego, o hodowanych w nim niezliczonych rodzajach kwiatów, o zbiorach na plantacjach i zwózce ryżu do rakits — tak bowiem nazywają się przeznaczone po temu stodoły. Snuła opowieść o tropikalnej dżungli z jej bujną roślinnością, o zwierzętach zamieszkujących tamte tereny i o tak licznej w tropikach służbie.

— W swoim dużym zamku, Helgo, masz niewiele więcej służby, niż my mieliśmy w naszym bungalowie. Oczywiście twoi ludzie pracują nieporównanie

więcej, niż kiedykolwiek robili to nasi Malaje! W tropikalnym klimacie praca przychodzi trudniej i trzeba to brać pod uwagę.

— Ojciec więc musiał wydawać mnóstwo pieniędzy na służbę. Gonda ze śmiechem potrząsnęła głową.

—Za to, co cię tutaj kosztuje jeden służący, na Sumatrze możesz mieć dziesięciu. W dodatku zawsze byli weseli i zadowoleni, jeśli nie żądało się od nich pracy, do której nie zostali zaangażowani. Pod tym względem są śmiesznie uparci.

—Jakie to wszystko zabawne! I ty rzeczywiście sama jechałaś konno przez dżunglę, kiedy chciałaś odwiedzić swego przyjaciela w Ramovie?

—Najczęściej jeździłam sama — przytaknęła uśmiechając się Gonda — kiedy ojciec był zajęty na plantacji, a Georg nie mógł mi towarzyszyć.

—Ale przecież w lesie były dzikie zwierzęta.

—O tak, nie brakowało ich i dlatego nie można było wyjeżdżać bez broni. Na szczęście zwierzęta bardzo rzadko atakują człowieka. Widziałaś przecież w pokoju papy skóry leoparda i pantery. Zastrzelił je sam. Mnie się nigdy nie udało upolować drapieżnika, musiałam się zadowolić mniejszą zwierzyną. Kiedy jechaliśmy samochodem z Dahomy do Palembang — a było to wtedy, kiedy mieliśmy odpłynąć do Niemiec — olbrzymia pantera wyskoczyła z zarośli tuż przed naszym autem, ale natychmiast zniknęła. One się bardzo boją dźwięku klaksonu i warkotu silnika.

Helga wypytywała o wszystko, starając się z powrotem naprowadzić rozmowę na przyjaciela siostry. Gonda odpowiedziała na wszystkie pytania, także dotyczące Georga, co najbardziej interesowało Helgę, z jej słów nie wynikało jednak, że jest z nim zaręczona.

Wreszcie zszedł na dół Klaus Ruthart i usiadł przy córkach.

—Opowiedz teraz, drogi papo, co udało ci się załatwić — poprosiła z żywieniem Gonda.



—A więc tak: z kościelnej księgi metrykalnej i z ewidencji w urzędzie stanu cywilnego dowiedziałem się, jak się nazywa dziadek Georga i że mieszka w Getyndze. Pojechałem zatem do Getyngi, w nadziei, że go tam odszukam. Niestety już na miejscu dowiedziałem się, że sprzedał swoją dużą fabrykę i wyjechał z Getyngi. Nikt nie mógł mi powiedzieć, dokąd. Usiłowałem ustalić to na policji, lecz albo zaginęło wymeldowanie, albo zaspany urzędnik nie zadał sobie trudu, aby udzielić mi pełnej informacji, krótko mówiąc otrzymałem tylko odpowiedź: wyjechał w nieznanym kierunku.

— Och, jaka szkoda, drogi papo — westchnęła żałośnie Gonda.

— Głowa do góry, Gondo, już my się dowiemy, dokąd się przeniósł. Obywatel państwa niemieckiego nie mógł przecież zniknąć bez śladu. Gdybym miał więcej czasu, na pewno potrafiłbym to załatwić. Będąc we Frankfurcie zanotowałem sobie na wszelki wypadek adres prywatnego detektywa, któremu zleceń odszukanie aktualnego miejsca zamieszkania dziadka Georga.

— Uczyń to, papo, jak najszybciej, błagam cię!

— Jeśli nie uda mi się zrobić tego dzisiaj, znajdę na to czas jutro rano. Teraz chcę porozmawiać z zarządcą, czy wszystko jest w porządku.

Helga wyszła, aby przebrać się do kolacji. Gonda uczyniła to wcześniej, a gdy ojciec powrócił do salonu i usiadł obok, powiedziała:

— Drogi papo, chcę ci się z czegoś zwierzyć, musisz mi jednak dać słowo, że nikomu o tym nie powiesz.

Zajrzał jej w oczy uśmiechając się tkliwie.

— Tak uroczyście, Gondo?

— Muszę mieć twoje słowo — potwierdziła.

— Dobrze zatem, daję ci moje słowo, że to, co powiesz, zostanie między nami.

Opowiedziała mu wtedy otwarcie i bez obawy, co zaszło między nią a doktorem Leydenem od tego wieczoru, kiedy śpiewała. Powiedziała mu też o ich spotkaniu w lesie poprzedniego dnia przed południem.

Wysłuchał jej uważnie, a gdy mu powiedziała, że sądziła, iż Hans Leyden gniewał się na nią z powodu jej występu, nieznacznie drgnęły mu usta.

Z jej słów wywnioskował to, co dawno przeczuwał. Teraz już był pewien, że oddała serce doktorowi Leydenowi, który najprawdopodobniej również ją kocha. To sprawiło mu radość, jako że w miarę jak go poznawał, nabierał do niego coraz więcej zaufania.

Trudno jednak powiedzieć, że ucieszyło go to, co usłyszał o Heldze. Nie był tak niedoświadczony jak Gonda., nie uszły więc jego uwagi spojrzenia, jakie posyłała Hansowi Leydenowi. Widział już teraz jak na dłoni, że Helga, zauważysz, że Leyden interesuje się Gondą, celowo chciała go od niej odciągnąć, napowiadawszy o jej rzekomych zaręczynach. Nie miał co do tego cienia wątpliwości. Mogła zresztą przypuszczać, iż między Gondą a Georgiem było coś więcej niż tylko uczucie, jakim obdarza się rodzeństwo, i natychmiast to wykorzystała.

Naraz wszystko stało się dla niego jasne, a im bardziej się cieszył z tego, co łączy Leydena z Gondą, tym więcej ubolewał nad Helgą, żywiącą najwidoczniej dla Leydena więcej uczucia, niż pozwalałby przypuszczać jej chłodny sposób bycia. To musiało stać się źródłem nowych konfliktów, co zatem powinien zrobić, aby temu przeciwdziałać? Zapytywał sam siebie, czy doktor Leyden poślubiłby Helgę, gdyby nie poznał Gondy. Bez względu na to jednak, od jakiej strony patrzył na Leydena, musiał dojść do wniosku, że człowiek o tak gorącym sercu i wrażliwy jak on najprawdopodobniej nie obdarzyłby uczuciem osoby tak chłodnej i zarozumiałej, jaką była Helga. Ojciec niestety musiał przyznać, że jest pozbawiona wdzięku i chyba jeszcze trudniej byłoby ją pokochać niż jej matkę. Sprawiało mu przykrość myślenie w ten sposób o własnej córce, ale fakty mówiły same za siebie. Był przekonany, że jego starsza córka wyjdzie za mąż głównie ze względu na swoje bogactwo, a Hans Leyden nie należał do mężczyzn, którzy się sprzedają.

Rutharta martwiło, że nie będzie mógł zapewnić Heldze pełnego szczęścia, ostatecznie przecież to była jego krew, niestety tak, a nie inaczej została ukształtowana i nic na to nie mogła poradzić. Jej babka powinna była wychować ją w przeświadczeniu, że kobieta, która nie jest piękna, musi być przynajmniej dobra i uprzejma. Nie zdradził jednak Gondzie nic z tego, co napełniało go niepokojem. Uścisnął czule jej rękę, nie napomykając ani jednym słowem, że z jej relacji dowiedział się więcej, niż ona sama się domyślała.

— Dobrze, Gondo, nie powiem nikomu ani jednego słowa z tego, co mi tu wyjawiałaś. To bardzo dobrze, że mi się zwierzyłaś, uprzedzając o tym doktora Leydena. Będę mógł zatem przy okazji porozmawiać o tym także i z nim.

Przytaknęła mu rozpromieniona.

— On się ucieszy, papo, a ja jestem taka szczęśliwa, że już się na mnie nie gniewa. To było dla mnie takie przygnębiające... Pod tym względem jestem rozpieszczona, mniemając, iż wszyscy muszą być dla mnie dobrzy.

Kiedy tylko zauważę, że jest inaczej, natychmiast zaczyna mnie to strasznie dręczyć. Żebym tylko wiedziała, skąd Heldze przyszła do głowy taka śmieszna myśl, że jestem zaręczona z Georgiem!

— Mój Boże, dziecko! Tu w Niemczech przyjaźnie takie jak twoja i Georga zdarzają się niesłychanie rzadko. Uważa się to tutaj raczej za praktycznie niemożliwe i każdy wyciągnąłby z tego wniosek, że byliście potajemnie zaręczeni.

Powiedział to nie chcąc, aby Gonda powzięła wobec Helgi takie samo podejrzenie jak on. Gonda powinna, jeśli tylko to się uda, pozostać nie uprzedzona do siostry.

Na wspomnienie Georga Gonda westchnęła.

—Biedny Georg! Gdzie też może podziewać się jego dziadek? Nawet mi nie powiedziałaś, papo, jak się nazywa.

—Nazywa się Waldenburger, w Getyndze posiadał dużą fabrykę, którą z korzyścią sprzedał, i znają go tam jako majątnego człowieka. Nie czuł się na siłach kierować dalej fabryką, wycofał się więc w domowe zacisze. Nie martw się, już

my go znajdziemy, a ja mu bezzwłocznie wytłumaczę, że popełnia grzech wobec swej krwi, pozwalając, aby wnuk się wykończył w uciążliwych warunkach w Ramo vie. Jeżeli już jest tak bogaty, to mógłby przynajmniej zatroszczyć się o skromną egzystencję Georga tu, w Niemczech. Ponieważ Helena Strasser była jego jedynym dzieckiem, a jego żona też już dawno nie żyje, Georg któregoś dnia mógłby zostać jego spadkobiercą.

Gonda wpatrywała się w przestrzeń szeroko otwartymi oczami.

— A biedny Georg nie ma w tej chwili nawet tyle, aby móc ze względu na stan zdrowia zmienić klimat. Bardzo się o niego boję, papo, on jest taki biedny. Ciągle mam przed oczami, jak załamany opuszcza parowiec i smutny odchodzi. A jego ostatni list! Im częściej go czytam, tym bardziej wydaje mi się przerażające to, co znajduję między wierszami.

Ojciec skinął głową. Słaba była nadzieja, że Georg kiedykolwiek wyzdrowieje. Po matce odziedziczył delikatne zdrowie, a dłuższy pobyt w tropikach rujnuje nawet najsilniejsze organizmy. Nie powiedział jednak tego Gondzie, aby jeszcze bardziej jej nie przygnębić.

## 14

---

Następnego wieczoru Hans Leyden i pani Käthe znowu przybyli na kolację do zamku. Doktor zachowywał się wobec Gondy bardzo powściągliwie, aby nie drażnić Helgi i nie dać jej powodu do ataku. Gonda również była bardziej zachowawcza niż zazwyczaj, kiedy spoglądała w wesołe oczy Leydena. Tym razem nie uszło jej uwagi, jak osobliwie siostra patrzy na doktora i jak go pod każdym względem wyróżnia.

Po kolacji Klaus Ruthart zwrócił się do Leydena:

— Wyjdźmy, doktorze, na taras, zapalimy cygara. Mam dziś szczególny gatunek i chciałbym usłyszeć pańskie zdanie o nim.

Kiedy znaleźli się sami na tarasie, Ruthart poczęstował Leydena cygarem, a po chwili milczenia rzekł:

— Drogi doktorze, Gonda opowiedziała mi, o czym rozmawialiście w niedzielny ranek. Nie chciałbym w tej chwili zajmować stanowiska, pragnę tylko powiedzieć, że moja młodsza córka w niektórych sprawach przypomina niedoświadczone dziecko, bezsilne wobec otaczającej rzeczywistości. Nie nauczyła się skrywać swych uczuć i prawdopodobnie nie wie jeszcze, że istnieją rzeczy, które lepiej zachować w tajemnicy.

Hans Leyden zwrócił ku niemu swą pobladłą ze wzruszenia twarz, oblaną teraz światłem księżyca.

—Dziękuję panu, panie Ruthart, że uznał mnie pan godnym tej rozmowy. Proszę mi wierzyć, byłem głęboko poruszony — i ciągle jeszcze jestem — gdy zorientowałem się, jak bardzo, w dodatku całkiem nieświadomie, zasmuciłem pańską córkę. Doskonale pana rozumiem, że robi pan wszystko, aby ochronić to czarujące stworzenie! Daję panu słowo, że z mojej strony nie zaistnieje nic, co mogłoby zasmucić pańskie serce. Czy mogę mówić z panem całkiem otwarcie?

—Proszę o to.

—Krótko i szczerze: kocham Gondę. Proszę nie traktować tego jako oświadczyn. Niestety nie jestem jeszcze w sytuacji, która pozwoliłaby mi zapewnić żonie dostatnie życie u mego boku. Spodziewam się jednakowoż awansu, gdy skończę budowę kolei, a pańska córka jest jeszcze taka młoda. Chciałbym pana dzisiaj tylko zapytać, czy pozwoli mi pan starać się o jej rękę, jeśli do tego czasu pozostanie wolna. Pytam o to już dziś, jako że z prawdziwym wzruszeniem i niekłamany uczuciem szczęścia zauważyłem, że znaczą dla pańskiej córki więcej, niż ona sama sobie uświadamia. Gdyby jednak z pańskiej strony były jakieś zastrzeżenia w stosunku do mej osoby, czułbym się w obowiązku nie pokazywać się więcej pańskiej córce na oczy, dopóki dla nas obydwójga nie będzie za późno. Nie mógłbym znieść myśli, że zakłóciłem spokój jej serca. Ruthart uścisnął gorąco jego dłoń.

— Bardzo pana cenię, doktorze, a zdążywszy już pana trochę poznać, czuję, że ze spokojem mogę złożyć szczęście mej córki w pańskie ręce. Nie będę czynił panu przeszkód i mogę zrozumieć, że najpierw pragnie pan zdobyć solidne podstawy, na których będzie mógł budować przyszłość. Moja córka nie jest tak bogata jak jej siostra Helga, ale biedna też nie wejdzie w życie. Bardzo się cieszę, że jeszcze przez parę lat zostanie przy mnie, zanim oddam ją mężowi. Powinien jednak pan wiedzieć, że nie ma sensu skazywać jej na czekanie, i to tylko z powodu pieniędzy, jeśli czuje się dojrzała do szczęścia małżeńskiego. Jeśli zaś chodzi o Helgę, to poinformowała pana mylnie, że Gonda jest zaręczona. Oszczędźmy jej przykrości i na razie nie tłumaczmy, że jest w błędzie. Wspólnie będziemy zapobiegać wszelkim niesnaskom. Mam nadzieję, że pan rozumie, nie mogę tego powiedzieć jaśniej.

Hans Leyden patrzył na niego wielkimi, poważnymi oczami.

— Tak, panie Ruthart, doskonale pana rozumiem i przyrzekam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby uniknąć rozdzwieków.

Ruthart pokiwał aprobująco głową.

— Mam nadzieję, że sprawy się ułożą, jeśli będziemy szli ręka w rękę.

Uścisnęli sobie ponownie dłonie i powrócili do towarzystwa pań. Gonda patrzyła na nich z niemym pytaniem w oczach, przeczuwając, że ojciec rozmawiał z doktorem Leydenem o wydarzeniach niedzielного ranka. Kiedy ojciec z uśmiechem skinął jej głową, wiedziała już, że wszystko dobrze poszło.

Helga przywołała natychmiast Leydena, wciągając go w rozmowę na temat budowy. Odpowiadał jej uprzejmie, było jednak po nim wyraźnie widać, że chętnie by zrezygnował z jej uprzejmości, toteż oładnęło ją głębokie zwątpienie.

Owa świadomość beznadziejności własnych usiłowań stawała się coraz bardziej dojmująca. Im częściej się z nim spotykała, tym wyraźniej czuła, że na nic przydało się przedstawienie Gondy jako narzeczonej innego. Chociaż wobec Gondy był bardziej powściągliwy niż uprzednio, lecz cóż to miało za znaczenie, skoro ona sama nie przybliżyła się do niego nawet o krok!

W tych dniach Gonda otrzymała ponownie list od Georga Strassera. Była to odpowiedź na jej pierwszy list wysłany z zamku Santen. Z ogromnym zainteresowaniem przyjął wszystko, o czym mu pisała, donosił również o sobie, nie stoniąc od drobnych żartów, które miały odwrócić jej uwagę od jego przygnębienia. Ona jednak nie dała się zwieść, widząc wyraźnie, jak bardzo jest nieszczęśliwy. Odpisała mu też natychmiast, nie wspominając jednak ani słowem o zabiegach swego ojca, aby mu pomóc, za to starała się dodać mu odwagi budząc w nim nadzieję, że każdy dzień może przynieść zmianę, która pozwoli mu uwolnić się z jego przykrego położenia.

Helga widząc gruby list w ręku Gondy zażartowała:

—Twoja korespondencja z przyjacielem ,wydaje się być bardzo ożywiona i obszerna.

—To jego jedyna pociecha, gdy dostaje ode mnie list — pokiwała głową Gonda.

Gdy wręczyła ojcu ostatni list Georga, ten od razu spostrzegł, że jego pismo jest jakby mniej pewne i coraz bardziej nieczytelne, tak jakby pisanie kosztowało go wiele trudu. Osobliwie go to poruszyło. Długo wpatrywał się w ostatnie słowa listu:

*Pozdrawiam Cię, moja po stokroć kochana Gondo, i dziękuję Ci za każde dobre słowo, jakie miałaś dla mnie. Pozdrów także serdecznie ode mnie Twego drogiego ojca. Towarzyszę Wam zawsze obydwojgu na każdej z Waszych dróg, nigdy, naprawdę nigdy nie rozstaję się z Waszymi zdjęciami, kiedy idę spać, one ze mną udają się na spoczynek. Bądźcie zdrowi, moi najdrożsi! Gorące dzięki za Waszą miłość, która była dla mnie najcenniejszym skarbem. Bądźcie zdrowi i niech Bóg nad Wami czuwa. Nie zapomnijcie*

*Waszego Georga*

Klaus Ruthart westchnął ciężko, gdy to przeczytał, odnosząc wrażenie, że to są słowa pożegnania na zawsze. Nie powiedział jednak tego Gondzie. I bez tego była niepokieszona, że na razie nie może mu pomóc.

Mniej więcej tydzień później Gonda otrzymała znowu list z Ramovy, ale przeżyła wstrząs widząc, że nie jest to pismo Georga. Gorączkowo, z pobladłą twarzą rozerwała kopertę, odczytując najpierw podpis. List pisała Lili Strasser.

*Droga Gondo!*

*Tym razem muszę pisać za Georga, jako że niestety ostatnio skaleczył sobie prawą rękę i boimy się, że zostaną mu po tym wypadku sztywne palce. Musi się zatem chwilowo wyrzec pisania listów, zaproponowałam mu więc, że napiszę do Was pod jego dyktando — skoro tylko wrócę do siebie po swoim wielkim bólu. Mały wypadek Georga nie był niestety największym nieszczęściem, jakie nas spotkało, muszę Pani donieść o czymś o wiele gorszym. Mojego syna Kurta zabrała śmierć. Miał bardzo niebezpieczny atak malarii, który po kilku dniach zabrał go spomiędzy żywych. Może Pani sobie wyobrazić, droga Gondo, jak jestem przygnębiona tą stratą, więc proszę nie mieć mi za złe, że dziś nie napiszę nic więcej. Gdy tylko nieco wrócę do siebie, otrzyma Pani ode mnie dłuższy list. Georg każe Panią i Pani ojca serdecznie pozdrowić. Załączam również serdeczne pozdrowienia męża i moje*

*Wasza nieszczęśliwa Lili Strasser*

Poruszona do głębi Gonda wpadła z listem w rękę do gabinetu ojca.

— O papo, drogi papo! Biedni Strasserowie! Wyobraź sobie, jakie to straszne — Kurt Gartner niespodzianie zmarł na malarię, a Georg skaleczył się w prawą rękę — relacjonowała z płaczem.



Wziął ją w ramiona, a przeczytawszy list, który mu podała, był naturalnie także wstrząśnięty.

— To naprawdę straszne, Gondo! Los jest nieobliczalny. Nigdy bym nie przypuszczał, że Kurt, ten krzepki, zdrowy mężczyzna, umrze tak młodo i że Georg ze swym delikatnym zdrowiem go przeżyje. Kurt zresztą prowadził nieco rozwiązły tryb życia, co odbija się nawet na takich silnych naturach, jeśli w porę nie zmienia klimatu. Mimo to naprawdę trudno pojąć, że taki mocny jak dąb człowiek umarł na malarię, i to w tak krótkim czasie.

Strasserowie powinni to potraktować jako ostrzeżenie i tak szybko, jak to możliwe, wyjechać dla zmiany klimatu z Georgiem. Jakież jestem szczęśliwy, moja Gondo, że przeniosłem cię na zawsze w inny, o niebo zdrowszy klimat. Tropiki są dla nas, Europejczyków, na dłuższą metę niezdrowe. Nigdy specjalnie nie lubiłem Kurta, lecz bardzo mi przykro, że musiał umrzeć tak młodo.

— Mnie także, papo. Byłam dla niego często twarda i surowa. Dla Georga na pewno jest nieszczęściem, że zranił się w rękę. Mam nadzieję, że wkrótce otrzymamy informację od detektywa, gdzie mieszka jego dziadek, ponieważ coraz bardziej lękam się o Georga. Skoro taki Kurt, krzepka, niedźwiedzia natura, musiał się poddać, jakże łatwo może to się zdarzyć także z Georgiem!

Ojciec żywił tę samą obawę, lecz by uspokoić Gondę powiedział:

— To zdumiewające, że właśnie delikatne organizmy potrafią niekiedy wytrzymać tak wiele. Tak, w tych dniach powinna nadejść wiadomość z instytutu detektywistycznego.

Przez chwilę jeszcze rozmawiali o tych smutnych wieściach, po czym Gonda wyszła. Chciała natychmiast napisać do Georga i jego rodziców i spróbować ich nieco pocieszyć.

Tego samego dnia po południu przybyła na zamek pani Käthe z wiadomością, że doktor Leyden otrzymał rano telegram z sanatorium. Ordynator zawiadomił go, że jego wuj zmarł ostatniej nocy. Hans Leyden natychmiast wyjechał, aby załatwić wszystkie formalności. Jego wuj rozporządził, aby jego doczesne szczątki zostały spalone.

Doktor Leyden zatem przez kilka dni z rzędu nie był na zamku Santen i wszystkim bardzo go brakowało, a najwięcej Gondzie.

Kiedy wreszcie wrócił, opowiedział, że jego wuj zmarł na udar serca. Stało się to w nocy, był całkiem sam. Służący znalazł go rano nieżywego w łóżku. Notariusz zmarłego także został powiadomiony i był obecny przy kremacji zwłok, po czym podał do wiadomości doktorowi Leydenowi treść testamentu, jaki pozostawił jego wuj. Zgodnie z jego ostatnią wolą głównym spadkobiercą został jego wnuk, jedyny syn nieżyjącej córki. Jemu samemu wuj zapisał pięćdziesiąt tysięcy marek, z tym jednak, że gdyby ów wnuk zmarł nie pozostawiając dzieci, on sam, Hans Leyden, zostaje spadkobiercą w zastępstwie głównego spadkobiercy.

To wszystko doktor Leyden zrelacjonował w krótkich słowach dodając:

—Notariusz mego ojca został zobowiązany do zawiadomienia po jego śmierci wnuka, że ten niezwłocznie ma objąć w posiadanie dobra dziadka i zamieszkać tam na stałe. I to się stanie.

—Posiadłość pańskiego wuja będzie miała zatem nowego mieszkańca? — wyraził zainteresowanie Klaus Ruthart.

—Prawdopodobnie tak. Przy okazji dowiedziałem się nieco o spadkobiercy mego wuja i przyczynie osamotnienia tego ostatniego. Teraz, jako że wuj już nie żyje, mogę otwarcie mówić, co sprawiło, że zdziwaczał. Moja kuzynka, jedyna córka mego wuja, starsza ode mnie chyba z dziesięć lat, opuściła dom rodzinny z człowiekiem, którego pokochała, a którego jej ojciec nie zaaprobował, uważając, że charakter tego mężczyzny nie gwarantuje szczęścia jego jedyne dziecko. Moja kuzynka jednak wbrew woli ojca poślubiła tego człowieka, który był chyba przekonany, że wszystko się ułoży, kiedy postawią go przed faktem dokonanym. Przeliczył się jednakowoż, nie wzięwszy pod uwagę uporu mego wuja. Ten bowiem odepchnął swą córkę wyrzekając się jej i kazał jej tylko wypłacić skromną sumę, wniesioną mu kiedyś w posagu przez jej matkę. Na list, w którym prosiła ojca o przebaczenie, odpowiedział, że jedynie wtedy jej wybaczy, gdy wróci do niego sama, bez męża. Ale tak się nie stało i w ten oto sposób mój wuj zaczął stronić od ludzi. Kuzynka urodziła syna, lecz sama zmarła młodo. Niewiele słyszałem na ten temat, gdyż jak już państwu powiedziałem, w obecności mego wu-

ja nie wolno było o tym wspominać. Tego, co wiem, dowiedziałem się od jego starego służącego, ale i on nie był dokładnie poinformowany. Od notariusza, który także i w tej sprawie był powiernikiem wuja, dowiedziałem się, że mąż mojej kuzynki ożenił się po raz drugi. Z moją kuzynką wyjechał za granicę i chyba mieszka tam do dziś. Notariusz nie znał adresu, uzyska go dopiero poprzez bank, z którym wuj pozostawał w stałych kontaktach. Bank ten otrzymał zlecenie, aby po śmierci mej kuzynki co kwartał wypłacać jej synowi pewną kwotę na wychowanie. Śmierć córki musiała nim mimo wszystko bardzo wstrząsnąć, skoro polecił wypłacać wnukowi te pieniądze.

Gonda i jej ojciec wysłuchali tej relacji z zapartym tchem, co raz spoglądając pytająco na siebie. Kiedy Hans Leyden umilkł, Ruthart zapytał żywo:

— Drogi doktorze, proszę mi podać nazwisko pańskiego wuja, gdyż jeszcze go pan nie wymienił, oraz miasto, gdzie mieszkał, zanim się osiedlił w tych stronach.

Leyden popatrzył ze zdumieniem na podniecone twarze ojca i córki.

— Wuj nazywał się Waldenburger i mieszkał w Getyndze. Gonda padła z okrzykiem w ramiona ojca.

—Papo, kochany papo, to cud, który może uratować Georga! — powtarzała płacząc ze wzruszenia, a zarazem radości.

—Nie rozumiem państwa! — zawołał zdziwiony Leyden.

—Zaraz pan wszystko zrozumie, drogi panie doktorze. Czyż córka pańskiego wuja nie nazywała się Helena, a jego wnuk Georg? Georg Strasser?

—Oczywiście!

—Proszę zatem posłuchać: Hermann Strasser, mąż Heleny, był na Sumatrze moim sąsiadem. Pańska kuzynka była przyjaciółką mej żony, a Georg Strasser, który czuje się bardzo nieszczęśliwy w domu swego ojca i nie umie z nim znaleźć wspólnego języka, to przyjaciel z lat dzieciennych mej córki. Ja sam też go pokochałem. Niechętnie zostawiliśmy go w tych niesprzyjających warunkach w Ramovie, lecz Georg był za dumny, aby pozwolić sobie przyjść z pomocą.

Gonda i jej ojciec opowiadali teraz na przemian o Georgu i o tym, że chcieli mu pomóc wbrew jego woli i podjęli nawet stosowne kroki. Klaus Ruthart przedstawił wyczerpująco cierpienia Georga, spowodowane nieprzyjaznym otoczeniem, w jakim przyszło mu żyć.

Wszyscy przysłuchiwali się poruszeni do głębi. Ciotka Käthe wprost rozpląwała się od współczucia dla Georga, Hans Leyden także był głęboko poruszony i gdy Klaus Ruthart skończył, rzekł:

— To rzeczywiście osobliwy przypadek, że uzyskałem od was wyczerpujące informacje o moim kuzynie. Mówicie, państwo, że jest słabego zdrowia i że koniecznie musi zmienić klimat; czeka go to bardzo prędko. Notariusz mego wuja, po uzyskaniu adresu z banku, miał telegraficznie zawiadomić spadkobiercę i zażądać od niego, aby natychmiast przybył do Getyngi, gdzie sam mieszka. To do niego najpierw musi się zgłosić spadkobierca, tamteż uzyska dalsze informacje. Potem przyjadą tu razem i notariusz przekaze mu dziedzictwo. Możecie więc państwo być już spokojni o los Georga Strassera. Otrzyma w spadku dwa miliony marek czystej gotówki i piękną posiadłość, w której — zgodnie z testamentem — winien osiaść na stałe.

Gonda z radością rzuciła się ojcu na szyję.

—Co za wspaniała zmiana dla Georga! I jak się będzie cieszył, że zamieszka w pobliżu nas! Naturalnie nie domyśla się, że posiadłość, którą odziedziczył, leży tak blisko zamku Santen. O, ja mu tego nie zdradzę, to będzie niespodzianka! Kiedy już tu będzie, zrobimy na niego najazd, prawda, papo?

—Wiadomość od państwa może go już nie zastać w Ramovie. Nie powinien przecież zwlekać z objęciem spadku.

—O to już się zatroszczy jego ojciec — powiedział drwiąco Klaus Ruthart.

—Mam nadzieję, że zraniona ręka nie będzie dla niego wielkim utrudnieniem w podróży. Dobrze mu zrobi ten wyjazd!

—Bądź spokojna, ojciec nie puści go samego. Jak go znam, będzie chciał ze swą drugą żoną ciągnąć zyski ze spadku. Dla Georga jest to prawdziwe szczęście, że jego przyrodni brat nie żyje, bo na pewno chciałby, aby go dopuścić do

tej złotej żyły. Panie doktorze, nadarza się panu sposobność spełnienia dobrego uczynku. Jeżeli obchodzi pana los młodego krewnego, musi pan zrobić wszystko, aby wyzwolić go spod kurateli ojca. Z tego, co dziadek mu przysłał, Georg nie otrzymywał dosłownie nic. Ojciec i pasierb przegrywali wszystko w karty, a resztę trwoniła macocha.

—Co do tego mogę państwa uspokoić. W testamencie wuja są postanowienia szczególne, które będą wiązały ręce Hermannowi Strasserowi. Między innymi zabroniono mu dłuższego pobytu w posiadłości wuja, natomiast Georg winien zamieszkać tu na stałe. Te i inne jeszcze zastrzeżenia znalazły się w testamencie po to, aby uniemożliwić ojcu Georga wspólne użytkowanie spadku. Gniew i pogarda wuja dosięgły tego człowieka zza grobu.

—Bardzo się z tego cieszę ze względu na Georga—powiedział Ruthart.

—Skoro tylko spadkobierca zgłosi się u notariusza, otrzymam od niego telegram i natychmiast wyślę po nich samochód do Getyngi, a sam będę czekał ich przyjazdu w domu wuja. Dopiero wtedy zostanie odczytany testament i Hermann Strasser, który jak sądzę, będzie przy tym obecny, dowie się, że nie wolno mu tu osiaść na stałe.

Gonda była przeszczęśliwa.

— Proszę wiedzieć, panie doktorze, że gdy tylko najważniejsze sprawy zostaną załatwione, wkradnę się do domu pańskiego wuja i stanę nagle przed Georgiem. Jak on się ucieszy!

Hans Leyden, który nie był zazdrosny, że Gonda tak się cieszy z przybycia Georga, pewien, że w tym wypadku chodzi o czysto siostrzane uczucie, skłonił się z uśmiechem.

— Zatem to będzie prawdziwy mały spisek dla sprawienia niespodzianki Georgowi. Cieszę się, że też wezmę w nim udział. Georg nie może się dowiedzieć o obecności pani tutaj, zanim pani przed nim nie stanie.

Ten wieczór upłynął znacznie szybciej niż inne. Było tyle do opowiadania! Tak wiele spraw należało omówić!

Leyden nie krył się z radością, że wuj zapisał mu pięćdziesiąt tysięcy marek. To przybliżało go do celu. Nie omieszkał porozmawiać o tym także z Klausem Ruthartem, gdy na chwilę zostali sami.

— Już panu mówiłem, drogi doktorze — oświadczył ojciec Gondy — że nie musi się pan martwić o pieniądze. Nie przyspieszajmy zresztą niczego, Gonda jest jeszcze taka młoda, a i ja nie chciałbym jej tak szybko stracić. Gdy skończy pan budowę linii kolejowej, porozmawiamy spokojnie o pańskich dalszych planach życiowych. Na razie jest pan w pobliżu, a mówię otwarcie, nie chciałbym, aby pan porwał za daleko mą córkę.

## 15

---

Wydarzenia te tylko o tyle interesowały Helgę, że w którymś momencie zrozumiała, iż „przyjaciół” Gondy przybywa do Niemiec, a chociaż wątpiła, aby w tych okolicznościach Leyden zbliżył się do niej, nie chciała całkiem tracić nadziei. Niestety, wszelkie jej dotychczasowe usiłowania, mające na celu związanie go z jej osobą, spełzły na niczym, odnosił się do niej poprawnie, a zarazem powściągliwie. Nie mogło pomieścić jej się w głowie, że jej zachcianka nie została spełniona, i przez to stawała się coraz bardziej drażliwa. Co prawda sądziła, że skutecznie unieszkodliwiła Gondę, lecz i tak cała jej złość obróciła się przeciwko siostrze. Denerwował ją szczęśliwy wyraz twarzy Gondy, która chodziła rozpromieniona, przypisując go zresztą radości z powodu przyjazdu „przyjaciół”. Zadręczała się bardziej niż kiedykolwiek, była usposobiona nieprzyjaźnie, a gdy zostawały same, spoglądała na nią ponuro. Gonda przyjmowała to wszystko spokojnie, z właściwą sobie łagodnością, żywiąc wiele współczucia dla siostry. Znosiła humory Helgi z anielską wprost cierpliwością, a przychodziło jej to tym łatwiej, że jej serce przepemniało szczęście. Hans Leyden był dla niej miły i dobry i nie trafiały się między nimi żadne rozdzwiewki. Jej miłość nie osiągnęła jeszcze tego stadium, kiedy dopiero pełne posiadanie uszczęśliwia. Istota miłości była

dla niej na razie jedną wielką tajemnicą. Czuła, że kocha Hansa i że on darzy ją takim samym uczuciem, i to było tak piękne, tak cudowne, że nie wybiegała myślą naprzód.

Coraz bardziej jednak utwierdzała się w przekonaniu, że zły nastrój siostry pozostaje w jakimś związku z doktorem Leydenem. Przechwytywała czasem jej gorące, pałające spojrzenia skierowane do niego, zauważyła też, że Helga wygląda na bardzo nieszczęśliwą, gdy on traktuje ją chłodno i z dystansem. Raptem jednego dnia spadły jej z oczu łuski: zrozumiała, że siostra go kocha.

Z najbardziej osobistych odczuć Helgi opadła ostatnia zasłona, a wraz z tym poznaniem pojawiło się w sercu Gondy głębokie współczucie dla siostry. Pojęła, że jeśli któregoś dnia ona sama będzie szczęśliwa u boku Leydena, Helga będzie musiała cierpieć, tak jak ona cierpiała widząc, że ukochany odnosi się do niej chłodno i obco. To rzuciło cień na jej szczęście, uczyniwszy całkiem bezbronną wobec siostry. Było w tym coś z poczucia winy, gdy zauważyła, jak nieszczęśliwą minę ma Helga, gdy nie czuje się obserwowaną.

Niemal każdego wieczoru Hans Leyden i ciotka Käthe gościli na zamku Santen. Razem zasiadali do stołu, razem gawędzili w pokoju Helgi, siostry muzykowały.

Nastroje Helgi były zmienne. Zaczęła spraszać na zamek coraz liczniejsze towarzystwo, flirtowała raz z tym, to znów z innym adoratorem, zresztą tylko po to, aby wywołać zazdrość Leydena, co jej się naturalnie nigdy nie udawało.

Klaus Ruthart uporządkował sprawy związane z zarządzaniem posiadłością swej starszej córki. Wszystko było teraz w idealnym porządku, wszystko działało bez zarzutu, a pod jego ręką dochody przynoszone przez dobra Santen wydatnie wzrosły. Jeśli babka wbijała kiedyś Heldze do głowy, że jej ojciec jest leniwy i trudno na nim polegać, to ta musiała teraz wciąż na nowo dochodzić do wniosku, że taki osąd starej kobiety musiał być podyktowany nienawiścią.

Ojciec z każdym dniem znajdował w jej oczach więcej uznania, przyzwyczaiła się też pytać go o radę we wszystkich sprawach. W takich wypadkach z jej oczu można było często wyczytać zaufanie do niego, co było dla niego powodem do radości i poruszało jego serce. Szczerze martwił się o nią, wiedząc, że

i Helga oddała serce Leydenowi. Niestety pod tym względem nie umiał jej pomóc. Jego starsza córka próbowała zapomnieć o swym zmartwieniu bawiąc się na różne sposoby, przyjmując licznych gości i składając wiele wizyt. Z reguły zapraszała także ojca i siostrę, a często także ciotkę Kathe i doktora Leydena.

Coraz bardziej gorączkowo próbowała wzbudzić swą kokieterią zazdrość Leydena. To były zresztą ostatnie próby, aby zwrócić na siebie jego uwagę. Nie brakowało starających się o jej względy, jako że była jedną z najlepszych partii. Kiedy młodzi i starsi mężczyźni nadskakiwali jej, raz po raz rzucała badawcze spojrzenia na doktora, który zresztą przerastał ich wszystkich prezencją i rozumem. Niestety nigdy nie stwierdziła, aby jej próby spodobania mu się odniosły jakikolwiek skutek.

Gorliwie ubiegano się także o względy Gondy. Jej urocza naturalność, szlachetna szczerość, ujmujący uśmiech i zachwycające poczucie humoru ku zmartwieniu Helgi przyciągały mężczyzn. Po każdym z takich przyjęć Gonda musiała wiele znieść, gdyż siostra surowo krytykowała wszystko, co powiedziała czy zrobiła.

O ile Hans Leyden ze spokojem patrzył, jak mężczyźni składają hołdy Heldze, o tyle był zaniepokojony widząc Gondę otoczoną tłumem wielbicieli. Wystarczyło jednak, by ich oczy się spotkały, a znów odzyskiwał spokój. Na żadnego nie patrzyła tak jak na niego, a choć żartowała z każdym i śmiała się jak swawolne dziecko, złote iskierki w jej oczach należały tylko do niego.

Z coraz większym utęsknieniem myślał o dniu, kiedy będzie mógł się związać z nią na zawsze. Nie wystarczało mu już zamienienie z nią ukradkiem od czasu do czasu paru słów czy „przypadkowe” spotkania, kiedy udawała się samotnie na przejażdżki konne. Niekiedy odrywał się od pracy, spodziewając się ją spotkać. Próbował to robić na wszelkie możliwe sposoby, a potem szukał wytłumaczenia, dlaczego go spotkała. Wiedział co prawda, że o każdym takim spotkaniu powie ojcu, na szczęście ten był wyrozumiały, pozwalając mu na to. To były naprawdę cenne minuty, kiedy mogli gawędzić nie podsłuchiwani przez nikogo tonąc w sobie spojrzeniem, Niestety przestały mu one wystarczać.



Käthe cieszyła się skrycie z tej młodzieńczej miłości, nie mając pojęcia, że także Helga kocha się w Hansie Leydenie. Nie przyszło jej do głowy, że wyniosła, chłodna Helga mogłaby obdarzyć kogoś uczuciem, wierząc święcie, że któregoś dnia zdecyduje się na dobrze przemyślane małżeństwo z rozsądku. Z tego względu przyglądała się bacznie wszystkim panom bywającym na zamku, zastanawiając się, który z nich mógłby znaleźć łaskę w oczach Helgi. Zresztą w grę wchodziło najwyżej dwóch czy trzech, którym mógłby przypaść w udziale zaszczyt wprowadzenia młodej pani von Santen jako żony do własnego domu.

Z tych trzech Käthe podobał się najbardziej pan von Reinsberg, syn ziemianina z Hesji, który kilka razy do roku przyjeżdżał do Kassel odwiedzić krewnych i tu i tam spotykał się w towarzystwie z jej starszą bratanicą. Był to postawny mężczyzna około czterdziestki, niezbyt przystojny, ale za to bardzo interesujący. Käthe uważała go za mądrego i bystrego. Niestety był najwyraźniej tak samo dumny i zachowawczy w kontaktach z innymi jak Helga. Nigdy się do niej nie zbliżał, gdy otaczał ją tłum wielbicieli, ale gdy tylko spotkał ją samą, natychmiast nawiązywał rozmowę.

Starsze kobiety, kiedyś szczęśliwe mężatki, chętnie kojarzą małżeństwa. Ciotka Käthe nie była tu wyjątkiem. Co prawda nie przypuszczała, że pan von Reinsberg kocha Helgę, nie przyszło jej też do głowy, że Helga mogłaby kochać jego, lecz zauważyła, że jest nią wyraźnie zainteresowany. Sama uważała go za uczciwego człowieka z doskonałym nazwiskiem, choć zdawała sobie sprawę, że nigdy by się nie starał o Helgę, gdyby nie była bogata i utytułowana.

Lothar von Reinsberg korzystał z młodości, jak to zwykli byli czynić mężczyźni z jego kręgu, utwierdzając się w przekonaniu, że kobiety są dla swych mężów czymś w rodzaju słodkiej niewoli. Teraz nadszedł czas, aby pożegnać się z lekkomyślnym stylem życia „złotego młodzieńca” i ustatkować się. Nie pozostawało mu zatem nic innego jak zawarcie stosownego małżeństwa. Dobra jego ojca nie przynosiły tyle, aby mógł zrezygnować z majątku żony. Nie był łowcą posagów, jednakowoż musiał myśleć o dwóch zameżnych siostrach, które należało spłacić. Jego ojciec miał już pod osiemdziesiątkę i Lothar musiał liczyć się z jego rychłą śmiercią, a także i z tym, że jako główny spadkobierca przejmie także i to zobowiązanie.

Rozglądał się więc powoli wśród okolicznych panien na wydaniu, a kiedy jego wzrok padł na Helgę Ruthart, wydała mu się najodpowiedniejszą partią dla niego. Nie była uderzająco piękna, co według niego było zwykle źródłem kłopotów, ale i nie brzydka. Jej elegancja i wyniosła, nieprzystępna postawa zapewniały same korzyści i doskonale pasowały do roli, jaką miałyby odegrać u jego boku. Jej pozycja finansowa była doskonała, więc powoli, acz skutecznie zbliżał się do celu. Z początku wyglądało na to, że nie ma u niej szans, począł zatem pilnie obserwować, czy ktoś nie stoi mu na drodze. Był prawdziwym znawcą kobiet i nie dał się zniechęcić, tym bardziej że stwierdził, iż Helga nie znajduje odzewu tam, gdzie ją ciągnie serce. Od razu rzuciło mu się w oczy, gdy któregoś dnia zaczęła go kokietować we właściwy sobie, dystyngowany sposób, że robi to tylko po to, aby obudzić uczucie zazdrości w doktorze Leydenie. A więc tylko on wchodził w grę jako jego najpoważniejszy rywal.

Ukradkiem obserwował Leydena i stwierdził bardzo szybko, że ten wypatruje oczy na pełną wdzięku, młodszą siostrę Helgi. Co prawda mała Gonda była zachwycającą istotą, lecz jej siostra z całą pewnością bardziej pasowała do niego, bez żalu zostawił ją zatem doktorowi Leydenowi.

Tego dnia po raz pierwszy od śmierci starej pani von Santen miało się zebrać na zamku naprawdę duże towarzystwo. Zostali zaproszeni wszyscy, którzy kiedyś bywali u Helgi i jej babki. Przyjęcie miały uświetnić występy, choć nie mogło być jeszcze mowy o tańcach, jako że nie minął przepisowy rok żałoby. Po uroczystym obiedzie miała występować Helga, a także jej siostra, którą proszono, aby zaśpiewała parę pieśni do wtóru lutni. Gonda z początku się opierała, a Helga nie zadała sobie zbyt wielu trudów, aby ją przekonać. Za to nie przestała jej namawiać ciotka Käthe, to samo zresztą robili jej ojciec i doktor Leyden, wreszcie więc wyraziła gotowość odśpiewania najpiękniejszych malajskich pieśni ze swego repertuaru.

Obiad upłynął w przyjemnym nastroju i Lothar von Reinsberg zauważył z zadowoleniem, że Helga Ruthart czyni honory pani domu w wielkim stylu. Siedział przy stole mniej więcej na wprost niej, mógł ją zatem z powodzeniem obserwować i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że byłaby dla niego odpowiednią żoną.

Po obiedzie zaczęły się występy. Najpierw kilku panów odegrało czysto parę utworów zaliczanych do muzyki kameralnej i zebrało powszechne brawa. Potem śpiewali w duecie sopranistka i baryton. Gonda przysłuchiwała się im z zachwytem, a gdy napotkała wzrok Hansa Leydena, ku jego radości spłonęła rumieńcem. Po uwieńczonym brawami duecie nastąpiło solo na skrzypcach i allegro moderato z Schumanna, odegrane na fortepianie przez jedną z sąsiadek.

Teraz na podium zjawiała się Gonda, a zanim jeszcze zaczęła przygrywkę na lutni, szturmem zdobyła serca słuchaczy z powodu swego zmieszania. Zaczęła śpiewać blada z napięcia, lecz w salonie było tak cicho, że jej głos z sekundy na sekundę jął przybierać na sile. Najpierw odśpiewała kołysankę, potem balladę, a na końcu malajską pieśń miłosną. Nie robiła przy tym przerw między poszczególnymi utworami, chcąc widocznie jak najszybciej dobrać do końca. Pożegnały ją gromkie brawa, jakich tego wieczoru jeszcze nikt nie otrzymał, świadczące o tym, jak bardzo jej pieśni podobały się słuchaczom. Speszona do reszty przesuwała wzrokiem po salonie, po czym co prędzej wybiegła. Doszła do siebie dopiero wtedy, gdy ciotka Käthe, która podążyła za nią, zaczęła ją z entuzjazmem całować i oświadczyła, jak bardzo jest z niej dumna.

Gonda spojrzała na nią oddychając z ulgą.

— Ach, ciociu, już nigdy nie dam się namówić! To było straszne, kiedy goście naraz zaczęli klaskać.

Usłyszał to doktor Leyden, który niepostrzeżenie wymknął się z salonu, przeczuwając, w jakim stanie ducha jest Gonda, i z uśmiechem przystąpił do obu dam.

— Czy uważa pani, że było tak źle?

— Strasznie, już nigdy więcej nie odważę się tego zrobić.

Gdy to powiedziała, od razu stanął jej przed oczami pewien niedzielny ranek. Wtedy też go zapewniała, że nigdy więcej nie wystąpi. On też o tym pomyślał, a przy tym jego oczy patrzyły na nią tak ciepło i z taką bezgraniczną czułością, że pod jego spojrzeniem okryła się purpurowym rumieńcem.

— Musimy wrócić do salonu, za chwilę zacznie się występ Helgi i nie może nas zabraknąć, bo czułaby się obrażona — zaniepokoiła się ciotka Käthe.

W salonie Gondę od razu otoczono ze wszystkich stron, prawiając tyle komplementów na temat jej malajskich pieśni, że bezradnym wzrokiem szukała pomocy u Leydena, z ulgą przyjmując rozpoczęcie występu Helgi. Siostra z wielką wprawą grała Liszta, Chopina i Czajkowskiego, Leyden jednak nie patrzył na nią. Nie spuszczał oczu z Gondy, która w swej blado-niebieskiej, wyszywanej perłami sukni wyglądała niezwykle świeżo i młodzieńczo.

Właścicielka zamku także zebrała brawa, które przyjęła z dumną pewnością siebie jako należny hołd.

Kiedy koncert się skończył, Lothar von Reinsberg upatrzył stosowny moment, aby bez świadków zamienić parę słów z Helgą. Ta właśnie rozglądała się pałającymi oczami za Hansem Leydenem.

— Łaskawa pani, nie wiem, co mam bardziej podziwiać: pani uduchowioną grę na fortepianie czy wspaniały sposób, w jaki reprezentuje pani to bogate w tradycje, dumne ognisko domowe. Nie znam damy, którą można by porównać z panią, jeśli chodzi o zachowanie formy i umiejętność znalezienia się — powiedział grzecznie, ale nie tak, jak wygłasza się zdawkowe komplementy.

Drgnęła odrywając niechętnie wzrok od twarzy doktora Leydena i przyjrzała się zmrużonymi oczami Lotharowi von Reinsberg, po czym zmuszając się do uśmiechu rzekła:

—Przynajmniej nie stara się pan prawić mi komplementów w obecności innych, panie von Reinsberg. Wszyscy inni panowie sądzą, że są zobowiązani wynosić pod niebo moje cnoty i zalety, których zresztą nie posiadam, więc tym bardziej uważam ich zachwyty za dowód zakłamania.

—Nigdy bym się nie ośmielił prawić komplementów takiej mądrej, uduchowionej damie. Za to chcę pani powiedzieć, mając nadzieję, że nie będzie to dla pani nieprzyjemne, że mnie pani wyjątkowo interesuje. Mówiąc otwarcie: piękne kobiety są najczęściej głupie albo przynajmniej bezduszne. Mnie podobają się kobiety mądre,

—Nawet jeśli nie są piękne — rzuciła z gryzącą ironią.

—Ujmijmy to inaczej, proszę: nawet jeżeli niektórym nie wydają się piękne. Dla mnie wszystkie mądre kobiety są piękne, a jeśli jeszcze są tak dbałe o formę i wytworne jak łaskawa pani...

Policzki Helgi zaróżowiły się lekko, gdy spojrzała w wyrazistą, mądrą twarz von Reinsberga. Westchnęła w duchu rzucając tęskne spojrzenie na Leydena. Dlaczego on z nią tak nie rozmawiał? Dlaczego nie wydawała mu się na tyle pociągająca i uduchowiona, aby mógł ją pokochać? Wyprostowała się dumnie, spojrzała na niego jakby nieobecny wzrokiem i powiedziała cierpko:

—Niech pan zachowa te komplementy dla innej, panie von Reinsberg.

—Dobrze powiedziane! Jest pani taka wyniosła, lecz to właśnie mi się w pani podoba i nie dam się odstraszyć, przeciwnie. Przed koncertem pani mnie odrobinę kokietowała, tylko tyle, aby kogoś rozzłościć. Ponieważ jednak to się stało, ośmielę się panią spytać, czy byłaby pani skłonna mnie wysłuchać przez parę minut.

Znowu spłonęła rumieńcem. Von Reinsberg miał rację — wstydziła się teraz tego.

— Jestem do dyspozycji każdego z mych gości, jeśli mają ochotę ze mną rozmawiać — oświadczyła z takim spokojem, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Skłonił się.

— To też mi się podoba w pani, że pani nie zaprzecza, iż mnie kokietowała. Każda inna kobieta tak właśnie by zrobiła. Proszę zatem mnie wysłuchać. Pani mnie bardzo interesuje, wiem jednakowoż, że moje wyznanie przyjmie pani obojętnie. I wiem też, dlaczego! Może się mimo wszystko zdarzyć, że w przyszłości spotka panią gorzkie rozczarowanie, i wtedy proszę wspomnieć moje słowa. Powinna pani pamiętać, że wystarczy jedno skinienie i znajdę się u pani boku, aby być jej wyrozumiałym przyjacielem. Życzyłbym sobie, aby zechciała pani zostać moją żoną, Helgo Ruthart. Byłoby, to tak zwane małżeństwo z rozsądku. Proszę mi jednak wierzyć, małżeństwa zawierane z miłości nie zawsze są szczęśliwe, i nie zawsze są nieszczęśliwe małżeństwa z rozsądku, wręcz przeciwnie, te ostat-

nie mogą być bardzo szczęśliwe, jeśli bazują na wzajemnym szacunku. Czy przyrzeknie mi pani, że przemyśli to wszystko, co powiedziałem, kiedy... no cóż... kiedy poczuje się pani tak nieszczęśliwa, że mnie przywoła jako swego oddanego przyjaciela?

Helga wysłuchiwała go, wbrew swej woli, z prawdziwą uwagą, lecz kiedy skończył, zrodziło się w niej coś w rodzaju obronnego buntu.

— Nie rozumiem pana i nie wiem, co właściwie pan mi chciał powiedzieć.

Na jego ustach igrał wyrafinowany uśmiech.

— Wcale nie musi mnie pani teraz rozumieć, to nawet nie jest konieczne. Dla mnie jest ważne, że zrozumie mnie pani, gdy nadejdzie właściwy moment — gdy będzie pani potrzebowała wyrozumiałego przyjaciela. Nie musi mi pani w tej chwili nic mówić, proszę mi tylko przyrzec, że zapamięta pani me słowa. Zrobi to pani?

Spojrzała na niego niepewnie.

— To ostatecznie mogę panu przyrzec, takie coś do niczego nie zobowiązuje.

— Oczywiście, że nie! A teraz się oddalę, jako że nie chciałbym zabierać pani dłużej innym gościom. Jest pani tak doskonałą w każdym calu wizytówką tego zamku, że nie przebaczyłbym sobie, gdyby pani przeze mnie dopuściła się jakiegoś uchybienia przeciwko obowiązującym formom.

Złożył nienaganny ukłon, po czym zmieszał się z innymi gośćmi.

Helga podeszła szybko do stojącej w pobliżu grupy i włączyła się do rozmowy, jakby nic się nie stało. Nie mogła jednak nie powracać ciągle myślą do słów Reinsberga. Czego od niej chciał? Był jej tak doskonale obojętny jak wszyscy inni, oprócz tego jednego, którego z takim utęsknieniem pragnęła jej dusza, choć było to pragnienie samowolnego, rozpieszczzonego dziecka.

Lothar von Reinsberg, z niezgłębionym uśmiechem na ustach, podążał za nią wzrokiem, po czym spojrzał na Leydena i zauważył, że wymieniają promienne spojrzenia z Gondą.

Słodka jest ta mała! Ale nie dość bogata i nie to, czego on potrzebował. Niech będzie szczęśliwa z tym swoim doktorem Leydenem, wyświadcza mi przecież przysługę, usuwając z mej drogi niebezpiecznego rywala, myślał. Wreszcie wmieszał się w towarzystwo i był — jak zwykle — rozmowny i dowcipny. Rozmawiał później także z doktorem Leydenem, wpatrując się z zadowoleniem w jego twarz i myśląc przy tym: idąc z nim w zawody musiałbym przegrać, tacy mężczyźni zawsze podobają się kobietom. Ale kiedy on zostanie wykluczony z wyścigu, będę miał doskonałe widoki na przyszłość, w myśl tego, co sobie wcześniej przygotowałem.

Helga jednakowoż próbowała zapomnieć jego słowa, może właśnie dlatego, że ją trochę poruszyły. Wszystkimi zmysłami, każdą myślą była przy Hansie Leydenie. Gdybyż wreszcie zjawił się ten Georg Strasser i zaręczył oficjalnie z Gondą. Leyden uświadomiłby sobie wtedy, że nie może uczynić nic lepszego, jak starać się o rękę młodej właścicielki zamku Santen. Dumna Helga godziła się już nawet na to, aby pożądał jej jako bogatej dziedziczki. Instynktownie czuła, że Gonda stoi jej na drodze, i miała nadzieję ją unieszkodliwić, lecz jej uraza do siostry rosła z dnia na dzień.

## 16

---

Znów minęło parę tygodni i Gonda liczyła już godziny, kiedy Georg przyjedzie z rodzicami do Niemiec. Nie dziwiło ją, że nie otrzymała od niego ostatnio żadnej wiadomości. Przecież na pewno nie sprawiało mu przyjemności korespondowanie za pośrednictwem Lili Strasser. Zmuszony sytuacją musiałby się wtedy ograniczać do najbardziej podstawowych wiadomości. Na szczęście jednak został wezwany do Niemiec i teraz z pewnością był już w podróży, więc celowo nie pisał, aby sprawić jej niespodziankę, tak jak ona jemu. Nie miał pojęcia, że ona jest doskonale poinformowana o wszystkim.

To, że wyruszył w drogę zaraz po otrzymaniu telegramu od notariusza, wydawało jej się oczywiste. Mówiła bardzo często o Georgu, nawet w obecności

Hansa Leydena, nie kryjąc swej ogromnej radości. Helga bacznie obserwowwała w takich razach Leydena, lecz on przysłuchiwał się temu z uśmiechem. A więc tęsknota Gondy za przyjacielem nie wydawała się go specjalnie martwić. Słyszała też, jak szczegółowo omawia z Gondą całą niespodziankę, niemożliwe zatem było, aby kochał jej siostrę, skoro to wszystko pozostawiało go obojętnym. Dlaczego więc był taki zachowawczy wobec niej, Helgi?

Ostrożnie wypytywała ciotkę Käthe, czy Leyden otrzymuje listy adresowane delikatną kobiecą ręką, ta jednak energicznie zaprzeczyła. Świadczyło to, że nie jest związany z żadną kobietą. Skąd zatem ten chłód, z jakim odnosił się do niej? Choć nie uchodziła za taką piękność jak Gonda, przecież trudno jej było odmówić wdzięku. Nieustannie przypominały jej . się słowa Reinsberga. Dlaczego Leyden nie adorował jej tak, jak to czynił tamten?

Wyglądała często na smutną, wręcz przybitą, a Gonda nie wiedziała, jak ją pocieszyć. Było jej przykro, że to, co dla niej miało oznaczać szczęście, dla siostry będzie równoznaczne z przekreśleniem marzeń. Stanowiło dla niej prawie że ulgę, gdy Helga ciągle zadręczała ją swymi humorami. Gonda znosiła je cierpliwie i z takim poddaniem, że pokojówka, która niekiedy była świadkiem takich scen, spoglądała na nią ze szczerym współczuciem. Gonda pozyskała sobie na zamku serca wszystkich i w pokojach służby często się mówiło o tym, że łaska-  
wa panienska źle traktuje siostrę.

— Nie można tego tak zostawić — powiedziała kiedyś pokojówka. — Trzeba powiedzieć panu Ruthartowi albo pani LaBwitz, jak nasza pani źle się obchodzi z panią Gondą. Ona sama się nie poskarży. Często mam ochotę wtrącić się i przedstawić naszej pani swój punkt widzenia.

Pewnego razu Helga w obecności ojca do głębi zraniła Gondę swą szyderczą wypowiedzią i ten stanowczo stanął w obronie młodszej córki każąc Heldze wyjść. Gonda wstawiła się za siostrą.

— Nie gniewaj się na biedną Helgę, papo, wcale tego nie myślała, a jest tak nieszczęśliwa. Najwidoczniej sama cierpi, inaczej by mnie nie skrzywdziła.

Ojciec spojrział na nią badawczo.



—Co ty opowiadasz, dziecko! Helga miałaby być nieszczęśliwa?

—Tak, papo, wiem dobrze — odparła ze łzami.

—Musi być jednak jakiś powód, że jest nieszczęśliwa.

—Tego nie mogę ci powiedzieć. Gdybym to zrobiła, Helga nie byłaby zadowolona. Są cierpienia, które musi się znosić w samotności.

Pogłaskał ją po głowie.

—Mówisz tak, jakbyś sama zdażyła poznać, co to znaczy cierpienie.

—Tak, papo — przytaknęła. — Kiedy doktor Leyden gniewał się na mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało, to też mnie bolało serce tak jak teraz Helgę.

Był to dla Klause Rutharta sygnał, że Gonda, tak jak i on, przeczuwa, iż Helga kocha się nieszczęśliwie w Leydenie.

— Moje drogie dziecko — rzekł z westchnieniem — naprawdę żal mi Helgi, ale nawet jeżeli czuje się nieszczęśliwa, nie ma prawa tak cię ranić, jak to zrobiła przed chwilą. Czegóż takiego nie można puścić płazem, dlatego kazałem jej odejść.

Gonda nie odważyła się podnieść na niego oczu. Co by rzekł, gdyby j wiedział, że Helga potrafi się z nią obejść jeszcze gorzej i że zdarza się to ; nader często? Och, byłby jeszcze bardziej zasmucony niż teraz, dlatego też nie może mu tego wyznać.

—Ona nie jest temu winna, papo, że babka ją źle wychowała.

—Pewnie, że nie. Gdybym jednak pozwolił jej na takie zachowanie, j i ja miałbym ją wtedy na sumieniu, tak jak babka, nie rozumiesz tego?

—Teraz już wiem, o co ci chodzi. Jakże bym się cieszyła, gdybym i mogła dopomóc Heldze w osiągnięciu szczęścia. Wtedy nie robiłaby takich j rzeczy, jestem przekonana.

Wieczorem tego dnia przybył na zamek Hans Leyden z wiadomością, że otrzymał telegram od notariusza swego wuja. Telegram brzmiał: „Georg Strasser

przybywa z rodzicami sobota godzina jedenasta proszę wysłać samochód Schröter".

—To już jutro! — zawołała z radością Gonda. — Drogi papo, widzisz, on nie chciał nas powiadomić o zmianie, jaka nastąpiła w jego życiu, zanim wszystko nie zostanie załatwione, inaczej już z Hamburga wysłałby wiadomość, że przybył do Niemiec. Ale zrobi oczy, gdy niespodzianie spotka mnie w domu swego dziadka! Nie ma przecież pojęcia, że posiadłość, którą odziedziczył, leży tak blisko zamku S anten, i nie dowie się, dopóki nie stanę przed nim. Doktor Leyden prosił notariusza, aby nie zdradził tego Georgowi.

—Mam nadzieję — pokiwał z uśmiechem głową ojciec — że Georg przyszedł do siebie na statku. Dla jego rodziców to też dobrze, że mogli ruszyć w podróż, bo przecież są pogrążeni w żałobie po Kurcie, nie mówiąc już o tym, że po tylu latach bardzo potrzebują zmiany klimatu.

—Jak myślisz, papo, czy Strasserowie sprzedali Ramove, zanim wyruszyli?

— Chyba nie, tak szybko nie da się tego zrobić, tym bardziej gdy chodzi o taką podupadłą posiadłość jak Ramova. Drogi doktorze, jeszcze raz usilnie proszę, aby skorzystał pan ze swego autorytetu i uwolnił Georga spod dominacji ojca. Obstaję przy tym, aby Hermann Strasser nie miał prawa dysponowania majątkiem swego syna, jako że Georg, w swej bezprzykładnej dobroci, nie potrafiłby niczego odmówić ojcu.

—Może się pan o to nie kłopotać, panie Ruthart. Jak już panu powiedziałem, wuj podjął testamentowe kroki, aby człowiek, który bez skrupułów unieszczęśliwił jego córkę, nie miał najmniejszego udziału w spadku.

—To bardzo mądre posunięcie ze strony pańskiego krewnego.

—Nie wolno panu zapominać, że wuj rniął jak najgorsze zdanie o tym, który uprowadził jego córkę. Nienawidził go, ponieważ to za jego przyczyną pozostał samotny i nieszczęśliwy.

—Biedna pani Helena nie miała u jego boku życia usłanego różami, wiemy to aż za dobrze, choć nigdy nikomu o tym nie mówiła, najwyżej mojej żonie. Sam pan zresztą zrozumie, gdy pozna pan Strassera.

—Jestem zdecydowany odnieść się do niego zimno i będę się cieszył, jeśli uda mi się pomóc Georgowi. Jutro z samego rana poślę samochód do Getyngi, a sam udam się do domu wuja, aby powitać tam siostrzeńca.

— A kiedy ja będę mogła przyjść? — spytała niecierpliwie Gónda. Uśmiechnął się do niej.

— Powiedzmy o piątej. Ja sam przyjadę między drugą a trzecią. Do piątej powinno zostać załatwione to co najważniejsze. Polecę staremu służącemu mego wuja, aby wpuścił panią punkt piąta tylnym wejściem, po czym zaprowadził panią do salonu nie anonsując.

Gonda klasnęła w dłonie.

— Wspaniale! Zobacz pan, panie doktorze, jak się Georg zdziwi! A jak się będzie cieszył! Pójdiesz tam ze mną, papo?

Klaus Ruthart pokręcił przecząco głową.

—Nie, nie, w tej pierwszej godzinie będziecie mieli sobie tyle do opowiadania! Przyjadę o szóstej.

—A kiedy my będziemy mieć przyjemność poznać waszych przyjaciół? — spytała Helga, do tej pory przysłuchująca się w milczeniu.

Starła się okazać uprzejma, aby jak najprędzej zapomniano o tym, że ojciec wyprosił ją rano z pokoju. Przez całe popołudnie była uprzedzająco grzeczna dla Gondy, przeprosiła też ojca tłumacząc się zdenerwowaniem.

—Ależ Helgo — roześmiała się Gonda — doprawdy nie wiem, czy Strasserowie są na tyle cywilizowanymi ludźmi, by mogli ci zostać przedstawieni. Co innego Georg, on bez wątpienia może stanąć przed twymi surowymi oczami, jako że jest wytwornym, miłym w obejściu młodym mężczyzną. Niestety jego ojciec jest nieco toporny, a macocha... obawiam się, że ta ci się w ogóle nie spodoba.

—No cóż, nie mogę zaprosić tylko twego przyjaciela, muszę pogodzić się także z obecnością jego rodziców.

Gonda zastanawiała się przez moment, po czym zauważyła łobuzersko:

— Najpierw chciałabym sprawdzić, czy rodzice Georga, od kiedy są w Niemczech, zdołali nabrać odrobinę ogłady. Jeśli uznam, że ostatecznie mogą ci być przedstawieni, zaproszę ich na zamek w twoim imieniu. W przeciwnym razie powiem spokojnie Georgowi, że ma przyjść z wizytą sam, zgoda?

Następnego dnia Hans Leyden, zjadłszy obiad w towarzystwie pani Laßwitz, udał się do domu wuja. Pani Käthe z dobrego serca zaoferowała mu swój samochód, gdyż czekała go dość długa droga. Leyden przyjął go z podziękowaniem i całując jej dłoń rzekł:

— Kiedyż wreszcie będę się mógł odwdzińczyć za te wszystkie dobrodziejstwa, jakie mi pani wyświadcza?

Uśmiechnęła się filuternie.

— Niech pan nie myśli, że ja zapomnę upomnieć się w stosownym czasie o należne mi dzięki.

— Zawstydz mnie pani swą dobrocią!

— Nie mówmy o tym, kochany doktorze. Mnie się wydaje, że to ja jestem pańską dłużniczką, zyskując ciągle na tej naszej znajomości.

Musiał się roześmiać.

—Chciałbym wiedzieć, jak to pani sobie wyliczyła.

—W gronie przyjaciół wszelkie liczby są niepotrzebne.

—Ale przecież nie wolno tylko przyjmować, należy również coś dawać.

—A nie przynosi mi pan każdej niedzieli wspaniałego bukietu kwiatów, nie umiłał pan swym towarzystwem mej samotności, zanim przybyli mój brat i bratanica? I czy nie jest pan rękojmią bezpieczeństwa dla mego domu? Mam dalej wyliczać?

—Jeśli już przyszło do wyliczania, moja lista jest w znaczący sposób dłuższa.

—Dajmy spokój temu roztrząsaniu, co kto zyskał. Jeśli nie ukończymy tej wyliczanki, to spóźni się pan na spotkanie ze swymi nowymi krewniakami.

Pożegnał się całując ponownie dłoń miłej gospodyni i odjechał.

W domu wuja wszystko już zostało przygotowane na przyjęcie młodego spadkobiercy, tak jak Leyden sobie tego życzył. W jadalni nakryto odświętnie stół, a w kuchni królował niepodzielnie kucharz przygotowując uroczysty posiłek. Testator postanowił, że służba ma zachować swe miejsca jeszcze przez kwartał, a swemu staremu słudze wyznaczył rentę, zobowiązując spadkobiercę, aby ten go zatrzymał, jak długo zechce zostać i będzie zdolny do pracy. Gustav jeszcze się nie zdecydował, czy zostanie. Powiedział Leydenowi całkiem otwarcie, że najpierw musi zobaczyć młodego pana, zanim podejmie decyzję.

— Gdyby pan, doktorze, był spadkobiercą, nie zastanawiałbym się ani chwili i prosiłbym, by zatrzymał mnie pan na służbie. Jestem już za stary, aby dać sobą pomiać jakiemuś młokosowi z humorami. Muszę go w pierw zobaczyć.

Nakrywszy odświętnie stół i ustawivszy wszędzie kwiaty, Gustav czekał teraz z doktorem Leydenem na przybycie wysłanego rano samochodu.

Goście przyjechali kwadrans po drugiej. Hans Leyden nie mógł się powstrzymać, aby nie przyjrzeć im się ukradkiem z okna, zanim weszli do domu, gdzie miał ich przywitać. Z powodu zaciągniętych zasłon nie zdołał za wiele wyczytać z ich twarzy, zauważył jedynie, że obaj mężczyźni mają na sobie źle skrojone, tanie ubrania, towarzysząca zaś im dama odznacza się bujnymi kształtami. To skromne odzienie można było zresztą zrozumieć, prawdopodobnie zostało niedrogo nabyte w Hamburgu.

Gonda tyle dobrego opowiadała o Georgu Strasserze, co potwierdził jej ojciec, że Leyden był gotów przywitać go bardzo serdecznie. Przeszedł zatem do hallu, gdzie Gustav właśnie wprowadzał gości, i przywitał najpierw doktora Schrótera, notariusza, a ten przedstawił mu przybyłych. Ku swemu ubolewaniu już na pierwszy rzut oka Leyden stwierdził, że trudno mu będzie zdobyć się na sympatię dla Georga, tak samo jak nie budzili sympatii jego ojciec i macocha. Jeśli chodzi o tych ostatnich, był na to przygotowany, kompletnie jednakowoż

rozczarował go Georg. Nie mógł pojąć, dlaczego Gonda tak odmiennie opisywała mu tego młodego człowieka..

Zwalczył mimo to w sobie graniczące z niechęcią uczucie i powitał wpierw Lili Strasser, potem jej męża, a na końcu Georga. Ten skłonił się przed nim niezgrabnie i z całej siły uściśnął wyciągniętą do niego dłoń, po czym odpowiedział nieskładnie na zadane mu przez Leydena pytanie o podróż, zerkając raz po raz z zakłopotaną, a zarazem zdradzającą upór miną na ojca, który zachowywał się już jak nowy pan domu. Leyden z miejsca to zauważył, zwrócił się więc co prędzej do notariusza:

—Czy państwo poznali już treść testamentu mego wuja, panie doktorze?

—Nie, omówiliśmy na razie tylko najważniejsze rzeczy. Obejrzałem dokumenty spadkobiercy i stwierdziłem, że są w porządku. Testament ma zostać odczytany tu, przed przekazaniem posiadłości młodemu właścicielowi.

Hermann Strasser spojrział niezbyt przyjaźnie na Hansa Leydena i spytał lustrując go od stóp do głów:

— Czy doktor Leyden jest w jakiś sposób uprawniony do tego, aby był obecny przy odczytywaniu testamentu mego teścia?

Trudno byłoby opisać wyraz twarzy doktora Schrótera

— W rzeczy samej, panie Strasser, doktor Leyden należy do spadkobierców testatola, natomiast pańska obecność jest tu niepożądana.

Strasser popatrzył ze złością na notariusza

—Proszę wybaczyć, reprezentuję tutaj interesy mego syna, którego praw zamierzam bronić.

—Pański syn jest pełnoletni i znajduje się tu z nami, zatem sam będzie decydował o wszystkim.

Uwagi Leydena nie uszedł wyraz twarzy młodego krewniaka. Była w niej autentyczna radość, że ojciec dostał po nosie, w żadnym wypadku jednak nie do-

wodziło to wytwornych manier, które Gonda tak często przypisywała w jego obecności Georgowi.

— Tak czy tak zamierzam być przy tym obecny jako doradca mego syna — oświadczył cierpko Hermann Strasser posyłając Leydenowi wrogie spojrzenie.

To i jego zachowanie wystarczyły, aby Leyden zapragnął natychmiast opuścić dom swego wuja, pomyślał wszakże o tym, że przyrzekł ojcu Gondy wziąć Georga w obronę przed jego własną rodziną, powiedział więc spokojnie:

—Jeśli państwu to odpowiada, usiądźmy wpierw do stołu. Państwo z pewnością jesteście głodni po tak długiej jeździe. Jeśli chcecie się państwo odświeżyć, to bardzo proszę, czekają pokoje, które kazałem dla państwa przygotować. Przebrać się państwo chyba nie możecie, bo jak widzę, nie przywieźliście ze sobą bagażu.

—Nasze rzeczy zostaną dostarczone później. Zostawiliśmy je chwilowo w Hamburgu, ponieważ wpierw chcieliśmy usłyszeć, dokąd mają zostać wysłane. Georg, Lili, chodźcie, umyjemy ręce.

Leyden zadzwonił na Gustava, a ten zaprowadził gości do ich pokoi. Zostawszy sami, obaj panowie spojrzeli na siebie, a w ich oczach było zdumienie i niedowierzanie. W końcu notariusz rzekł:

— Nie potrafię sobie wyobrazić, że mój stary przyjaciel Waldenburger cieszyłby się z takiego wnuka.

Leyden westchnął ciężko.

— Jestem tak samo niemile zaskoczony jak pan, doktorze. Opisano mi Georga Strassera jako wrażliwego, wytwornego w obejściu i wykształconego młodzieńca, choć nie pozostawiono mi złudzeń, jeśli chodzi o jego rodziców.

— No cóż, miejmy nadzieję, że pierwsze wrażenie nas zmyliło i że ten młody mężczyzna jednak okaże się godzien spadku, jaki zostawił mu dziadek. W każdym razie nie pozostaje nam nic innego, jak spełnić nasz obowiązek.

Hans Leyden przytaknął, nie przestał wszakże zachodzić w głowę, jak Gonda i jej ojciec mogli uważać tego niezdarnego, nieokrzesanego gbura za myślącego, wykształconego człowieka.

Nie trwało długo, a tamtych troje pojawiło się znowu, aby od razu przejść do jadalni, gdzie ich poproszono. Przy stole Leyden raz po raz znajdował powód, aby dziwić się prostackiemu zachowaniu Georga. Hermann Strasser wykazywał żalosne resztki jakiej takiej ogłady, Lili starła się odpowiednio zachować, jeden Georg zdradzał maniery źle wychowanego prostaka, a sposób, w jaki wpatrywał się w obu dopiero co poznanych mężczyzn, będący mieszaniną bezczelności i niepokoju, tym ostatnim wyjątkowo się nie podobał.

Leyden wciąż od nowa zapytywał się w duchu, jak Gonda Ruthart mogła przypisywać takie dodatnie cechy temu odstręczającemu typowi. Na myśl, że może go powitać z siostrzaną czułością, zdjął go fizyczny wstręt.

Rozmowa przy stole nie należała do najbłyskotliwszych, co raz utykała, podtrzymywana z trudem. Pani Lili starła się robić dobre wrażenie, gdy tymczasem jej mąż nie przestawał spoglądać z góry na doktora Leydena i notariusza, a Georg zajął się jedzeniem, zgarniając co się dało na swój talerz. Zarówno Hans Leyden, jak i notariusz przyjęli koniec posiłku z wyraźną ulgą.

Wstawszy od stołu wszyscy udali się do gabinetu zmarłego właściciela i zasiedli wokół okrągłego stołu. Doktor Schröter wyjął z teczki testament i rozłożył go, aby powoli, słowo po słowie, odczytać na głos postanowienie testatora. Leyden rzucił wzrokiem na Strassera i stwierdził, że jego twarz w miarę czytania robi się coraz dłuższa. Pani Lili spoglądała speszona na męża, a Georg patrzył spod oka na ojca, z jego spojrzenia zaś można było wyczytać zaskoczenie i drwinę.

Po głośnym odczytaniu testamentu rodzicom nie pozostało nic innego, jak możliwie szybko odejść na bok i oczekiwać w pełnej respekcie odległości, co im przyzna łaska syna. Zemsta teścia nawet zza grobu dosięgła skalanego winą zięcia.

Leyden obserwował ukradkiem Georga. Choć był najdalszy od uzalania się nad Strasserem, na którym jego wuj zemścił się poprzez swą ostatnią wolę, zde-



cydowanie nie podobał mu się urągliwy, zdradzający radość ze szkody ojca uśmiech siostrzeńca. To z całą pewnością nie był wrażliwy człowiek o wielkim sercu, jak przedstawili go Klaus Ruthart i Gonda.

Chyłkiem spojrział na zegarek. Tymczasem zrobiła się prawie piąta i lada moment mogła pojawić się Gonda. Wręcz się obawiał tego, że ona rzuci się temu nieokrzesanemu wyrostkowi na szyję i zacznie go czule witać. Jakże samotna musiała czuć się w Dahomy, skoro obdarzyła gorącą przyjaźnią tego odpychającego chłopaka!

Nie pojmował też Klause Rutharta. Jakże mógł pozwolić, aby jego nieoświadczona córka przyjaźniła się z takim odstręczającym drągalem, który miał wyraźnie wypisane na twarzy cechy charakteru.

Kiedy doktor Schröter skończył odczytywanie testamentu, zapadło głucho milczenie. Notariusz wsunawszy dokumenty do teczki czekał, aż te trzy zainteresowane osoby zabiorą głos w sprawie ostatniej woli Waldenburgera, najwyraźniej jednak młody spadkobierca nie wiedział, co powiedzieć.

Nerwy Leydena były napięte do ostateczności. Nadśluchiwał, czy nie zbliża się Gonda. Wiedział, że do tego domu już nie wejdzie, z tymi ludźmi nie chciał mieć nic wspólnego. Gonda i jej ojciec też przecież muszą się wreszcie przekonać, gdy zobaczą ich w cywilizowanym otoczeniu, że to nie jest dla nich towarzystwo.

Wzdrygnął się na dźwięk otwieranych drzwi. Na progu stała wesoło uśmiechnięta Gonda. Tylko Leyden i notariusz widzieli, jak weszła, tamci byli odwrócenii plecami do drzwi.

Gonda skinęła porozumiewawczo Leydenowi głową i zawołała głośno:

— Dzień dobry, Georg!

Jak na komendę wszyscy troje odwrócili się i wpatrzyli w nią szeroko otwartymi oczami, jakby zobaczyli ducha. Tak samo, nie pojmując, o co chodzi, wpatrywała się w nich Gonda. Naraz zbladła jak ściana i wyjąkała drżącym głosem:

— Mój Boże, Kurt, myślałam, że ty... twoja matka mi przecież pisała, że nie żyjesz... Gdzie w takim razie jest Georg?

Hans Leyden i notariusz zdumieli się, z napiętą uwagą śledząc bieg wydarzeń.

—Czego pani tutaj chce, czego pani tu szuka? — krzyknął Hermann Strasser próbując się opanować.

—Chciałam tylko przywitać się z Georgiem, panie Strasser. Mój Boże, dlaczego pan na mnie patrzy takim złym wzrokiem? Gdzie jest Georg?

—Niech się pani stąd zabiera, nikt pani tu nie wołał! — ryknął grubiańsko Strasser.

Pani Lili zrazu zerwała się, po czym z powrotem opadła na fotel. Kurt stał z tyłu, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Łaskawa pani, to nie jest Georg Strasser? — spytał Leyden podchodząc do Gondy i wskazując na Kurta.

Zaprzeczyła gwałtownie głową, a z jej oczu puściły się łzy.

— O nie! Jakże mógł pan myśleć, że to mój ukochany przyjaciel Georg?! To jego przyrodni brat Kurt, o którym jego matka mi pisała, że zmarł na malarię. Na miłość boską, co to ma znaczyć? Kurt, powiedz mi wreszcie, gdzie jest Georg!

Leyden zaczynał powoli pojmować, doktor Schröter przyglądał się całej scenie z równie napiętą uwagą. Kurt Gärtner tymczasem wsunął ręce do kieszeni spodni i oświadczył szorstko, patrząc na ojczyrna i matkę:

— No i macie pasztet! Teraz róbcie sobie z tym, co chcecie. Ja jestem niewinny!

Z tymi słowy odwrócił się, jakby to wszystko przestało go obchodzić, i stanął w oknie odwrócony tyłem do pokoju.

Leyden, rzuciwszy poważne spojrzenie na notariusza, stanął przed Strasserem i spytał energicznie:

— Może byłby pan łaskaw wyjaśnić nam tę zagadkę! Przedstawia nam pan tego tu oto młodego człowieka jako swego syna Georga, panna Ruthart jednakowoż utrzymuje, że nie nazywa się on Georg, lecz Kurt. Słyszałem, że ma pan pasierba imieniem Kurt, pańska żona napisała zaś pannie Ruthart, że Kurt nie żyje. Pytam zatem pana: Gdzie jest mój siostrzeniec Georg Strasser?

Hermann Strasser próbował odpowiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Spojrzał na żonę, która wpatrywała się przed siebie szeroko otwartymi z przerażenia oczami, a że mąż milczał, zaczęła lamentować:

— Dobry Boże, moi panowie, jesteście tacy nieszczęśliwi! Wszystko musiało się wydać, bo pojawiła się tu znienacka Gonda, a myśleliśmy, że jest daleko stąd. Jakże ona się tutaj znalazła?

— Panna Ruthart przybyła z zamku Santen, który leży w pobliżu, aby sprawić niespodziankę swemu przyjacielowi. Może mi państwo wreszcie powiecie, gdzie jest mój siostrzeniec — odpowiedział w imieniu Gondy.

Pani Lili przełknęła kilka razy głośno ślinę, rozejrzała się wokoło ze strachem i podniosła przed Gondą ręce w błagalnym geście.

— Gondo, na miłość boską, niech pani nam pomoże, niech pani nas ratuje. Georg... Georg nie żyje...

Gonda krzyknęła i śmiertelnie blada opadła na fotel, wybuchając płaczem.

— Nie żyje?! Mój biedny, kochany Georg nie żyje?! Georg, a nie Kurt?! — wyjąkała z trudem.

— Tak, Gondo, tak! Sama pani najlepiej wie, jaki chorowity był Georg. Kiedy państwo wyjechaliście, zaczął gasnąć w oczach z każdym dniem, nie mieliście jednak prawa wiedzieć, że tak się źle czuje i że prawie w ogóle nie może wstać z łóżka. Całymi dniami pisał do was listy, a wasze zdjęcia wiecznie stały przed nim. Będąc w malignie cały czas rozmawiał tylko z wami, aż wreszcie wyzionął ducha. Pani najlepiej wie, jak nam było ciężko i że zawsze żyliśmy w nędzy. Wraz ze śmiercią Georga miały przepaść pieniądze, które zapisał mu dziadek, a których tak potrzebowaliśmy. I wtedy przyszło nam do głowy, aby rozgłosić o śmierci Kurta, a on sam miał żyć nadal jako Georg. Nie było to trudne, pani

przecież wie, że mieszkaliśmy z dala od świata i malajski lekarz, który odwiedzał Georga od czasu do czasu w trakcie jego choroby, nigdy go nie pytał o imię i wystawił świadectwo zgonu tak, jak mu to podyktowaliśmy. Ledwie pogrzebaliśmy Georga, a tu nadchodzi telegram z wiadomością, że dziadek zapisał mu w spadku cały majątek. Nie mogliśmy się oprzeć pokusie polepszenia naszych warunków, tłumacząc sobie, że w tej sytuacji mój mąż jest spadkobiercą Georga, zatem wszystko tak czy tak jest nasze. Uznaliśmy jednak, że będzie prościej, jeśli w miejsce Georga podstawimy Kurta. O pani też myśleliśmy, Gondo, postanowiliśmy wszakże schodzić pani z drogi. Wymyśliłam historyjkę o skaleczeniu ręki przez Georga, aby nie była pani zdziwiona nagłym brakiem listów od niego. Zamierzałam zresztą raz na jakiś czas przesłać pani parę słów, licząc, że w którymś momencie owo zainteresowanie wygaśnie. Wszystko poszłoby jak z płatka, gdyby na nasze nieszczęście nie zjawiała się tu pani, Gondo. Wyjechaliśmy zaraz po otrzymaniu telegramu zostawiając Ramove na pastwę losu. A teraz wszystko stracone. Niech się pani zlituje, Gondo, i nam pomoże przez pamięć na Georga!

Gonda słuchając tej spowiedzi popłakiwała cicho. Ból po stracie przyjaciela był jeszcze zbyt świeży. Nie mogła się pogodzić z tym, że ukochany Georg, z którym wychowywała się i wzrastała, umarł, samotny i opuszczony w Ramovie, gdzie nie było nikogo, kto by go rozumiał.

Doktor Leyden spoglądał na nią ze współczuciem, oddychając w skrytości ducha z ulgą, że odpychający chłopak, jakiego przywieźli ze sobą Strasserowie, nie jest jego siostrzeńcem i przyjacielem Gondy. Ta opanowała się z trudem, ujmując prosząco, a zarazem z ogromnym zaufaniem jego dłoń.

— Panie doktorze, niech pan coś doradzi! Proszę o pańską pomoc ze względu na mego biednego Georga! Co mamy teraz robić?

Pochylił się nieco i zajrzał jej uspokajająco w oczy.

— Proszę spróbować się uspokoić, łaskawa pani. Rozumiem pani ból, lecz mój siostrzeniec przez to nie ożyje. Mówię otwarcie, zależy mi, aby tę sprawę załatwić bez rozgłosu. Nie życzyłbym sobie, aby w tę nieszczęsną historię zostało wplątane nazwisko mego wuja. Pan doktor Schröter przez całe lata prowadził

jego sprawy i jako adwokat doskonale zna prawo, poprosimy go więc, aby nam doradził, co robić. Kochany doktorze, prosimy o pomoc!

Doktor Schröter bacznie się wszystkiemu przysłuchiwał i zdążył już nawet znaleźć rozwiązanie. On również nie chciał, by nazwisko jego długoletniego przyjaciela zostało uwikłane w proces kamy, jakkolwiek chętnie dalby nauczkę temu aroganckiemu Strasserowi choćby dlatego, że zniszczył Wałdenburgerowi życie.

— Na szczęście cała ta sprawa znana jest tylko obecnym tu osobom — zaczął. — Tylko my wiemy, że dokonano tu próby podsunięcia fałszywego spadkobiercy. Najistotniejsze w tej chwili jest to, że ponieważ Georg Strasser nie żyje, pan, doktorze Leyden, zostaje jedynym spadkobiercą swego wuja.

Leyden drgnął zaskoczony. Nie zdążył jeszcze o tym pomyśleć.

—Ja? — krzyknął nie rozumiejąc.

—Oczywiście, zna pan przecież ostatnią wolę swojego wuja. Jeśli Georg Strasser umrze, nie pozostawiwszy dzieci, które byłyby jego prawnymi spadkobiercami, to pan jest jego następcą w dziedziczeniu. Sprawa jest całkiem jasna, trzeba jedynie dostarczyć akt zgonu Georga Strassera. To ostatnie powierzmy jego ojcu. Jeśli nie chce, aby jego sprawa trafiła do prokuratora, to musi tak szybko, jak to możliwe, załatwić ten dokument.

Hermann Strasser odzyskał wreszcie mowę.

— Ależ to niemożliwe, abyśmy mieli stąd odejść z pustymi rękami. Jesteśmy zrujnowani, kompletnie zrujnowani! Co z nami będzie?

Dłoń Gondy wkradła się prosząco w rękę Leydena.

— To ojciec Georga — szepnęła z zamglonymi od łez oczami.

—Posłuchajcie mnie państwo — rzekł Hans Leyden prostując się. — Nie zostawię was swemu losowi, ponieważ jesteście rodzicami mego siostrzeńca. Dostaniecie te pięćdziesiąt tysięcy marek, które zostały zapisane mnie, jak tylko znajdzie się w mych rękach prawomocny akt zgonu waszego syna Georga. To pozwoli wam nieco poprawić warunki życia. Najlepiej będzie, jak niezwłocznie

wróćcie na Sumatrę i uporządkujecie tę sprawę. Nie będzie to takie trudne, zwłaszcza, że zawsze możecie się powołać na pomyłkę malajskiego lekarza.

—Nie możemy wrócić, nie mamy na podróż — powiedział spuściwszy z tonu Strasser.

—Dobrze, w takim razie dostaniecie pieniądze na podróż albo jeszcze lepiej, wystawię wam czek. To tylko proście panny Ruthart zawdzięczacie, że zostaliście potraktowani tak łagodnie, choć z pewnością na to nie zasłużyliście.

Strasser próbował jeszcze dyskutować, ale zarówno Leyden, jak i notariusz pozostali nieugięci, nie pozostawiając mu cienia wątpliwości, że musi się do tego zastosować i jeszcze dziękować Bogu za te pięćdziesiąt tysięcy marek. Strasser zażądał od razu połowy tej sumy, lecz Hans Leyden odmówił kategorycznie.

Próbował jeszcze tego czy tamtego wybiegu, co dowodziło tylko, jak jest bezwstydnym, ostatecznie jednak musiał zrezygnować, nie osiągnąwszy nic więcej ponad to, co mu wcześniej przyznano.

Podczas tych pertraktacji nadjechał Klaus Ruthart, który także chciał powitać Georga. Gonda z płaczem wybiegła mu naprzeciw i opowiedziała, co się stało. Z poważną, bladą twarzą stanął Ruthart przed swym byłym sąsiadem.

— Widzi pan, panie Strasser, dokąd pana zaprowadził pozbawiony zasad styl życia. Niech to będzie przestroga, a te pięćdziesiąt tysięcy marek, które panu łaskawie przyznano, niechże pan wyda rozsądnie, mając na uwadze podźwignięcie Ramovy. Dziękujcie Bogu, że nie zostaliście wydani policji. Ponieważ Georg zmarł bezdusznie, Ramova, która do tej pory była jego własnością, teraz prawnie należy do was. Do ustalenia prawa własności również jest wam potrzebne świadectwo zgonu, a więc postarajcie się to szybko załatwić. Jedyne okoliczność, że jest pan ojcem Georga, skłoniła doktora Leydena do potraktowania was łagodniej, niżby należało, zatem przynajmniej w przyszłości żyjcie tak, jak by to było miłe Georgowi.

My, moja córka i ja, bardzo bolejemy nad tym, że go straciliśmy, niechże więc nam pan chociaż opowie o jego ostatnich chwilach. Strasser zaczął ochrypłym głosem:

— Od waszego wyjazdu Georg podupadał coraz bardziej na zdrowiu, jak gdyby nie było już w nim ochoty do życia. Był za słaby, aby jeździć na plantacje, za to porządkował me księgi, ponieważ za wszelką cenę chciał być użyteczny. Kiedy to skończył robić, załamał się do reszty. Wyglądało na to, że życie przestało dla niego mieć sens. Moja żona pielęgnowała go z poświęceniem, możecie mi wierzyć, i to nie tylko dlatego, że w razie jego śmierci stracilibyśmy nadsyłaną regularnie sumę. Nic go już nie cieszyło, jedynie wasze fotografie z Hamburga. Kazał je sobie włożyć do trumny. Tak, czuł, że musi umrzeć, a na dzień przed śmiercią powiedział mi: „Umieram pogodzony z losem, ojcze, bo już do niczego nie jestem zdatny”. Potem zgasł jak zdmuchnięty płomień, do końca wpatrując się w wasze fotografie i rozmawiając z nimi, jak gdyby mogły go zrozumieć.

Gonda szlochając rzuciła się w ramiona ojca. Przytulił ją, a w jego oczach również zabłyśły łzy.

Kurt odwrócił się znów twarzą do pokoju, zmiarkowawszy, że wszystko wygląda lepiej, niż się zapowiadało. Ostatecznie przecież ojczym dostał pięćdziesiąt tysięcy marek i potrzebną na podróż sumę, zatem nie był to taki zły interes.

Leyden wsadził trójkę oszustów do samochodu swego wuja i kazał ich odwieźć do Kassel, skąd mogli wrócić do Hamburga. Dobiegły go przy tym słowa Kurta Gartnera:

— Od razu mówiłem, tato, że lepiej zostawić bagaże w Hamburgu. Inaczej na próżno ciągnęlibyśmy je ze sobą.

Klaus Ruthart i jego córka pożegnali się. Gonda nie przestawała łkać, ojciec więc uznał, że najważniejszą rzeczą jest teraz, aby się uspokoiła. Hans Leyden miał zasiąść z notariuszem do omówienia szczegółów związanych ze spadkiem, przedtem jednak odprowadził Ruthartów do wyjścia.

— Łaskawa pani, rozumie się, że to była nader smutna niespodzianka. Tak mi przykro, że nie mogłem jej tego oszczędzić — rzekł ujmując rękę Gondy.

Spojrzała na niego zapłakanymi oczami.

— Pan nie znał Georga, panie doktorze, więc nie może pan pojąć ogromu naszej straty. Tak bardzo mnie boli, że musiał umrzeć właśnie teraz, kiedy los

uśmiechnął się do niego. Był taki nieszczęśliwy... Panu trudno pojąć, jak nam go żal...

—Mimo to dzielę z wami wasz smutek. Możecie sobie państwo wyobrazić, jakie to było dla mnie przerażające, kiedy przedstawiono mi tego nieokrzesanego Kurta jako mego siostrzeńca. Nie mogłem pojąć, jak można było mieć dla kogoś takiego tyle miłości i szacunku.

—Tak, Kurt był zawsze gburem, absolutnie różnym od swego przyrodniego brata, którego tak często zadreślał w brutalny sposób. Wiem, że to bardzo brzydko, panie doktorze, ale pytam sama siebie, czy nie byłoby lepiej, gdyby zamiast naszego kochanego Georga umarł ten prostak? Jestem na pewno bardzo zła, że pytam, dlaczego szlachetny młodzieniec musiał odejść, a ordynusowi wolno żyć.

—Wcale nie jest pani zła, to pytanie nasuwa się samo, lecz nie sposób na nie odpowiedzieć, tak jak i na wiele innych. A teraz proszę spróbować się uspokoić i nie przyczyniać trosk ojcu i przyjaciołom. Proszę powiedzieć sobie, że pani przyjaciel Georg nie zaznałby wiele radości w życiu ze swym wiecznie niedomagającym ciałem, i zapomnieć o tej całej obrzydliwej aferze z jego rodziną.

Skinęła mu na pożegnanie głowę i odeszła prowadzona przez ojca.

Nadeszła zima, lecz Gonda na razie mogła każdego dnia wyjeżdżać na przejażdżkę konną, jako że nie spadł jeszcze śnieg i był tylko lekki mróz. Takie przejażdżki zawsze ją bardzo pokrzepiały, więc lubiła je bardzo. Na zamku Santen wszystko biegło ustalonym trybem. Wiadomość o śmierci przyjaciela Gondy zbi-



ła Helgę z tropu, a sposób, w jaki siostra go opła-- kiwała, potwierdził tylko, że był to rzeczywiście tylko przyjaciel z lat młodości.

Ponieważ Hans Leyden chciał pozostawić Gondzie czas, aby uporała się z bólem po śmierci Georga, nie zmienił na razie swego stosunku do niej, odbył natomiast rozmowę z Klausem Ruthartem. W kilka dni po zdarzeniu, jakie miało miejsce w domu jego wuja, powiedział mu:

— Pan już wie, panie Ruthart, że odziedziczyłem majątek wuja i jestem teraz zdolny zapewnić żonie dostatnie życie. Zdecydowałem się osiąść w posiadłości wuja, będę nią zarządzał i ewentualnie powiększę. Jak tylko ukończę budowę kolei, zrezygnuję ze stanowiska inżyniera, gdyż będę miał tutaj większe pole działania. Tym samym odpadnie też troska, że Gonda musiałaby się rozłączyć z panem. Choć byłaby już mą żoną, zostałaby w pobliżu. Proszę zatem pana usilnie, aby mi pan zezwolił na rozmowę z nią, skoro tylko nadarzy się po temu okazja. Naturalnie pozostawię jej czas, aby mogła przeboleć stratę Georga, ale chyba pan rozumie, że nie chciałbym dłużej zwlekać z ułożeniem sobie życia.

Klaus Ruthart uścisnął mu mocno dłoń.

— Oczywiście, że pana rozumiem, kochany doktorze, w tej chwili nie ma już żadnej przyczyny, abym prosił pana o zwłokę. Cieszę się z całego serca, że Gonda, nawet jako pańska żona, zostanie w pobliżu. Przyznaję otwarcie, że bardzo bałem się tej rozłąki, a jeszcze bardziej tego, że moja mała Gonda musiałaby się przenieść do ciasnego mieszkania w mieście. To byłoby dla niej trudne. Na szczęście wszystko ułożyło się cudownie. Bardzo się cieszę, że pan chce tu osiąść i sam zarządzać swym dziedzictwem. Proszę zatem czynić, co panu dyktuje serce.

Hans Leyden, jakkolwiek z dużą niecierpliwością, odczekał jakiś czas. Przeprowadził się do domu wuja, angażując na nowo jego starą służbę. W tej sytuacji sędziwy Gustav także pozostał u niego jako służący. Na razie

Leyden nie mógł zostać uznany oficjalnie spadkobiercą, jako że nie nadszedł jeszcze akt zgonu Georga, ale ostatecznie była to tylko formalność. Pani Käthe z żalem rozstawała się ze swym sublokatozem, lecz rozumiała, że on nie chce dłu-

żej nadużywać jej gościnności, skoro w pobliżu posiada wygodny dom, w dodatku nie tak oddalony od jego obecnego miejsca pracy.

Któregoś wieczoru na zamku Santen —jako że pod tym względem nic się nie zmieniło i nadal bywał tam często wieczorną porą — usłyszał, jak Gonda mówi do ciotki:

— Przyjadę do ciebie jutro przed południem, ciociu Käthe, myślę, że gdzieś tak koło jedenastej. Przybędę konno, bo wkrótce będzie już za zimno na te moje przejażdżki. Z dnia na dzień robi się coraz chłodniej.

Zapamiętawszy to sobie, następnego dnia przed południem wymknął się ci-chaczem z miejsca pracy i czekał na Gondę w lesie między zamkiem a posiadło-ścią pani Laßwitz, zresztą nie wcześniej niż koło dwunastej, licząc, że o tej porze będzie wracać. Nie potrzebował długo czekać, już po chwili bowiem ujrzał szczupłą sylwetkę na koniu, wyjeżdżającą kłusem od pani Käthe i zdążającą do lasu. Ukryty między drzewami czekał na nią, dopóki nie wjechała na leśną ścieżkę, i wtedy stanął na drodze. Ujrzawszy go przed sobą zarumieniła się nieco i wstrzymała konia, spoglądając na niego z wysokości siodła swymi cudownymi oczami.

—Dzień dobry, panie doktorze!

—Dzień dobry, łaskawa pani! Ma pani przed sobą inżyniera, który zapomniawszy o swych obowiązkach opuścił samowolnie pracę i czeka tu na panią jak rozbójnik. Wiedziałem, że pani dziś przed południem odwiedzi ciocię. Była-by pani tak uprzejma zsiąść z konia i przejść się ze mną kawałek?

Skinęła mu z uśmiechem głową, choć przecież nieco zakłopotana, chcąc jak zwykle bez pomocy zeskoczyć z siodła, ale on chwycił ją w ramiona i przytrzymał mocno nieco dłużej, niż to było konieczne. Patrzył przy tym z ogromną tkliwością w jej oczy. Zadrżała pod jego spojrzeniem i zmieszana uwolniła się z jego objęć. Bez słowa wyjął z jej rąk cugle i przywiązał do pnia drzewa, odebrał jej także pejcz i umocował przy siodle. Następnie zdjął z jej prawej ręki rękawiczkę, a potem z lewej. Pozwalała mu na to onieśmielona jak nigdy.

— A cóż to za przygotowania, panie doktorze? — spytała niepewnie.

Ogarnął ją gorącym spojrzeniem.

— Rękawiczki są zbyt ciężkie, chcę trzymać pani dłonie bez tych dokuczliwych osłon, a żeby pani nie zmarzła, będę je mocno ścisnął i ogrzewał własnymi. A więc, kochana Gondo, proszę popatrzeć mi teraz w oczy!

Zrobiła to sponawszy ciemnym rumieńcem. Serce skoczyło jej do gardła. Dzielnie wytrzymała jego spojrzenie, lecz przeniknęło ją przy tym gorące, dotychczas nie znane uczucie.

— Gondo, słodka Gondo, pragnę cię zapytać, czy zechcesz zostać moją żoną — wyszeptał tkliwie.

Przełknęła kilka razy ślinę, niezdolna wymówić słowa, po czym uczy-, niła to jedno, co mogła zrobić, aby nie być zmuszoną wytrzymać jego wzroku: ukryła głowę na jego sercu i trwała tak w milczeniu. Przytulił ją mocno do siebie.

— Moja Gondo! Kochasz mnie, jak ja ciebie kocham?

Skinęła bez słowa nie ruszając się. Podniósł delikatnie jej głowę, z której tymczasem opadł kaptur, i utkwiał wzrok w jej oczach. Zadrżała w jego ramionach, poznając teraz w pełni tajemnicę miłości, a on złożył na jej wargach gorący pocałunek. Nie wzbraniała się, przytuliła się mocno do niego czując, że jest niewymownie szczęśliwa.

Trwało dość długo, zanim Hans Leyden dostatecznie się przekonał, jak słodkie są pocałunki Gony, ona zaś w milczeniu oddawała mu pocałunki, przeświadczona, że nie ma dla niej szczęśliwszego miejsca na ziemi niż w jego ramionach.

Drgnęła, gdy koń dotknął chrapami jej ramienia, jak gdyby chcąc powiedzieć, że i on jest tutaj. Uwolniła się z ramion Leydena, odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na niego w szczęśliwym zakłopotaniu.

—Hans! — szepnęła cicho.

—O co chodzi, moja mała słodka Gondo?

—Jesteśmy zaręczeni, prawda, Hans? Przytaknął ze śmiechem.

—Niczego tu już nie da się zmienić — powiedział uszczęśliwiony.  
Zawtórowała mu.

—Ależ ja nie chcę niczego zmieniać!

Nie mógł się oprzeć jej uwodzicielskim czerwonym wargom, więc zaczął je na powrót całować.

— Jesteś więc zadowolona ze stanu rzeczy? — przekomarzał się z nią.

—Bardzo! — przytaknęła z zapałem. — Jestem okropnie szczęśliwa, Hans.

—Okropnie i szczęśliwa? Tego nie da się pogodzić.

—Masz rację, to nie najlepsze określenie. Zatem jestem bardzo, bardzo, bardzo szczęśliwa.

—Dobrze! I tak już musi być, mój ty złoty skarbie! O, jakże często zazdrościłem twojej cioci, że może cię tak nazywać. A teraz jesteś także moim złotym skarbem i wolno mi cię tak nazywać ile dusza zapagnie, nikt mi tego nie może zabronić.

Przytuliła się do niego podając mu dobrowolnie usta do pocałunku. Dlaczego nie miałyby mu okazać, że jego pocałunki sprawiają jej radość? On zaś skwapliwie korzystał z tego przyzwolenia. Między pocałunkami szeptali sobie te wszystkie nierozsądne, a tak słodkie słówka, jakie zakochani zawsze mają w pogotowiu. Wreszcie uwolniła się z jego ramion.

—Hans, co na to powie papa?

—Da nam swoje błogosławieństwo. Z góry zapewniłem sobie jego zgodę.

—On wie, że...

—... że cię kocham i pragnę pojąć za żonę. Wiedział to już wtedy, gdy jeszcze byłem biedny, a mimo to udzielił mi swego błogosławieństwa. Ale nie chciał cię tak szybko tracić, ja natomiast pragnąłem mocniej stanąć na nogach. Już to osiągnąłem, w dodatku nie muszę cię stąd zabierać, pozostaniemy tutaj. Moja Gonda

nie będzie musiała rozstać się ze swym ukochanym ojcem. Czyż to nie cudowne? Nie muszę też dłużej czekać, aby moje szczęście...

—Jestem twoim szczęściem, Hans? Przycisnął ją mocno do siebie.

—Nie wiesz tego, nie czujesz?

—Tak... o tak!

— A wiesz ty, jaki byłem nieszczęśliwy, gdy twoja siostra powiedziała mi, że jesteś zaręczona z innym?

Przez jej twarz przemknął cień.

— Tak, Hans, o tak, ja też byłem nieszczęśliwa, gdy byłeś wobec mnie taki chłodny i powściągliwy. Ale wtedy nie wiedziałam jeszcze, że cię kocham... och, Hans, jestem taka niezręczna, taka głupia...

Pocałował ją wzruszony.

—Pozostań taka cudownie niemądra i niezręczna, słodka Gondo — powiedział zaglądając jej ze śmiechem w oczy.

—Na naszym szczęściu leży cień, Hans — westchnęła.

—Cóż to za cień?

—Helga. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jak będzie cierpiała, gdy się dowie, że jesteśmy zaręczeni?

Odgarnął jej miękkim gestem włosy z czoła.

—Nie przejmuj się tym tak bardzo! Twoja siostra jest za dumna i zbyt chłodna, aby mogła kochać z całego serca. Z pewnością był to tylko jej kaprys, że próbowała mnie związać ze sobą.

—Jesteś pewny, że tego chciała?

—Tak, Gondo, dała mi to wyraźnie odczuć.

—A ty wolałeś małą głupiutką Gondę od jej wytwornej, bogatej siostry?

—Tak, właśnie tak, pragnąłem uroczej, wrażliwej, godnej uwielbienia Gondy, a nie wyniosłej, chłodnej w obejściu pani na zamku Santen. Nie martw się o siostrę, z pewnością będzie trochę zła, że wybrałem ciebie, ale nie ma na to rady. Ona nie jest przyzwyczajona do tego, że któreś z jej życzeń mogłoby się nie spełnić.

—O mój miły, jestem przekonana, że Helga wcale nie jest taka oziębła, jak to niekiedy wygląda, ten chłód uczuć wpojono jej przez niewłaściwe wychowanie.

—Ona to szybko przeboleje. Nie będzie u niej mowy o złamanym sercu, najwyżej skończy się to wybuchem złości.

—Tak bym chciała, żebyś miał rację! Chętnie zniosę jej gniew, byleby tylko dotkliwie nie cierpiała.

—Sam ją powiadomię o naszych zaręczynach, Gondo.

—Nie, nie! — zaoponowała chwytając jego/ękę. — Pozwól mi to uczynić! Ja... ja nie chcę, aby usłyszała to od ciebie. Pragnę jej tego zaoszczędzić. W pierwszej chwili w przystępie wzburzenia mogłaby zdradzić zbyt wiele ze swych uczuć, a tego by jej duma nie zniosła

Czule przycisnął jej głowę do siebie.

—Moja kochana mała Gondo! Nie chcę ci sprawiać bólu, więc się nie będę sprzeciwiać. Powiedz jej zatem o tym, gdy wrócisz do domu.

—Tak zrobię, Hans, gdy tylko zostanę z nią sama Nikt nie może zauważyć, że cierpi, nawet papa.

— Zrób, jak ci radzi serce.

Przytaknęła, po czym nieco żałośnie wyszeptała:

— Zimno mi, Hans.

Objął ją, jakby chcąc otulić swą miłością niczym ciepłym płaszczem.

— Moje biedne kochanie! Z twego Hansa jest niezgrabny niedźwiedź, pozwala marznąć własnej narzeczonej. Chodź, podsadzę cię na siodło i pojedziesz kłusem do domu, żebyś się nie przeziębila.

W pośpiechu omówili jeszcze to i owo. Hans musiał wrócić do pracy, umówili się zatem, że ojciec Gondy zawiadomi go telefonicznie, kiedy będzie najlepiej złożyć wizytę w zamku Santen.

Gonda wychyliła się z siodła, podając mu raz jeszcze usta do pocałunku, po czym kochankowie pożegnali się.

Gdy wróciła do domu, było jej już ciepło od szybkiej jazdy. Nie zwlekając pobiegła do swego pokoju, gdzie się przebrała, po czym udała się prosto do gabinetu ojca, aby powiadomić go o swych zaręczynach.

— Jesteś szczęśliwa, dziecko? — spytał biorąc ją w ramiona.

— Bezgranicznie, choć to moje szczęście też nie jest całkiem bez skazy. Nie wolno mi nie pamiętać o tym, że to oznacza cierpienie dla Helgi.

Jego twarz sposepniała.

— Tak, to będzie dla niej cios.

— Zaraz pójdę jej to powiedzieć, papo.

— Zostaw to lepiej mnie.

— Nie, nie, tylko ja to mogę zrobić. Nikt nie ma prawa zauważyć, nawet ty, papo, jak bardzo jest jej ciężko.

— A więc idź, moje dziecko — rzekł całując ją w czoło. — Nie pozwól jednakowoż zmaćcić swego szczęścia, bo przecież nie ponosisz za nie winy i nie możesz niczego zmienić. Wiem, że powiesz jej to najdelikatniej jak tylko można.

Gonda odnalazła siostrę w małym salonie grającą na fortepianie i usiadła obok w fotelu, przyglądając się, jak szybko dłonie Helgi wędrują po klawiszach. Gonda w swej srebrnoszarej sukni wyglądała czarująco, choć była cokolwiek blada ze zdenerwowania. Helga obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem nie przerywając gry. Naraz oderwała palce od klawiatury.

— Życzysz sobie czegoś ode mnie, Gondo? — spytała krótko i nieprzyjaźnie, nie mogąc nie przyznać w duchu, że Gonda jak zwykle wygląda uroczo.

— Mam czas, zagraj spokojnie ten utwór do końca — odrzekła Gonda, próbując opanować dzikie bicie serca i zebrać się na odwagę.

— Nie mam ochoty grać dalej — oświadczyła Helga i podniosła się szybko. Podeszła do konsolki, na której pomiędzy dwoma figurkami z brązu stała bogato rzeźbiona okrągła waza, również z brązu, i wzięła ją do prawej ręki, lewą wodząc po bogatej linii ornamentu.

— Masz mi coś szczególnego do zakomunikowania? — spytała przez ramię niezbyt uprzejmym tonem, jaki miała najczęściej dla siostry, kiedy były same.

Gonda odetchnęła głęboko i powiedziała krótko ściskając dłonie: —: Tak, Helgo, chciałam ci powiedzieć, że... zaręczyłam się z Hansem Leydenem.

Helga drgnęła i odwróciła się gwałtownie do siostry ściskając kurczowo wazę. Była blada jak ściana, podobnie zresztą jak Gonda, i patrzyła na nią z nienawiścią.

— To nieprawda! — krzyknęła.

— Prawda, Helgo — szepnęła Gonda, zasmucona do głębi, że musi patrzeć na cierpienie siostry.

— Ty, ty dziwko! — wrzasnęła Helga, straciwszy całkowicie panowanie nad sobą, niezdolna opanować gniewu i bólu z powodu doznanego upokorzenia. Podniosła rękę z wazą i z całej siły cisnęła tym ciężkim przedmiotem w głowę Gondy. Ta, chcąc uniknąć uderzenia, odchyliła się na bok, lecz nie na tyle, aby waza nie zraniła jej skroni, lądując z głośnym łomotem w kredensie z kosztowną porcelaną. Z okrzykiem przerażenia Gonda osunęła się tracąc świadomość.

Helga stała jak sparaliżowana patrząc na siostrę, która trupioblada leżała na podłodze. Z rany na skroni sączyła się krew. W tym momencie wpadła do salonu pokojówka, która znowu podsłuchiwała pod drzwiami, a teraz chciała przyjść Gondzie z pomocą.



—Mój Boże, co się stało? — krzyknęła przerażona wpatrując się w leżącą na podłodze wśród odłamków szkła Gondę.

—Wynoś się! — krzyknęła władczo Helga.

Pokojówka wybiegła, lecz serce jej podpowiadało, że tym razem nie wolno jej tak zostawić całej sprawy. Przeskakując po kilka stopni naraz wpadła do gabinetu Klause Rutharta.

— Szanowny panie! Proszę natychmiast przyjść do salonu naszej panienki. Rzuciła czymś ciężkim w panienkę Gondę i ta leży bez życia krwawiąc. Chciałam jej przyjść z pomocą, ale panienka Helga wyrzuciła mnie bardzo się złościąc. Proszę, niech pan idzie tam jak najszybciej. Nie powinien pan tego tolerować, że nasza panienka tak się znęca nad panienką Gondą. Na to nie można patrzeć obojętnie. Panna Gonda znosi to wszystko cierpliwie i nigdy się nie skarży, ile musi wycierpieć z powodu humorów łaskawej panienki.

Ostatnich słów Klaus Ruthart już nie słyszał. Minawszy pokojówkę wypadł z pokoju i popędził na górę. W salonie ujrzał Helgę pochyloną nad leżącą na podłodze Gondą. Chwycił ją i szorstkim ruchem odciągnął do tyłu, a sam ukląkł obok Gondy i uniósł na dłoniach jej głowę. W tym momencie Gonda otworzyła oczy i powiodła naokoło przerażonym wzrokiem. Na widok ojca i Helgi, stojącej nad nią bez ruchu z pobladłą śmiertelnie twarzą, uśmiechnęła się słabo.

— Ale jestem niezgrabna, papo, ja... ja potknęłam się o dywan. — Widząc leżące naokoło odłamki szkła dorzuciła cicho: — Rozbiłam taki piękny kredens i jeszcze tę wspaniałą porcelanę...

Klaus Ruthart wyjął chusteczkę i przycisnął do krwawiącej rany. Z pobladłą twarzą zwrócił się do drzwi, gdzie obok pokojówki cisnęła się zaciekawiona służba.

— Trochę wody i bandaż, szybko, i zamknąć drzwi! — krzyknął do nich. Służba się rozbiegła i drzwi zamknięto. Prawie natychmiast wróciła pokojówka z miską pełną wody i opatrunkiem.

Ruthart podźwignął Gondę i położył na sofie. Uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

— Nie martw się, papo, nie jest tak źle. Padając przeraziłam się i zemdlałam, lecz już czuję się całkiem dobrze — powiedziała patrząc ze współczuciem na znieruchomiałą siostrę.

Ruthart odesłał pokojówkę i sam zabrał się do przemywania rany, po czym zręcznie założył opatrunek. Odetchnął z ulgą stwierdzając, że rana nie jest głęboka, jak się z początku obawiał. W Dahomy musiał często przy drobnych wypadkach zabawiać się w lekarza, był wszakże poważnie zaniepokojony nie ustępującą bladością córki.

— Nie jest ci niedobrze, Gondo? — spytał w obawie, że mogła doznać wstrząsu mózgu. Widząc leżącą wśród potłuczonego szkła wazę z brązu doszedł do wniosku, że Helga musiała użyć jej jako pocisku.

— Ależ papo, czuje się już zdecydowanie lepiej. Proszę, pomóż mi wstać. Ja... ja byłam tylko trochę przerażona, gdy się potknęłam, i dlatego straciłam przytomność.

W stojącą jak słup soli Helgę naraz wstąpiło życie. Podeszła do ojca.

— Gonda nie potknęła się, ona chce mnie oszczędzić, a ja nie potrzebuję takiej obrony. Ja... ja rzuciłam w nią wazę, ponieważ byłam na nią wściekła — wydusiła z siebie pobladłymi wargami.

Ojciec spojrział na nią ze smutkiem.

— Chwała Bogu, że ta ciężka waza nie trafiła Gondy, inaczej mogłabyś zostać morderczynią swej siostry — rzekł ochryłym głosem tłumiąc wzburzenie.

Wziął Gondę na ręce i zaniósł do jej pokoju, gdzie złożył ją na otomanie i nakrył lekkim kocem.

—Naprawdę nie jest ci niedobrze, Gondo? Musisz mi powiedzieć, ponieważ wtedy natychmiast trzeba by wezwać lekarza.

—Nie, nie, przysięgam, że dobrze się czuję, jestem tylko zmęczona i chcę parę minut poleżeć.

—Moja biedna Gonda!

—Powiedz lepiej: moja biedna Helga, papo. Zrobiła to w odruchu bólu, nie panując nad sobą, gdy powiedziałam jej o swych zaręczynach z Hansem. Przebaczyć jej, jest taka nieszczęśliwa.

—A więc każdy, kto jest nieszczęśliwy, ma miotać ciężkimi przedmiotami w bliźnich, nie bacząc, że to zagraża ich życiu?

Gonda wpatrzyła się w niego błagalnie.

— Przebaczyć jej. Nie widziałeś, jaka była blada i wystraszona? Tak bardzo cię proszę, przebaczyć jej!

Ucałował jej oczy, potem dłonie.

—Moje kochane dziecko, Bóg nie dopuścił, abyś została mi zabrana w tak przeraźliwy sposób.

—Proszę cię, zaklinam, idź do Helgi i powiedz, że jej wybaczasz. Nikt nie może się dowiedzieć, co zrobiła, nawet Hans i ciocia Käthe.

Pogłaskał jej ręce.

— Nie, kochanie, oni muszą wiedzieć. Jak tylko wypoczniesz, od razu zawiozę cię do cioci. Tam będziesz mogła widywać się z Hansem. Nie zostawię cię tu ani jednego dnia dłużej, sam zresztą przeniosę się do cioci Käthe, majątkiem Helgi mogę zarządzać także i stamtąd. Cała sprawa i tak nie dałaby się utrzymać w tajemnicy, gdyż wie o niej służba Pokojówka podsłuchiwała, pewnie zresztą nie pierwszy raz.

—To zaboli Helgę.

—Nie bierz jej w obronę. Niedobrze zrobiłaś ukrywając przede mną fakt, iż zadreczęła cię swymi humorami.

—Kto ci to powiedział?

—Pokojówka była tak zdenerwowana, że się wygadała, i bardzo się cieszę, że wreszcie dowiedziałem się o tym. To więcej nie może mieć miejsca, dlatego opuszczamy zamek Santen.

—To naprawdę nie wyglądało tak źle, papo, Helga była tylko niekiedy odrobinę nerwowa. Pomyśl, ona nie miała nikogo, kto by ją właściwie wychował. W przeciwieństwie do niej mnie działało się tak dobrze: miałam ciebie, papo, i mamę, potem ciocię Käthe, a teraz mam Hansa. Helga z tym całym swoim bogactwem jest biedna w porównaniu ze mną, nie zapominaj o tym. Przebacz jej i bądź dla niej dobry.

Przycisnęła jej dłoń do własnych oczu.

—Tak czy tak nie pozostaniesz tu ani dnia dłużej, chcę cię uwolnić od jej humorów. Teraz na jakąś godzinę zostawię cię samą, abyś mogła wypocząć. Muszę poczynić przygotowania do przeprowadzki i zawiadomić telefonicznie ciocię Käthe, aby nas oczekiwała.

—Ale nie będziesz czynił wyrzutów Heldze, prawda, papo?

— Nie, przyrzekam ci, a teraz chcę, abyś się wreszcie uspokoiła. Skinęła mu głową z wdzięcznością. Kiedy ojciec wyszedł, zamknęła oczy, już nie maskując swojej niemocy. Bardzo bolała ją głowa, a przebyte chwile i utrata przytomności osłabiły ją do reszty. Och, jak kojąco działał spokój! Gdyby tylko nie musiała myśleć o Heldze, o tej złej, rozgniewanej Heldze, która z oczami skrzącymi się nienawiścią cisnęła w nią wazę, a teraz, nieszczęśliwa, siedziała gdzieś tam sama ze swym cierpieniem.

Właśnie zasypiała, gdy cicho otworzyły się drzwi i na progu stanęła Helga, ciągle jeszcze bardzo blada i z zapłakanymi oczami. Gonda wpatrzyła się w nią z trwogą, nie ważąc się nawet poruszyć. Helga podeszła do otomany, na której leżała siostra, i osunęła się na kolana.

—Daruj mi, Gondo, ja chyba postradałam zmysły — szepnęła. — Możesz mi przebaczyć?

—Oczywiście! Dawno już to zrobiłam. W ogóle się na ciebie nie gniewałam, było mi tylko bardzo przykro, że musiałam ci sprawić ból.

—Ty jesteś dobra! Dlatego wszyscy cię kochają!

—Gdybyś tylko na to pozwoliła, wszyscy by pokochali także ciebie.

—To nigdy nie nastąpi. Musisz mieć spokój, więc zostawiam cię teraz samą. Przebac mi, jestem bardzo nieszczęśliwa.

Poderwała się szybko i wyszła. Gonda podążyła za nią wzrokiem, a jej miękkie serce przepełnione było współczuciem.

## 18

---

Ojciec rzeczywiście zabrał Gondę do Käthe Laßwitz; nie dał się odwieść od tego zamiaru. Powiadomiona o wszystkim telefonicznie przez brata, nie pytała o nic i otoczyła swą małą Gondę troskliwą opieką, szczęśliwa, że znowu może być komuś przydatną.

Wieczór Gonda poczuła się znacznie lepiej, była tylko nieco blada, jedynie wąski opatrunek na czole przypominał o scenie z Helgą. Klaus Ruthart odszukał Hansa Leydena i poinformował o wszystkim, co się zdarzyło, pewny jego dyskrecji, po czym obydwaj udali się do domu pani Laßwitz.

Leyden był przerażony całym zajściem i powitał swoją bladą narzeczoną z taką czułością, że na jej policzkach z miejsca zakwitły rumieńce. Nie rozmawiał z nią jednakowoż o tym, uważając, że Gonda jak najszybciej powinna zapomnieć o tej strasznej scenie, a mówienie o tym niczego nie zmieni. Klaus Ruthart zostawił Heldze list, nie był bowiem jeszcze na tyle spokojny, aby rozmawiać z nią osobiście. Pisał w nim:

*Droga Helgo!*

*Będzie lepiej, gdy zabiorę Gondę do cioci Käthe, nie chcę bowiem dopuścić, abyś w porywie gniewu zachowała się podobnie. Nie chcę Ci czynić wyrzutów,*

*jest mi tylko bardzo przykro, że czujesz się taka nieszczęśliwa, skoro byłaś do tego zdolna. Ja także wolę opuścić zamek, ponieważ czuję, że cały mój wysiłek, aby zbliżyć się do Ciebie, okazał się daremny. Twoimi dobrami będę zarządzał tak jak poprzednio, nie muszę do tego mieszkać na zamku. Przez najbliższe dni nie będziemy się widywać, to pozwoli nam obojgu wrócić do równowagi. Przyrzekłem Gondzie, że wszystko Ci wybaczę i że nie będę Ci czynił wyrzutów. Chcę dotrzymać tej obietnicy. Niech Ci Bóg dopomóż. Martwię się o Ciebie, niestety widzę, że nie mogę Ci pomóc, gdyż zamknęłaś mi drogę do Twego serca*

*Twój stroskany ojciec*

Tego wieczoru w domu ciotki Käthe odbyła się cicha uroczystość zaręczynowa. Oczy obojga kochanków promieniały prawdziwym szczęściem.

Następnego ranka posłaniec z zamku przyniósł list do Klause Rutharta. Helga pisała:

*Drogi Ojcze!*

*Proszę, wróć z Gondą na zamek, aby przynajmniej w pewnym stopniu uniknąć plotek. To będzie dowodem Waszego przebaczenia. Wyjeżdżam i w momencie, kiedy otrzymasz ten list, będę już daleko. Bardzo się wstydzę, że tak wczoraj obezłam się z Gondą, więc wyjazd na parę miesięcy dobrze mi zrobi. Nie potrzebujesz się o mnie martwić, nie jadę sama, zawiadomiłam bowiem telegraficznie moją byłą wychowawczynię; mieszka w Fuldzie i chętnie dotrzyma mi w podróży towarzystwa. Prześlę wiadomość, skoro tylko dotrę do celu, a wrócę dopiero wtedy, gdy całkiem się uspokoję.*

*Tej ostatniej nocy, kiedy przewracałam się bezsennie z boku na bok, zastanawiałam się nad sobą i doszłam do wniosku, że muszę zmienić postępowanie, a o to, że jestem nieszczęśliwa, mogę obwiniać wyłącznie siebie.*

*Chcę Ci jeszcze dzisiaj powiedzieć, drogi Ojczy, że nie jest już prawdą, iż zamknęłam Ci drogę do swego serca: ono już dawno stoi dla Ciebie otworem, ja po prostu nie chciałam się do tego przyznać. Fałszywe mniemanie, jakie miałam o Tobie, należy do przeszłości, wiem już teraz, jak niesłusznie Cię oceniono. Pozwól żywić mi nadzieję, że i Ty otworzysz swe serce dla mnie, gdy wrócę. Spróbuję zasłużyć na Twą miłość. Pozdrów serdecznie Gondę i proś ją jeszcze raz w moim imieniu o przebaczenie. Proszę, nie gniewajcie się więcej na mnie.*

*Twoja córka Helga*

Ojciec podał w milczeniu Gondzie list. Przeczytała go i z płaczem rzuciła mu się na szyję.

— Widzisz, kochany papo, Helga jednak ciebie kocha. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Poruszony do głębi patrzył gdzieś ponad nią.

— Może nawet więcej niż dobrze, Gondo. Wygląda na to, że ten twardy pan-cerz opadł z jej serca, w każdym razie chcielibyśmy sobie tego życzyć.

Tego samego rana Helga napisała także list do Lothara von Reinsberg. Treść jego brzmiała:

*Szanowny Panie von Reinsberg!*

*Pomna na Pańskie słowa donoszę, że nadeszła chwila, kiedy bardzo potrzebuję wyrozumiałego przyjaciela. Czuję się zagubiona i mam powody, aby być niezadowoloną z siebie. Jeżeli chce mi Pan dopomóc w odnalezieniu samej siebie, to pomoc taką przyjmę z wdzięcznością. Ważę się na ten krok, jako że darzę Pana niezbędnym w takim wypadku zaufaniem. Przez najbliższe miesiące będę miesz-*

*kała z moją byłą wychowawczynią w Palast-Hotel w Caux, niedaleko Montreux, i bardzo się ucieszę, gdy będę mogła Pana tam kiedyś powitać*

*Pańska Helga Ruthart*

W lutym odbył się ślub Gondy Ruthart z Hansem Leydenem. Miał on miejsce na zamku Santen, jako że Gonda wróciła tam z ojcem, **by** spełnić życzenie Helgi.

Ruthart prowadził ożywioną korespondencję ze swą starszą córką; wpierv dotyczyła ona przede wszystkim spraw gospodarczych, wszakże z czasem Helga coraz bardziej otwierała się w tych listach wobec swego ojca. Wyglądało na to, że poprzez podniesienie ręki na siostrę stała się całkiem innym człowiekiem. Prawdopodobnie jednak było to przede wszystkim wynikiem wpływu, jaki miał na nią Lothar von Reinsberg. Rzeczywiście przybył natychmiast do Caux i z ła-twością mu przyszło położyć kres stanowi wzburzenia u Helgi poprzez spokojną, rozumną perswazję.

W dniu ślubu Gondy nadeszła z Caux przesyłka. Były to wspaniałe pasowe róże i kosztowny naszyjnik z diamentów, do których Helga załączyła list:

*Moja Kochana Siostró!*

*W dniu Twego ślubu z Hansem Leydenem przyjmij moje najserdeczniejsze życzenia szczęścia. Wiem, że Twoje dobre serce z pewnością ucieszy wiadomość, że ja również znalazłam dla siebie ciche szczęście. Wczoraj zaręczyłam się z Loiharem von Reinsberg, którego miałaś okazję poznać. Jeśli istnieje na świecie mężczyzna, który mógłby uczynić mnie szczęśliwą, to jest nim właśnie on. Lothar wie wszystko i rozumie, a choć wypowiedziałam się przed nim szczerze, przecież nie zaprzestał szukać we mnie prawdziwych wartości. Niejedno już wydobył ze mnie, a były tam między innymi rzeczy, o których nawet ja sama nie miałam pojęcia. Z zaufaniem oddaję mu swą rękę. Choć nie połączyła nas wielka miłość, to przecież*



*doskonale się rozumiemy. Lothar pozdrawia serdecznie przyszłą szwagierkę i przesyła jej te oto róże. Ode mnie przyjmij w prezencie ślubnym naszyjnik; mam nadzieję, że Ci się spodoba. To, że nie wezmę udziału w Twojej uroczystości weselnej, z pewnością zrozumiesz i wybaczysz. Wkrótce powrócę do domu. W kwietniu odbędzie się mój ślub i spodziewam się wtedy ujrzeć Ciebie i Twego męża wśród moich gości. Będziemy dobrymi sąsiadami i przyrzekam, że w przyszłości będę dla Ciebie lepszą siostrą niż do tej pory. Mój rychły powrót do domu ma być dla Ciebie rękojmią, że uspokoiliam się i jestem zadowolona. Pozdrów ojca i ciocię Käthe, a także oczywiście Twego męża. Wybacz mi i postaraj się mimo wszystko trochę mnie pokochać, nie chcę już więcej być dla Was tak przykra, jak dotychczas. Jeszcze raz życzę Ci szczęścia*

*Twoja siostra Helga*

TLR

Ze łzami w oczach, ale zarazem bardzo szczęśliwa Gonda przeczytała ten list, po czym pokazała go ojcu, ciotce Käthe i Hansowi. Wszyscy nie posiadali się z radości.

Teraz już Gonda mogła iść do ślubu z sercem pełnym niezmaconej radości. Była zachwycającą panną młodą, nie dziw więc, że oczy jej młodego męża spoczywały na niej z taką czułością i dumą.

Kiedy Gonda wróciła z podróży poślubnej, Helga była już z powrotem na zamku Santen, a do ojca odnosiła się znacznie serdeczniej niż kiedyś.

Świadectwo zgonu Georga Strassera nadeszło jeszcze przed uroczystością weselną Gondy, od tego momentu zatem Hans Leyden został uznany za pełnoprawnego spadkobiercę. Młoda para urządziła dom, który otrzymał w spadku Leyden, według swego upodobania, zmieniając częściowo meble i wystrój, i czuła się tam bardzo szczęśliwa.

Ślub Helgi odbył się w kwietniu. Większą część roku spędzała ze swym mężem na zamku Santen, na pozostałe miesiące wyjeżdżali do Reinsbergu. Klaus Ruthart przeniósł się do swej siostry Käthe, tym razem jednak nie musiał już sobie szukać nowego pola działania, jego skuteczna, energiczna pomoc była bowiem zawsze mile widziana czy to na zamku, czy w posiadłości zięcia Leydena.

Helga von Reinsberg rozkwitła w małżeństwie, jak gdyby dopiero teraz została przesadzona do odpowiedniego gruntu. Było to rzeczywiście wyjątkowo udane stadło, a obie siostry odnosiły się do siebie nad wyraz serdecznie.

Klaus Ruthart i jego siostra pławili się w szczęściu obu młodych par, a ojciec cieszył się, że jego obie córki są szczęśliwe, zarówno córka jego pierwszej, jak i córka drugiej żony.

**KONIEC**